

WRZESIEŃ
1910 r.

ROK
Tom



KWARTALNIK LITEWSKI

Wydawnictwo poświęcone zabytkom przeszłości, dzieciom, krajoznawstwu
i ludoznawstwu Litwy, Białorusi i Inflant.

Res severa est verum gaudium.

Redaktor i Wydawca

Jan Obst.

PETERSBURG.

Drukarnia K. L. Piętkowskiego. Wiel. Podjaczeskaja № 22.

TREŚĆ:

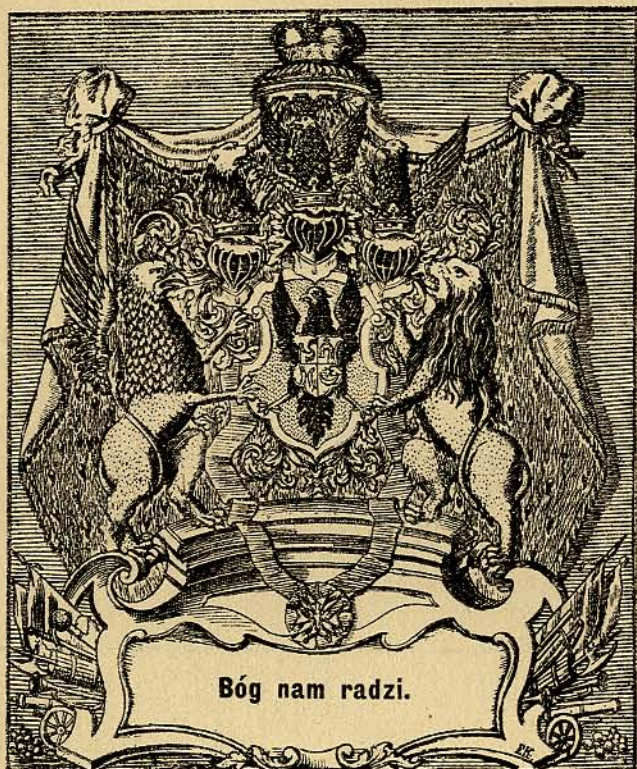
Zbiór listów własnoręcznych różnych Kardynałów do rodziny XX. Radziwiłłów podał do druku Dom Ant. Staerk O. S. B.	3
Czasopisma polskie na Litwie (dalszy ciąg) przez W. Ciechow- skiego	14
Kościół św. Mikołaja w Wilnie przez dr. W. Zahorskiego	41
O Kardynalacie Stanisława Sierstrzeńcewicza Bohusza (dalszy ciąg) przez X. prof. dr. M. Godlewskiego	51
Białystok w XVIII wieku przez X. Z. Dunin Kozickiego	59
Luźne Kartki z przeszłości Mozyrz. przez Marka Gozdawę	81
Nasze dwory wiejskie przez Jana Obsta	95
Silva rerum: Sprostowanie D. W. Zahorskiego; W sprawie wzmianki o przewodniku «Wilno» przez W. Gizberta; Autograf Towiańskiego p. W. C. Notatka o pałacu w Markucjach p. M. Homolickiego. Cmentarz litewski na wystawie w Królewcu p. Ettingera.	
Dodatek: Wspomnienia o Świsłoczy, Dereczynie i Ró- żanie Leona Potockiego podał do druku Michał Fe- derowski	131

Ilustracje: Faksimile listu kardynała di Mantalca oraz listu kardynała San Severino. — Portret ks. Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła. — Cztery portrety do art. «Czasopisma polskie na Litwie»: Twardowskiego, Balińskiego, Sz. Ma-
lewskiego, Lelewela. — Mody z r. 1820. — Widok Połocka. — Kościół Św.
Mikołaja w Wilnie. — Popiersie X. St. Sierstrzeńcewicza Bohusza. — Dworek
wiejski na Infantach; z obrazu Tad. Dmochowskiego. — Dwór w Ostaszynie. —
Dwór w Rajcy. — Dwór w Businowiczach. — Dwór w Johaniszkielach. — Por-
tret gen. Tadeusza Tyszkiewicza. Świsłocz; stare dworki w rynku; Ulica
Rudawska. — Nagrobek gen. Tadeusza Tyszkiewicza w Paryżu. —

Ilustracje w tekście: Herb Radziwiłłów na str. 2. — Dwie winjety
z «pamiętnika Magnetycznego» na str. 24 i 29. — «Antosiek» na str. 26. —
Plan kościoła Św. Mikołaja p. St. Dąbrowskiego na str. — Pieczęć X. St.
Sierstrzeńcewicza-Bohusza. — Pięć widoków dworów wiejskich oraz plan do art.
«Nasze dwory wiejskie». — Autograf Towiańskiego.

Rysunek na kartę tytułową wykonał Tad. Dmochowski; wszelkie ozdoby
drukarskie skopjowane z oryginalnych druków polskich XVI—XVIII wieku.

KWARTALNIK LITEWSKI.



Zbiór listów własnoręcznych różnych Kardynałów do rodziny XX. Radziwiłłów¹⁾.

(1545 — 1729).

Ten drogocenny skarb Radziwiłłowskiego rodu słusznie zaliczyć możemy do najpoważniejszych dokumentów historii Kościoła na Litwie. Obecnie znajduje się on w Cesarskiej Bibliotece Publicznej w Petersburgu pod № 226 Seryi Autografów.

Na karcie tytułowej czytamy jeszcze: Z księgozbioru Książąt Radziwiłłów w Nieświeżu. Szafa VIII № 3. — Jakim sposobem ten cenny rękopism dostał się do Petersburga — niewiadomo.

Po tej historycznej wzmiance chcemy zwrócić uwagę na dwa fakta z pierwszej połowy tej korespondencji, a mianowicie: na nawrócenie do wiary katolickiej syna Księcia Mikołaja „Czarnego“, jako też na wpływ jego na polu życia kościelnego na Litwie.

19 Kwietnia 1567 Kardynał Alessandro pisał z polecenia Jego Świątobliwości Papieża Piusa V do młodego Księcia Mikołaja Krzysztofa winszując mu jego nawrócenia.

Gratulor igitur tibi clarissime Juvenis, pisze między innemi Kardynał Alessandro, et ista a te inita sempiternae salutis via, et hac famu celebritate, qua Romae in dies notior es, et illustrior... Te enim maiores illi nostri, qui acceptam a Summa parente Romana Ecclesia doctrinae, vitaeque rationem salubriter, tot saeculis magnifice coluerunt retinentem hoc catholicae fidei decus, vere sui generis et seminis existimabant²⁾.

Jak widać z omawianej korespondencji³⁾, dzielnie bardzo do takowego nawrócenia przyczynili się Piotr Skarga T. J. i Kar-

¹⁾ Przekład polski zawdzięczamy uprzejmości Prałata W. Czeczotta.

²⁾ Folium 386. — Dowiadujemy się że wkrótce ukaże się studium Ostoi Mioduszeńskiej o tychże listach w *Römische Auartalschrift* Heft 4 — 1910.

dynał Hozyusz Biskup Warmiński. Rozrzewniającemi prawdziwie są ojcowskie upomnienia, z jakimi wielki Hozyusz „Filarem Kościoła“ w Polsce zwany, zwraca się do świeżo z Kalwinizmu nawróconego Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła. Ten ostatni był bojaźliwego usposobienia, i nie odważał się otwarcie wiary swojej wyznawać.

Tu modo memineris eius quod scriptum est (pisał Kardynał do Księcia 5 listopada 1568). Non qui coeperit, sed qui perseveraverit usque in finem salvus erit. Quamquam (nolo enim dissimulanter tecum agere) simul et hoc renunciatur quod nondum satis aperte confiteri Christum audeas; quae res quamvis nonnullam animo meo perturbationem attulit; ut minus plene gratulari tibi posse viderer, ita me tamen deiecit, quin bona spe sim qui tibi dedit hanc gratiam, ut ad agnitionem veritatis pervenires, cum quod operari coepit in te, confirmaturum et perfecturum, ut magna cum fiducia Christum deinceps aperte confitearis, et per quem seductas paulo ante fuisti, palam Antichristo nuncium remittas, quod ut facias etiam atque etiam te hortor et moneo per viscera misericordiae Dei quaeso atque obtestor. ¹⁾

Przejdźmy teraz do publicznej działalności Księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła.

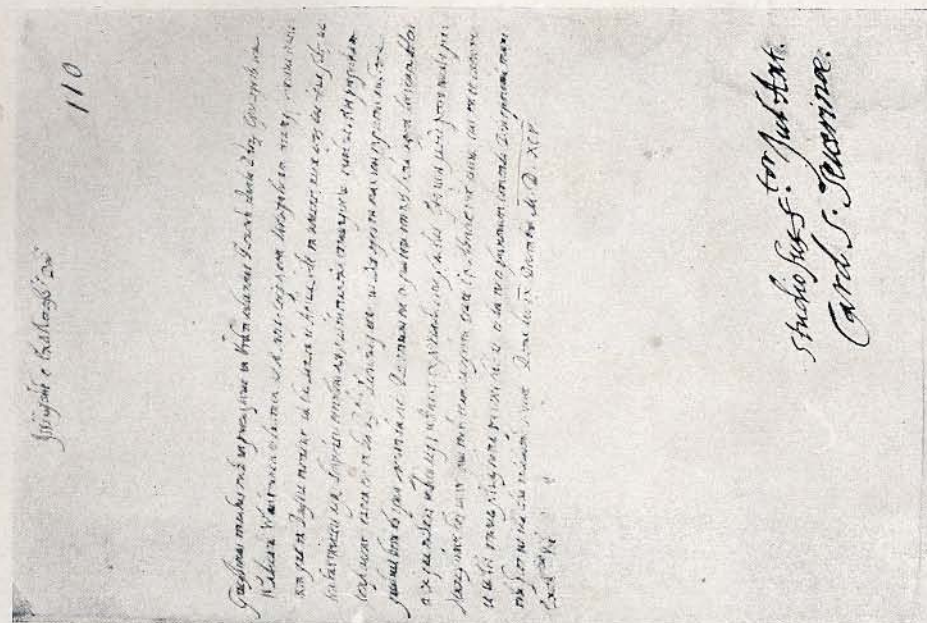
Niemalý udział musiał on mieć w dziele Unii Brzeskiej. 9 Grudnia pisze bowiem do niego Kardynał San Severino, że ławiający obecnie w Rzymie rusińscy biskupi ²⁾ dają niespolity przykład pobożności, która jego samego zbudowała, i że ze względu na Księcia jeszcze większą życzliwość i miłość okazywać im za mierza.

Jak wiadomo Unia Kościoła Ruskiego z Rzymem doszła do skutku 23 Grudnia tegoż 1595 roku.

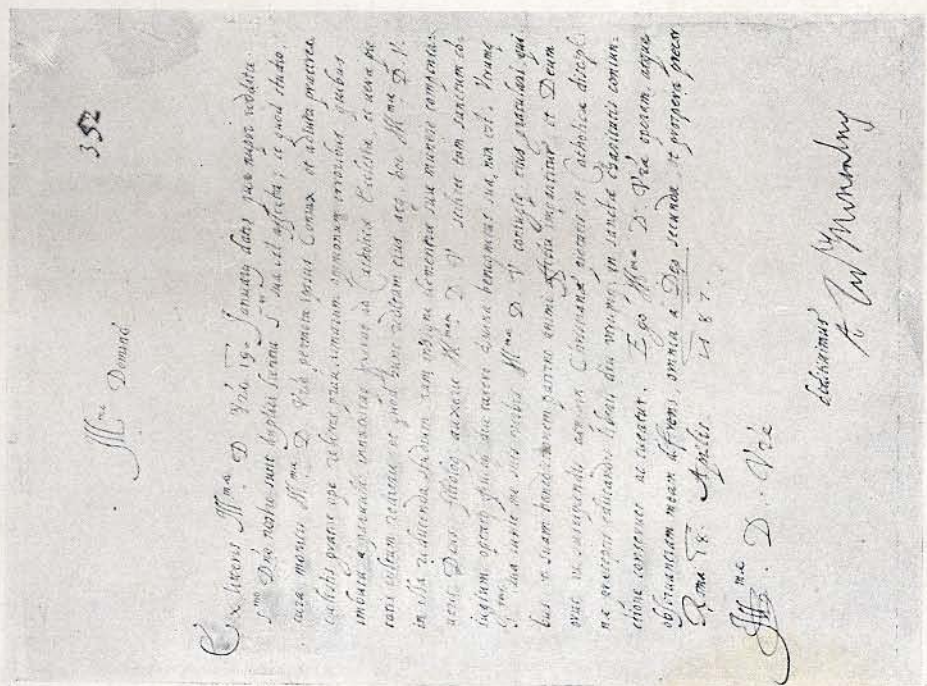
Illustriss. e et excellentissime. Dne. ³⁾

Gratissimus omnibus mihi imprimis fuit in urbem adventus Reveren. Patrum Dominorum Episcoporum seu Wladicani Wladimiren et Sucionen, ut se suos coepiscopos, Metropolitam, totamque Graecorum nationem quae in Russia moratur cum hac Sancta et Apostolica Sede in unitate verae atque catholicae fidei, veteribus reiectis atque detestatis erroribus atque schismatibus coniungerent. quod ut spero propediem conficietur; tanta est in his Rev. dis Patribus pietas, ut Deo optimo maximo in primis auctore quibus boni ab ipsis sperandum sit. Res omnino est ex qua boni omnis summam capere laetitiam debent, et

¹⁾ Cf. Fol 126. — ²⁾ Hipacy Paciej i Cyryl Terlecki. — ³⁾ Cf. Fol 110.



List kardynała San Severino (1595 r.) o Unii Brzeskiej.



List kardynała di Montalto (1587 r.) winszujący w imieniu Papieża Innocentego XI księciu Mikołajowi Krzysztofowi Radziwiłłowi nawrócenia małżonki jego do wiary katolickiej.

ex qua melioris indiciis atque uberioris expectandi sint fructus. Ego vero quoad potero iuvabo praestantissimos hos viros, qui mihi etiam carissimi erant Excellentiae Vrae causa, cui me et cupere et velle omnia felicissima pro certo habeat, et dum me plurimum commendo, Deum optimum maximum precor ut illam diu incolumem servet. Romae die IX. Decembris M. D. XCV.

Excellentiae Vrae.

Studiosus servitor

Jul. Ant. Card. S. Severinae.

Książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł przyczynił się także do fundacyi OO. Franciszkanów na Litwie, o czem najlepiej świadczą listy Kardynałów *Lancellotto i Como*.

Ill.me et Excell.me Dne.)

Statim atque redditae mihi fuerunt litterae Exc. Vrae sub data Kal. Januarii proxime preteriti patrem Generalem Ordinis sci Francisci de observantia accersivi, et ei non solum animum Excae Vrae pluribus exposui, sed etiam vehementer ab ipso petii, ut de quo ipsa cupiebat vellet ei gratificari, prout se facturum pollicitus est, ita tamen quod fratribus qui in illo monasterio, permansuri sunt constituatur unde vivere possint, sicut de hoc Patrem Provinciale Poloniae per literas certioremfacit, cui etiam committit, ut huiusmodi negotium expedire debeat, quarum litterarum exemplar Exae Vrae transmittito. Non autem censui expedire ut ea de re cum Ill.mo Protectore agerem, ne aliquid difficultatis excitaretur. Caeterum si alia sese offeret occasio, qua aliquid me sua causa facere posse arbitretur, opera mea utatur, quo nihil mihi iucundius accidere poterit. Valeat Ex.a Vra, cui omnia foelicissima precor. Romae die XIV Martii 1597.

Excellae Vrae

S-or deditissimus

S. Card. Lancelottus.

Ill-me Dne ²⁾)

Litteris D.onis Vrae M-mae die prima Januarii datis, tardius quam par erat rescribo; nam mea illi inserviendi voluntas non patiebatur, ut nisi negotio Monasterii perfecto, ad eas responderem; quod quidem hactenus dilatum est, quia Ill-mus Protector, cui ego diligenter illud commendaveram, huiusmodi facultatem non a se, sed a Sum-

¹⁾ Cf. Fol. 117. — ²⁾ Cf. Fol. 107.

mo Pontifice esse petendam mihi significavit. Egi itaque, cum Sanctitate Sua, quae postmodum in adversam podagrae valitudinem incidit, ita ut in hanc diem negotium sit dilatum. Nunc per Dei gratiam M-mae D. V. significare possum, quod S-tas Sua piis D.i. V. M-mae petitionibus annuens, Breve his litteris adiunctum mihi concessit. Agat nunc cum Provinciali, cui etiam Ill-mus Protector litteras dabit, et futurum existimo, ut Provincialis nequaquam repugnet, quin Pontificis mandato confestim obediat. Valeat D. V. M-ma, cui ut ego omnia mea officia exhibeo, ita omnia in Dno felicitatem precor. Datum Romae die XVIII Aprilis 1597. Ill-mae D-is Vrae. Servitor.

Pet. Card-lis Comensis.

Książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł ufundował w Dubinkach Kaplicę, aby w podziemiach onej zwłoki swych rodziców (w kalwińskiej wierze zmarłych) pochować. Papież Grzegorz XIII dał na to pozwolenie, pod warunkiem, żeby dla uniknienia zgorszenia, przewiezienie zwłok odbyło się sekretnie.

Ill-me Dne. ¹⁾

Perlectis D. Vrae litteris, egi diligenter cum S.mo Domino Nostro, pro meo erga illam studio, ac uoluntate, ut ipsius auctoritate liceret ei, parentum suorum corpora ex synagoga illa, in Sacellum, quod ad omnipotentis Dei gloriam, construere destinavit, transferre. Idque secreto, et sine offensione cuiusquam. Verum et si Summus Pontifex propensissimo erga eam animo esse, mihi visus est, multisque etiam laudibus Dominationem Vram est prosequutus, id tamen a se nullo modo, salva religione fieri posse, dixit: Quod quidem pro sua pietate, quae iamdudum mihi perspecta est, aequo animo laturam non dubito. Quando quidem id quod fieri absque Dei iniuria non potest, ne optare quidem a nobis debet. Reliquum itaque, ut si qua alia in re mea opera D. V. usui esse potest, id mihi significare ne gravetur, tam enim promptam eam semper sentiet, quam quod promptissimum est. Valeat D. Vra, et me ut facit amet.

Romae die XX Maii M DLXXVIII.

Dediss. A. Car-lis

Furnesius.

W 10 liście swoim z 29 maja 1573 do Księcia Mikołaja Krzysztofa Kardynał di Montalto chwali jego pobożność i zasługi dla kościoła (pro Ecclesia) położone.

¹⁾ Cf. Fol. 348. —



Ks. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł Sierotka.

Ill-me Ex-me Dne. ¹⁾

Si ita ratio valetudinis et temporis Ex-tiae V. tulisset, ut eam Romae videremus, mihi sane longe gratissimum accidisset, qui ei non solum ob id tribuo plurimum, quod ipsius dignitati et familiae amplitudini plurimum debetur, sed multo etiam magis quod ipsa Ex. V. tam multa habeat erga Catholicam Religionem merita et tam insignibus christianae pietatis laudibus feratur. Itaque quibus praesentem benevolentiae atque observantiae officiis prosecuturus fueram, ea etiam absenti, ac in patriam redeunti pari animo defero, iisdemque me Ex. V. uinculis necessitudinis devinctum post hoc sibi esse existimet quibus Ill.mo Cardinali Radzivillo eius fratri ob excellentem ipsius virtutem et erga me voluntatem, et humanitatem iam pridem obstrictus sum. Deum precor ut recreata, confirmataque valetudine Ex. V. ad suos reducat et diutissime. conservet. Romae XXIX Maii MDXCIII.

Ex-tiae V. serv.

A. Card Montaltus.

Książę Mikołaj Krzysztof prosił Papieża Klemensa VIII o udzielenie wiernym z racyi poświęcenia zbudowanego przezeń nowego Kościoła (Bożego Ciała) odpustu zupełnego. Ojciec św. zgodził się tylko na odpust częściowy, o czym Kardynał Bellarmin Księcia uwiadomił,

Ill.-me Princeps. ²⁾

Ego D. V. Ill.-am pignoribus meis onerare dicor, re autem ipsa vestris pignoribus, iisque nobilissimis oneror, et quamquam agnosco in his muneribus propensionem erga me vestram, et gratias, ut par est, ago: tamen propositum mihi est, vacuas manus a muneribus gererem atque hactenus preciosa dona Principum virorum recusavi, vel remisi. Quod meum institutum cum D. V. Ill.-ma servare nolui, ne tamen procul preciosae illae pelles reportandae essent. Sed obnixè rogo, ut si me amat, nihil tale amplius ad me mittat, nisi velit eas a me distrahi, et precium pauperibus erogari. Quod et de his, quas nunc misit facere cogito.

Georgium Alexandrum familiarem Ill.-mae D. V. libentissime vidi, et negocia quae perficienda detulit, optima adunate complexus sum. Quod attinet ad plenariam indulgentiam, Sanctissimus Dnus Noster iam dudum decrevit non esse concedendam deinceps, nisi maximis de causis. Itaque Cardinali Matthesio qui primus (ut inter nos convenimus)

¹⁾ Cf. Fol. 353. — ²⁾ Cf. Fol. 76. —

de hac re mentionem fecit, Summus Pontifex praecise respondit, Indulgentiam aliquam libenter daturum, sed non plenariam. Reliqua negocia quae per D. Marcellum Vestrium secretarum expedienda erant, brevi ut spero, conficientur omnia. Nam idem secretarius cum a Cardinali Matthesio, cum a me rogatus ea se quam primum expediturum promisit. Laudo pietatem et religionem animi vestri, quo sciret in iis quae a Summo Pontifice tanta solitudine postulatis, et de qua eum ab aliis multis, eum ab hoc ipso D. Georgio Alexandro certior factus sum. Deus Optimus Max. eam pietatem in pectore vestro confirmet, et augeat. Valeat Ill.-ma D. V. et mea opera, si qua in re opus fuerit, libere utatur. Datum Romae die 26. Septembris 1602.

D. V. Ill.-mae

Addictiss. ad serviendum

Robertus Card. Bellarminus.

Najuczeńsi i najświętobliwsi z Kardynałów byli w listownych z księciem Mikołajem Krzysztolfem stosunkach. Oto kilka listów Bellarmina, Baroniusza, Lancelotti'ego i di Montalto świadczących jak żywy udział brali ci wielcy mężowie Kościoła w domowych nawet dziejach Radziwiłłowskiego rodu.

Ill.-me Princeps. ¹⁾

Vidi magna cum voluptate filios Ill.-mae Dom. Vrae, qui memoriam mihi refricarunt Ill.-mi et R.-mi D. Cardinalis Radzivillii, cum quo non exiguum tempus iucundissime vixeram. fuerat mihi aliquando discipulus simul et Dominus, postea vero Collega et Coepiscopus, sed quamquam iunior me esset aetate, tamen praecessit in patriam, ut pie credimus, et speramus. Nescio an dabitur mihi occasio aliqua in re serviendi lectissimis adolescentibus; ego certe id cupio, atque operam meam illis obtuli, si qua in re uti ipsa voluerint. Precor interim Deum, ut et Ill.-mam D. V. et filios eius diu servet incolumes. Romae die 7. Novembris 1606.

Ill.-mae D. Vrae

Addictissimus ad serviendum

Robertus Card. Bellarminus.

Ill.-me Dne. ²⁾

Litteras Ill.-mae D. V. 29 Junii ad me scriptas accepi, quae multis nominibus mihi gratissimae fuerunt; tum quod intelligerem Annales

¹⁾ Cf. Fol. 77. ²⁾ cf. Fol. 92. —

meos gratos sibi extitisse, eosque prudentissimo suo iudicio comprobare; deinde quod familiarem suum virum nobilem non modo mihi commendare, sed et pluribus verbis de statu suo disserentem, quod mihi auditu fuit iucundissimum compellere, licuerit: maxime vero, quod ita sit erga me animatus, ut sua negocia, quae in Urbe tractari debent, mihi communicare committere que visum fuerit. Quibus quidem nihil mihi acceptius potuit accidere, quod non nunc tantum, sed et iampridem animi mei in Ill.-mae D. V. propensionem declarare optaverim. Quapropter et eum quem Romam misit, perhumaniter excepi; omniaque sua negocia, ita mihi curae et cordi futura, sum pollicitus, ut non minori benevolentia me in Ill.-ma D. V. quam se erga me affectum esse poterit existimare. Deus Ill.-mam D. V. diu superstitem servet incolumem. Ex Urbe. III. Cal. Oct. MDCL.

Ill.-mae D. V.

Manu Card. Pro munere pellium missarum gratias plurimas ago, licet magis incalescere cuperem amore Dei...

Addictissimus servitor.

Ces. Card. Baronius.

Ill.-me Domine. ¹⁾

Incredibili me voluptate afficere nobilissimi adolescentes Ioannes et Albertus Ill.-mae Dom.-nis Vrae filii, non ob id solum quod eos videns videbar mihi videre prae memoriae Cardinalem Radzivillum, quem ego virum ob praeclara virtutum ornamenta, quibus splendescebat, mirifice semper observavi. Verum et multo magis ob modestissimam iuvenum ipsorum gravitatem, gravissimamque morum elegantiam, quibus omnium animos sibi conciliant. Quamobrem eos sum amplexatus, uti filios, omnemque eis meam operam obtuli, qua si aliquando utantur, intelligent profecto, et quanto eos amore prosequar...

Romae 9 Nov. 1606.

Ces. Card. Baronius.

Ill.-me Excel.-me Dne. ²⁾

Ex literis Excell.-ae Vrae intellexi quanto ipsa merore affecta fuerit ex obitu coniugis suae carissimae, cuius anima in benedictione sit, et pro summa mea erga ipsam animi devotione atque observantia, non mediocre dolorem percepi, quem volui meis hisce literis Excell.-ae Vrae significare. Verum in hoc, ut in ceteris omnibus divinae providentiae acquiescendum est, prout ipsam pro singulari sua

¹⁾ cf. Fol. 94. — ²⁾ cf. Fol. 116. —

prudencia, ac pietate facturam esse certo scio, ita ut nec mea, nec ullius indigeat hortatione. Deum interim precor ut iacturam hanc multo maiori felicitate compenset, et Excell-am Vram quam diutiss-e servet incolumem, cui me ex animo commendo. Romae die IX Ianuarii 1597. Excell-ae Vrae

Servitor dediss-mus

S. Card. Lancelottus.

Z polecenia Papieża Innocentego XI pisze Kardynał di Montalto dnia 18 kwietnia 1587 do Księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła list następujący:

Ill-me Domine. ¹⁾

Ex litteris Ill-mae D. Vrae 19. Ianuarii datis, quae nuper reditae S-mo Domino nostro sunt duplici laetitiae Sanctitas sua est affecta; et quod studio, cura, monitis Ill-mae D. Vrae permota ipsius Coniux, et adiuta praeterea caelestis gratiae ope, relictis pravissimarum opinionum erroribus, quibus imbuta a parvula, innutritaque fuerat ad Catholicae Ecclesiae, et verae pietatis cultum redierit; et quod hunc reditum eius, atque hoc Ill-mae D. V. in illa reducenda studium, tam insigni clementiae suae munere compensaverit Deus, filiosque auxerit Ill-mam D. V. scilicet tam sanctum coniugium optato fructu diu carere divina benignitas sua non est. Utrumque Sanctitas sua iussit me suis verbis Ill-mae D. V. coniugique eius gratulari; quibus et suam benedictionem paterno animi affectu impartitur; et Deum orat, ut suscipiendis, atque in Christianae pietatis et Catholicae disciplinae praeceptis educandis liberis diu utrumque in sanctae charitatis coniunctione conservet, ac tueatur. Ego Ill-mae D. Vrae operam, atque observantiam meam deferens, omnia a Deo secunda et prospera precor. Romae 18. Aprilis. 1587. Ill-mae D. Vrae deditissimus *A. Card. Montaltus.*

Na zakończenie — oto trzy listy wystosowane do Kardynała Jerzego Radziwiłła. W pierwszym z nich Kardynał Hozyusz poleca Księciu Kardynałowi O. Piotra Skargę; w drugim — Kardynał Deza zaprasza Kardynała Radziwiłła iżby do Rzymu przyjechał i tam stale zamieszkał; w trzecim наконец — Kardynał Bellarmin donosi Księciu Jerzemu Radziwiłłowi o zaszczyceniu go Kardynalską godnością.

¹⁾ cf. Fol. 352.



Kardynał Jerzy Radziwiłł.

Rme Dne. ¹⁾

Cum reverteretur istuc D. Skarga, nolui praetermittere, quin R. mae D. Vrae fortunatum iter, quo, ut spero usa est, per literas meas gratularer. Doluit is vehementer, quod in hac Urbe R. D. Vram non invenerit, et erat animo plane perturbato, sed tamen sic omnia R-mae D. Vrae negotia transegisse videtur; ut non solum fidei, sed etiam ingenii laudem mereatur. Quibus etiam in rebus consilium meum implovavit, lubens illi impartivi, nec unquam sum defuturus omnibus negotiis quae ad R. D. Vram pertinere cognovero. Quid agitur in Urbe, dicet ipse coram. Ego sicut ante feci, sic et nunc meos isthic omnes, gratiae protectionisque R-mae D. Vrae commendo; ac illam bene et feliciter valere cupio. Datum Romae 16. Decembris 1577.

Frater addictissimus

*Stan. Car. Varin.*Ill-me ac R-me Dne mi Colen-me. ²⁾

Valde me delectavit epistola tua, amoris et humanitatis plena, quam mihi Horatius Ferrarius Ill-mae D. T. familiaris reddidit: vehementerque consilii tui rationem probo, quo significas, te urbis huius desiderio flagrare. Nec sane miror, cum non solum haec sit communis omnium patria, sed in ea honestissimum sibi ac perpetuum domicilium constituent omnes, qui in aliqua Ecclesiastica dignitate sunt collati, praesertim vero Cardinales. Verum tamen quantum voluptatis allatura tibi est urbs ipsa suo iucundissimo aspectu, tantumdem plane doloris afferet sanctissimi patris Gregorii XIII e vita sublatis absentia, cuius etiamnum recreamur nomine. Sixtum nihilominus V. patrem clementissimum, atque vigilantissimum eius loci suffectum reperies, pacis, aequitatisque studiosissimum. Quare (ut ad initium redeam) consilium mihi tuum (Ill-me Dne) valde probatur: simulque etiam atque etiam te rogo, ut si qua in re mea tibi industria, ac diligentia usui esse poterit, ea sic utaris, ut amantio rem hic tui, obsequentio remque, neminem te habiturum esse pro comperto habeas: quod etiam Ferrario tuo ultro, prolixque detuli. Vale. Prid. Idus Julii Romae. MDLXXXV.

Ill-mae ac R-mae D. V. humilimus servus.

*P. Car. Deza.*Ill-me et R-me Dne obser-me. ³⁾

Quam ab annis supra viginti, de Ill-mae Amplit-nis Vestrae pietate erga communem parentem nram catholicam Ecclesiam, et singu-

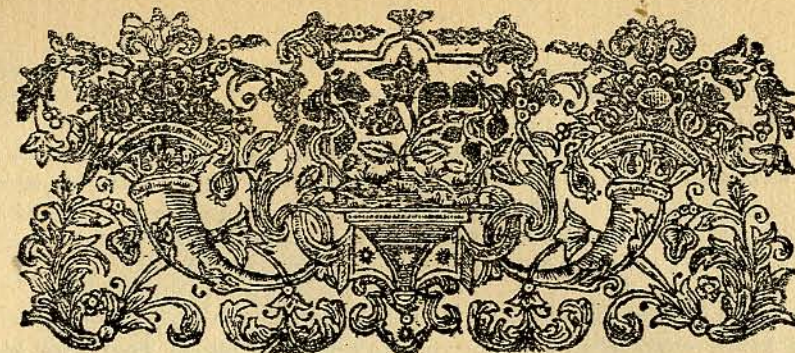
¹⁾ Cf. Fol. 389. — ²⁾ Cf. Fol. 155. — ³⁾ Cf. Fol. 78.

lari erga me servulum suum amore, opinionem concepi, eam nunc epistola dignationis vestrae, mirifice confirmavit. Nam quod Amplitudo vestra gratulatur Ecclesiae catholicae, sacro collegio et societati Jesu, de nova cardinalium promotione id facit, quia catholicam Ecclesiam ut amant. mus filius, sacrum collegium, ut praeclarum ipsius membrum, societatem Jesu, ut insignis eius patronus, vehementer diligit. In eo solum, pace vestra dixerim, fallitur, quod personae meae dignam gratulationis materiam arbitratur. sed error iste, amoris erga me vestri argumentum non dubium est. Quia vero exploratum apud me erat Ill. mam Dominationem Vestram ob antiquam servitutem meam praeter caeteros, de hac promotione laetitiam percepturam fuisse propterea, primis illis diebus, quibus Cardinalis renunciatus sum, de hac ipsa re, ad eandem Amplitudinem Vestram litteras dedi. Sed quam laetitiae materiam aliis omnibus, vel amicis, uel Dominis meis futurae credidi, et nunc ex eorum litteris fuisse video, mihi tristitiae causam non vulgaris fuisse, Dominatio Vestra Ill-ma facile, si me bene novit, sibi persuadere poterit. Meminit enim Amplitudo Vestra, quam ego refugere solem domos nobilium, quam libenter in cubilio meo clausus, totos dies, libris inhaererem: nec illud fortasse oblita est, quam frequenter in ore haberem illud beati Francisci sapientissimum dictum, in obedientia lucrum, in praelatione periculum. Denique non ignorat me ab ineunte adolescentia, per annos fere quadraginta, suave iugum Religionis libentissime portasse. Quid igitur animi geram nunc, cum me videam prope ad seculum rediisse, quando ad exitum de corpore, me parare debueram, Amplitudini Vestrae cogitandum relinquo. Verum enim, quia voluntas non nostra, sed Domini nobis facienda est, imperio Dei, per vicarium ipsius, sub interminatione laetalis culpae atque adeo mortis aeternae, mihi terribiliter intonanti, non potui non obedire. Itaque parui, ut debui, et nunc, cum timore, et trimore, Apostolicae sedi eiusque Pontifici Maximo assisto non de meis viribus, sed de solius Dei pietate confidens: ad quam pietatem mihi conciliandam, auxilia orationum servorum Dei et consilia veteranorum in hac sacra militia, inter quos Amplitudo Vestra praecipuum locum tenet, ut necessaria, sic etiam parata esse non dubito. Quod superest, me Dominationis Vestrae Ill-mae obsequiis promptissimum offero, sacrasque eius manus humiliter deosculor et utrique nostrum a Deo precor, sic transire per bona temporalia, ut non omittamus aeterna. Romae kal. Maii 1599.

Ill-mae et R-mae Dominationis Vestrae humilim. suus servus

Rob. Card. Bellarminus.

Do drucku podał *Dom Antonio Staerk, O. S. B.*



Czasopisma polskie na Litwie.

IV.

Poglądy polityczno-społeczne Szubrawców: stosunek do samorządu szlacheckiego, urzędników z wyboru, sejmików. — Tendencje biurokratyczno-centralistyczne i sympatje do instytucji rosyjskich. — Szubrawcy, a kwestja uwłaszczenia włościan. — Antysemityzm Szubrawców i poglądy na emancypację kobiet. — Sądy o Szubrawcach: Lelewela, Mochnackiego, Balińskiego. — Szubrawcy, a Mickiewicz.

Jeżeli dziś, po osiemdziesięciu latach od chwili zawieszenia «Wiad. brukowych», czytać zaczniemy roczniki tego pisma, to pierwszą rzeczą, która uderzyć musi, będzie nienawiść do tych resztek instytucji polskich, jakie pozostawiono Litwie, a przede wszystkim do samorządu szlacheckiego. Publicyści z obozu szubrawskiego biją weń niezmordowanie w każdym numerze. Wybieralność urzędów administracji i sądownictwa miejscowego jest ich zdaniem anachronizmem, nie wytrzymującym żadnej krytyki, nonsensem. Szydzą też z niej Szubrawcy, starając się argumentacją wszelkiego rodzaju przekonać społeczeństwo, że tak jest w istocie, że samorząd się przeżył, że należy zastąpić go organizacją nową, nawskroś biurokratyczną. Urzędnicy z wyższem wykształceniem, których zdolności wypróbowane zostały w służbie państwowej, mają być mianowani przez władzę centralną...

Takie to «zdrowe» poglądy sięgają wśród nieszczęśliwej, oderwanej od pnia ojczystego inteligencji polskiej na Litwie...

Na potwierdzenie słuszności uwag powyższych pozwolę sobie przytoczyć kilka ustępów z «Wiad. brukowych». Oto co naprzykład pisze autor artykułu o nieistniejących naturalnie w rzeczywistości «Badaniach historycznych nad godnościami i urzędami dziedzicznymi w Chinach»:

«Uczony pisarz, ostrzegłszy czytelników na wstępie, że w obszernem państwie chińskiem nie masz innej szlachty prócz tej, która na usługach kraju tego zaszczytną dostąpiła, zbacza do zachodnich tego państwa prowincji, w których mieszkają liczni sławnego Konfucjusza potomkowie.

Używają oni praw przywilejów i swobód tak dalece, że rodzaj uszlachcenia jest w tej familji w obojej płci dziedziczny z utratą nawet włości i majątku i przejściem do stanu rolnika nie utracą się.

A lubo w Chinach dochody skarbu składają się z pogłównego, klasa ta do żadnych ciężarów i podatków nie należy, ale zwała je na sobie poddanych włościan, których w stanie niewoli utrzymuje. Klasa ta otwarte ma drogi do najdostojniejszych urzędów, jak cywilnych i duchownych, sędzi się na dawnych przepisach Konfucjusza Urzędników sama sobie na pewien przeciąg czasu wybiera.

Jednem słowem, kiedy 20 lat później, zniesiono przywileje szlachty, a tej która «przeszła do stanu rolnika» kazano płacić pogłowne, kiedy na urzędy zaczęto mianować tych, co «na usługach kraju zaszczytu dostąpili», to jest «czynowników» i zniesiono statut litewski, «dawne przepisy Konfucjusza» — wykształcona przez Szubrawców opinja publiczna winna była tylko przyklasnąć reformom tak liberalnym, zgodnym z duchem czasu...

Wbrew licznym świadectwom pamiętnikarzy, którzy odzywają się jaknajlepiej o ostatnich mohikanach samorządu miejscowego, twierdząc, że sędziowie, assesorzy, sprawnicy wybieralni, byli to urzędnicy uczciwi, ulegający może czasami wpływom próśb i protekcji, ale bezwarunkowo ludzie z czystymi rękoma, nie biorący łapówek, w «Wiad. brukowych» aż się roi od oskarżeń urzędników samorządu. Można tam spotkać w każdym numerze takie koncepty:

«W Egipcie przedstawiano sędziów w kształcie posągów bez rąk ze spuszczo-nemi oczyma, u nas, gdyby nie tylko posągom, ale i żywym poucinano ręce i nogi, nie można zaręczyć, żeby się oblił między poduszki, albo jaki pakiet asygnał między papiery nie wcisnął i kilka fur pszenicy do folwarku nie pojechało. U nas należałoby wyobrazić sędziów w postaci posągów bez głów, ale ze stu rękoma.»

Sędzia stary i doświadczony tak pisze do swego syna:

— «Staraniem mojem i wpływami pana marszałka zostałeś sędzią grodzkim. Pomnij, że dla tego ciebie na sędziego wykie rować starałam się, żebyś na tym urzędzie zostając, ratował od upadku nasz fundusz, nadwyrężony ostatnim procederem. Powtóre pamiętaj jeśli sprawa p. marszałka przypadnie o zabranie pustoszy tej biednej wdowy żebyś dobrze sądził dla niego.

Odtąd ci ani grosza więcej dać nie myślę: dałem ci urząd sędziowski to fundusz....»

Dalej ojciec poucza syna, jak i od kogo brać należy i pisze między innemi:

«Szczególniej pozbadź się tego przekłętą wstępu do żydów. Oni są najdzielniejszą podporą, silnym kolosem sędziowskiego urzędu, bez nich każdy urzędnik łapy polizać-by musiał. Oni wprawdzie wiele dać nie mogą, ale dają niewiele, lecz często.

«Trzeba żyć w przyjaźni z ziemstwem i wyższą instancją i często im wydawać śniadania i obiady. Nie będziesz się obawiał sztrafów za krzywe sądy i prędzej naznaczą cię na jaką porządną eksdywizję»...

Eksdywizja zaś czyli opieka nad majątkiem dłużnika niewypłacalnego, to, zdaniem «Wiadomości» najlepsze okazje do wszelkich nadu-



Twardowski.



Michał Baliński.



Szymon Malewski.



Joachim Lelewel.

żyć służbowych i dojścia do majątku nielegalną drogą. We wzmiankowanym już powyżej studjum o urzędach w Chinach Szubrawcy mieli zamiar podać rodzaj encyklopedji nadużyć urzędniczych, wyszczególnić grzechy każdej rangi, każdego stanowiska. Chwalebny ten zamiar wykonany został tylko w części nieznaczej, gdyż, zapowiadawszy dalszy ciąg «Badań», «Wiadomości» już ich nie dały. Jest rzeczą możliwą, że wdała się w to cenzura i zabroniła dalszego szykanowania urzędników.

«W Chinach, piszą «Wiadomości», prawa nie zawierają przepisów ogólnych, lecz wyliczają szczegółowo, czego żaden urzędnik państwowy robić nie powinien.

«Pierwszy urzędnik w okręgu nazywa się guoan i porównany jest z godnością mandaryna 5 klasy. Wykroczenia jego są następujące: 1) nie powinien pobierać na swój zysk pensji sekretarza; 2) kiedy zwierzchność nakaze dla konstytuujących, lub przechodzących wojsk dostarczyć stu wołów, nie należy brać w sekwestr 600 sztuk z tych 500 na swój zysk obracać; 3) w czasie licytacji stacji pocztowych nie należy jeździć do miasta stołecznego i tam wszystkie stacje zaliczowawszy, wypuszczać je ludziom, w kraju szachrajstwem się bawiącym, zarabiając na tym procederze po 4000 taelów i więcej».

Tak się bawili, jeśli wierzyć Szubrawcom, sprawnicy, czy asesorowie. Tym ostatnim szczególnie dokuczają «Wiadomości». Byli to ich zdaniem łapownicy, gbury, znęcający się przy każdej sposobności nad ludem. Wynika ztąd niby, że Mickiewicz, malując swego asesora, przeoczył najbardziej charakterystyczne cechy tego urzędnika... Już to wogóle przyznać trzeba, że wielki poeta chyba pobłądził, bo dając w swem arcydziele szereg sylwetek rozmaitych osób: «szanownych w powiecie», mających «urząd», nie wspomniał, że ci podkomorzowie, sędziowie, asesorzy, rejenci to łotry nad łotrąmi, a w najlepszym wypadku niedołęgi, nie wiedział, że sędzia Soplica, mając nadzieję przy pomocy podkomorzego przeforsować z czasem na jakiś urząd Tadeusza, wpaja w niego zasady, wyszczególnione powyżej. Ba, Mickiewicz nie widział w tem nic złego, że owe przyjęcia u sędziego miały na względzie zaskarbienie względów «ziemstwa i wyższej instancji». Rzecz jednak dziwna, jeżeli Mickiewicz nie wie, co to za ptaszki ci dostojnicy powiatowi, to dla czego o tem również nie wie taki stary wyga wszędobyłski, jak Gerwazy, dla czego nie wspomina hrabiemu o żadnych nadużyciach służbowych sędziego?..

Jeden z tąd tylko wniosek: ani Mickiewicz, ani Gerwazy nie wierzyli oszczerstwom, miotanym przez «Wiadomości Brukowe», na urzędników wybieralnych.

Czy czytał je Gerwazy, o tem nie nie wiemy, ale, że czytywał je Mickiewicz, a nawet przygodnie był ich współpracownikiem, to już wiemy napewno z listu Maryli, która pisze:

«Wielka dla mnie była siurpryza, gdym znalazła rozdziałki Pana, umieszczone w Brukowcach, do których zawsze miałam awersję. Przystaje odtąd deklamować przeciw Szubrawcom i ich brukowcom».

Monografie o Mickiewiczu nie wyświetliły dotąd, o jakich to «rozdziakach» mówi Maryla, jaki charakter nosiło współpracownictwo wielkiego Adama w «Wiadomościach», jakim był jego stosunek do Szubrawców, jedno przecie mamy prawo twierdzić: nie podzielał on poglądów Szubrawców na samorząd szlachecki, bo, gdyby tak było, jego «Pan Tadeusz» wyglądał-by zupełnie inaczej, dawał obraz zgnilizny moralnej, nadużyć, łapownictwa, jakie rzekomo panowało wśród urzędników z wyboru.

To też sądźmy, że Szubrawcy mylili się, a ponieważ nie mogli przekonać o słuszności swoich poglądów Mickiewicza, więc i my twierdzić będziemy, że byli wprost złośliwymi oszczercami, że społeczeństwo polskie na Litwie nie było tak złem i zdemoralizowanym, jak twierdzą oni, budząc «awersję» w naturach prostych i szczerych.

Niektóre insynuacje Szubrawców są wprost naiwne, jak na przykład:

«Czynność urzędników w cywilnem naszym urzędowaniu ta zwykle bywa: codziennie po kilka godzin siedzieć z założonemi rękoma, słuchać patrońskich najczęściej bez sensu andronów, potem zdanie na tę lub ową stronę dawać, a po napisaniu od ręki, *currente calamo* wyroku, podpisać się i na tem koniec czynności. Znajomość praw i zdutność osób, używanych do pióra zależy na tem: wedle form, poświęconych zwyczajem, pisać dekrety i różne dokumenta i ad casum umieć przytoczyć prawa».

Dla czego Szubrawcy tak nienawidzili samorząd szlachecki, szykanowali go z taką zjadłością, zrozumieć łatwo. Szubrawcy — to elita inteligencji miejskiej, jakas tworzył na Litwie uniwersytet. Rok rocznie alma mater wyprowadzała w świat kilkudziesięciu ludzi, uzdolnionych, przygotowanych do służby rządowej. Ludzie ci potrzebowali pola pracy, a pole to było dość ograniczone: nauczycielstwo, medycyna, rzadko urząd w jakiej komisji w mieście gubernialnem — oto jedyne drogi wychowalców uniwersytetu. Łaknęli oni urzędów i posad, zajmowanych przez posesjonatów, radzi byli ich usunąć i sięść na ich miejsca, do czego czuli się i zdolniejszymi i lepiej przygotowanymi. Ztąd walka, ztąd nienawiść.

Sami Szubrawcy naturalnie nie byli tak otwarci, nie mówili wprost: należy posady sprawników, asesorów, sędziów i t. d. powierzać osobom z wyższem wykształceniem, odrzucić przestarzałą zasadę wybieralności urzędów, wprowadzić system mianowań.

Ich nienawiść do samorządu płynęła, ich własnym zdaniem, z miłości dla ludu, z zasad demokratycznych. O demokratyczności towarzysztwa tak prawi Szubrawissimus Okopirnos (czyj to pseudonim — nie wiemy):

— «Szubrawcy od wielu tysięcy lat trwają, a to poczynając od potopu świata. Noe patriarcha przez lat wiele upominał zepsuty lud, ażeby w występках i niegodziwościach swoich poprawił się. Syn jego Cham był Szubrawcem, bo się z pijactwa naśmiewał. Złe wprawdzie zrobił, że nie przebaczył tej ułomności własnemu ojcu, został też za to ukarany, bo lud po nim idący zdegradował na chłopów, z którego

to stanu i my jego potomkowie, już w późniejszym czasie przeszliśmy na szlachtę to przez indygenaty, to przez nobilitację. Ale naśmiewanie się z pijaków zostało naszą przyrodzoną namiętnością tak dalece, że, chociaż przekonani jesteśmy, że z ojcowskich przywar uragać jest grzechem prawdziwym, zdarzało się nam z własnego ojca śmiać».

— To jest pierwszym wielkim dowodem, że od Chama pochodzimy. Drugi, równie mocny, jest: że własności przyrodzonej chłopów to jest wolności broniąc, jesteśmy wielkimi przyjaciółmi chłopów i niemiłosiernie szydzimy z tych mniemanych panów, którzy się nie po ludzku z chłopami obchodzą i ich uciskają. A tu wyraźnie odkrywa się wrodzona braterska miłość z mlekiem krwi w żyły nasze wlana».

Na koniec mądrzy jeszcze Szubrawissimus, że Cham miał wnuka Raamaha, ten zaś syna Szeba który się zwał Szeba syn Raamaha czyli Szeba Raamicz, zkąd tedy pochodzi wyraz: Szubrawiec...

Bądź co bądź przyznać trzeba, że występowanie w obronie ludu, nawoływanie do ludzkiego postępowania z włościanami, do niestosowania kar fizycznych, to wielka zasługa Szubrawców, za którą nie jeden grzech wybaczony im będzie, chociaż i w artykułach w kwestji włościańskiej jest prawdopodobnie ta sama przesada, co i w piętnowaniu urzędników wybieralnych.

W tym okresie, chociaż pańszczyzna jeszcze istniała, ale oświeceny ogół szlachecki na Litwie sam podnosił głos w sprawie polepszenia bytu włościan, a nawet ich uwolnienia z poddaństwa jak tego dowodzi uwieczniony przez Mickiewicza w przypiskach do «Pana Tadeusza» sejmik gub. wileńskiej, w r. 1817 na którym uchwalony wniesić prośbę do tronu o polepszenie bytu włościan.

Historja nasze wie nie wiele o sejmiku z r. 1817, ale uchwały jego dowodzą, że ogół ziemianstwa litewskiego był przeciwny poddaństwu, wobec czego nie musiano już zapewne obchodzić się nieludzko z włościanami. Tymczasem Szubrawcy, a zwłaszcza «Szlacheie na łopacie» szczególnie lubują się w piętnowaniu znęcania nad włościanami, radzą szlacheie dla karcenia nieposłusznych i leniwych nabywać «machine do bicia chłopów», którą wynalazł i opisał w jednym z pierwszych numerów «Wiadomości» jakiś anonim i t. d.

Bądź co bądź ciągle wymawianie szlacheie, zasłużenie, czy niezasłużenie, że się nieludzko obchodzi z chłopami, szykanowanie jej zato, to jednak zasługa Szubrawców: pańszczyzna istniała, obowiązkiem publicystyki było ją zohydzać, nadmiaru energii w tym kierunku nie można brać za złe Szubrawcom.

Szubrawcy oczywiście nie byli zwolennikami sejmików i lekceważyli tę przestarzałą, z ich stanowiska, instytucję niezdolną do jakiegokolwiek uchwał liberalnych. Szlachta jakiegoś powiatu taką daje, jak donoszą «Wiadomości» instrukcję swemu delegatowi:

— «Zgromadzenie narodowe, czyli sejmiki, dziś podupadłe, masz się starać nadawnym stopniu blasku i świetności postawić, czuwać nad utrzymaniem i powiększeniem prerogatyw szlacheckich, wydać dzieło, któreby różnice między szlachtą,

a mieszczanami i chłopami wykazało, powściągać zapal do nauki, przywracać cześć i sławę urzędów i godności, tylekroć obelżywie przez Szubrawców szarpaną».

Dalej instrukcja zaleca:

«Pracować około polepszenia bytu ludu izraelskiego, niegdyś od Boga ukochanego, a przywilejami królów naszych obdarzonego».

Do liczby wad i przywar, jakie zarzucają Szubrawcy szlachcie, znajduje się protegowanie żydów, za co ją piętnują «Wiadomości», których jedną z cech jest bardzo ostry antysemityzm. Potrafilo go Szubrawcy godzić ze swoim liberalizmem, żydów zaś szykanują prawie tyle co szlachtę:

— «Starozakonny, — piszą «Wiadomości» z przekąsem, — dba najwięcej o dobry byt włóścian, o ich zdrowie, ochędństwo, bo wódka z chaty nigdy nie wychodzi. Dotąd jeszcze nie przywykli chłopci do obserwowania święta szabasu, ale i do tego powoli nawykają»...

O antysemityzmie Szubrawców pomówimy jeszcze. Wracając do stosunku tego towarzystwa do sejmików, pozwolę sobie przytoczyć ustęp jeszcze z jednej «instrukcji» poselskiej:

— «Wnieś protest przeciw wszelkim nowościom. Słyszę, że wiele jest zagorzańców, zwłaszcza wśród młodzieży naszej, co to naczytawszy się bezbożnych pisarzy i lisnawszy nieco akademii, o niczem nie gada, tylko o polepszeniu stanu chłopów i niektórzy mają wnosić tę materję na obradach. Zamknij im gębę i wystaw całe niebezpieczeństwo, wyniknąć ztąd mogące. Zagłusz nowatorów, którzy chcą wprowadzić to, czego nie było, a co żadnym sposobem być nie może i nie powinno. Jeśli nie ustnie, to choć podrzuć skrycie jakie pisemko, które-by wyświecało całą zuchwałość tych ichnościów, którzy w swych «Brukowych wiadomościach» tak śmiało sobie poczynają».

O żydach Szubrawcy są niewysokiego zdania: mają ich za szachrajów, zarzucają im, że spajają lud, i wogóle są czynnikiem szkodliwym. O dążeniach żydów w oświeceniu Szubrawców daje pojęcie następujący «list Benzela Chaimowicza do przyjaciela, obywatela m. Wilna, utrzymującego handel winny». Benzel dowodzi przyjacielowi, że pewien szlachciec, jego dłużnik:

«Ma folwark z kilkoma muzykami, który oddaje mi w zastawną dzierżawę, tylko prosi jeszcze 10.000. Pożycz mi czego dostawać nie będzie. Sorka moja bardzo lubi ten folwark i często mówi, że lepiej jest mieć własnych muzyków do obmywania bachorów, do prania bielizny i do wygodnego obsłużenia w szabas i inne święto. Kiedy to wszystko uskuteczysz, o co proszę, to i ja tobie naraję folwark z muzykami, jak chcesz kupić, wziąć w zastaw lub arendować. O pieniądze nie trudno dla nas, bo my żydowie prawie wszystką gotowiznę w rękach mamy».

Na zakończenie charakterystyki poglądów Szubrawców zaznaczyć jeszcze wypada, że byli oni wielkimi przeciwnikami poczynającego się wówczas ruchu emancypacyjnego i «Wiad. bruk.» szydzą z niewiast, dążących do równouprawnienia nie mniej zjadliwie, niż z żydów, szlachty i t. d. Ogłaszają naprzykład «Wiadomości», że kobiety zakładają towarzystwo, którego ustawa opiewa między innemi:

«Nie przyjmuje się żadna osoba, która zatrudnia się brudnem gospodarstwem. Gdyby dowiedziono, że była raz w spiżarni lub kuchni, że wie ile ma indyckich lub kurcząt, zostanie niezwłocznie z towarzystwa wykluczona, żadna z członkiń nie powinna karmić, bo to psuje pieć delikatną i piękną kibić».

Wogóle statuty towarzystwa są nader surowe i wyklucza się z jego grona każda niewiasta, ulegająca mężowi, lub, gdyby udowodniono, że «cierpliwie znosi jego impertynencje». Gdyby która z nich miała imię pospolite, po wejściu to towarzystwa otrzymuje inne «piękniejsze i niepospolite».

Szubrawcy nie cieszyli się zbyt uznaniem współczesnych. W listach Lelewela znajdujemy taki ustęp o «Wiad. brukowych»:

— «Brukowych Wiadomości» nie kupuję, bo szkoda groszy, a ludzie w kalkulacjach kieszonkowych szkalujący i czerniący imię narodowe nieradzi udzielać egzemplarzy, z ukosa nawet na przypadkowe czytanie patrzą. Piszę w tej mierze do Brunka, żeby się z «Bruk. Wiad.» nie wdawał, bo pomimo tego, że się stowarzyszenie Szubrawców wzmacnia przybytymi doń osobami, samo jednak pismo jest tego rodzaju, że kiedy rzeczy swem słowem nawiedzi, ma to do siebie, iż plamę na niego rzuca, bo same przestępstwa ściga. Żałują oni często, ale myśl krotofilna nieuważnymi ich czyni».

Mochnacki pisze o Szubrawcach:

«Zarzucono im, że byli towarzystwem więcej kosmopolitycznem, niż patriotycznym, bardziej krytycznem, niż organicznem, że przyczynili się do utworzenia między polakami, bawiącymi w Petersburgu, pewnego związku duchów mocnych polskich, pośród których największym był później krzykaczem orjentalista, Szubrawiec Sękowski, — którzy zasadzali cały swój rozum na tem, aby być polakami nie takimi jak ich przodkowie, którzy wreszcie, coraz dalej idąc na drodze egoizmu i zafiania w samych sobie, skończyli na tem, że dla polaków stali się rosjanami, a od rosjan sprawiedliwie wzgardzeni i znienawidzeni, byli w krótkce nakształt mułów w stadzie, dobrych do dźwigania ciężarów, lecz zbędkarzących i nie reprezentujących żadnej rady».

Rzeczywiście młode pokolenie Szubrawców nie udało się i do niego należeli tak smutnej pamięci ludzie, jak Sękowski (imię szubrawskie Józef Swajtestyk), Bulharyn (Warpu II), Przeclawski. Filozofia i historjozofia Szubrawców nie wpływała widocznie na utworzenie organizacji duchowych, silnych pod względem narodowościowym. Z drugiej strony przyznać trzeba, że stowarzyszenie wydało nie mało ludzi nieskazitelných, których zasługi są nie małe. Do takich należy na przykład Michał Baliński, witajnik Auszlawis, autor monografii Wilna i «obrazu starożytnej Polski». Począwszy od składania rymów na cześć stowarzyszenia Szubrawców, całe już życie poświęcił przeważnie wychwalaniu obydwu Śniadeckich, z którymi był spowinowacony i pośrednio Szubrawców. Baliński czeł bałwochwaleczno nauczycieli i towarzyszy młodości, zebrał i wydał starannie dzieła obydwóch Śniadeckich, napisał zyciorysy obydwóch, a za jedną drogą wynosił pod niebiosa Szubrawców. Sąd Balińskiego bez skontrolowania, bez zbadania pierwszych źródeł dostał się do monografii i podręczników literatury.

Każdego, kto badał stosunki literackie w Wilnie na początku zeszłego wieku, musiało niezawodnie uderzyć, dla czego Szubrawcy nie przyjęli do swego gronu tak wybitnego i obiecującego młodzieńca, jakim był Mickiewicz. Oczywiście wiek tu nie mógł grać roli, gdyż taki Baliński i Sękowski nie byli starsi od Mickiewicza. Rzecz oczywista, że musiały być jakieś powody tej stanowczej niechęci, jaka darzyli się wzajem Szubrawcy i autor «Pana Tadeusza».

Dowodów, że Szubrawcy nie lubili Mickiewicza, szukać nie trzeba, wystarczy przypomnieć owe uwagi o jego wierszach, wygłoszone przez Jana Śniadeckiego w salonie pani Becu, zjadliwe wystąpienia przeciw Mickiewiczowi Jędrzeja. Szydłowski, (Szubrawiec Gulbi), któremu Zawadzki dał do oceny pierwszy tom wierszy Mickiewicza, orzekł, że tego drukować nie warto. Jeżeli do tego dodamy zatargi z rządem uniwersyteckim, który szykanował Mickiewicza, a w którym rej wodzili Szubrawcy, to tego wystarczy aby twierdzić, że poeta nie tylko nie cieszył się sympatją Szubrawców, lecz że wprost prześladowali go.

Ponieważ Mickiewicz, jak widać z listu Maryli, przytoczonego powyżej, był współpracownikiem «Wiad. brukowych», ztąd wnosić można, że stosunek nie od razu stał się wrogim, że powody niechęci musiały być głębsze i poważniejsze. Oczywiście szukać ich należy w różnicy zasad, poglądów na przeszłość i przyszłość narodu, różnicy w ocenie faktów i zjawisk społecznych.

Dowodów bezpośrednich, aby Mickiewicz płacił Szubrawcom niechęcią za niechęć, nie ma, uderza przecie jedno. Poeta miał zwyczaj uwieczniać swoich przyjaciół, bądź ofiarując im jakiś utwór, bądź nadając ich nazwiska swoim bohaterom.

Śród nazwisk ostatnich próżnobyśmy szukali Szubrawców. Tylko raz podkomorzy mówi w «Paniu Tadeuszu»: znam się też z Śniadeckim.

Który jest mądrym bardzo człkiem, chociaż świeckim.

Jeżeli zważymy, że Szubrawcy odgrywali w społeczeństwie litewskim rolę wybitną, to przyznać musimy, że takie pominięcie ich przez poetę nie jest zapewne przypadkowem.

V

«Tygodnik Wileński» — Artykuły Lelewela. — Pierwsze utwory Mickiewicza. Baliński i nowi współpracownicy «Tygodnika». — Pierwsze recenzje teatralne. — Magnetyzm Mesmera. — «Pamiętnik magnetyczny». — Józef Emanuel Lachnicki. — Poglądy pamiętnika i stosunek do Szubrawców. — Pamiętnik, a romantycy. — Prof. Saunders, —

Od r. 1818 do 1822 Szubrawcy nadają ton całej prasie periodycznej Wilna, gdyż prócz «Wiad. brukowych» zasilają i inne pisma, których liczba w tym czasie dochodzi aż do pięciu. W porządku chronologicznym prócz już istniejących: «Kurjera litewskiego», «Dziennika Wileńskiego» i «Wiad. brukowych», wychodzą «Tygodnik wileński»,

«Pamiętnik magnetyczny», «Dzieje dobroczynności» i «Miesięcznik Połocki». Tylko ten ostatni niema nic wspólnego z Szubrawcami, gdy wszystkie inne pisma redagują i zasilają Szubrawcy.

«Tygodnik wileński» założył Lelewel. Píše on o tem do ojca w liście z d. 8 września 1815 r.: «Namawiam Żółkowskiego, aby ten w Wilnie nowe pismo otworzył, do którego oczywiście ja sam najmocniejszym będę autorem».

Jakoteż 21 listopada 1815 r. ukazuje się pierwszy numer «Tygodnika wileńskiego». Ma on na wstępie kilka słów od wydawcy:

— „Już wychodzące i mające wychodzić pisma periodyczne w języku polskim sądzę, że nie są i nie będą przeszkodą do otworzenia tu w Wilnie jeszcze jednego rodzaju pisma w widokach naukowych, które częściej ukazując się jak inne, bo wychodzące co tydzień, będzie sposobniejsze do udzielania publiczności dorywczych z pod ręki pisemek rozmaitych... Aleksander Żółkowski.“

Zaraz po odezwie wydawcy umieścił swój artykuł Lelewel, pisząc:

„będę się starać kolejno umieszczać w rozmaitym sposobie pisane lub notowane objaśnienia z różnych punktów historii polskiej, ruskiej, lub ogólnie słowiańskiej, licząc w to i rzeczy litewskie, rozwijając czy to nowe widoki jakie, czy dawniej rozpoczęte nieco uzupełniające.“

Potrzeby zakładania nowego pisma naukowo-literackiego ściśle biorąc nie było i przypuszczalnie «Tygodnik» odbił tylko «Dziennikowi» nieco prenumeratorów, gdy faktycznie tak artykuły Lelewela, jak i innych jego współpracowników, mogły ukazywać się w «Dzienniku», nie tracąc na tem, zwłaszcza, że, jak zaznaczyliśmy w swoim czasie, łamy «Dziennika» stały otworem przed Lelewelem.

«Tygodnik», tak co do treści, jak nawet formy zewnętrznej mało się różni od «Dziennika»: tak samo zamieszcza od czasu do czasu jakiś artykuł Grodecka, tak samo drukuje dużo wierszy: Balińskiego, Szydłowskiego, Sobolewskiego, Błotnickiego. Lelewel zamieszcza w nim takie artykuły, jak: «Oświecenie i nauki w Polsce aż do wprowadzenia do niej druku», «Rozbiór sześciu rozpraw Bandtkiego o przedmiocie prawa polskiego» i t. d.

Historyk stylem swoich artykułów nie bardzo zaimponował wilanom i w jednym z pierwszych numerów «Tygodnika» niejaki Drwiniłło takie mu gorzkie prawdy pisze:

— „Za postrzeżenia te każdy rodak z największą bierze się ciekawością i prawdziwą chęcią nabycia wiadomości o sprawach naddziadów, ale nie mogąc się rozminąć z ustawicznymi, a czasem i mało znaczącymi cytacjami w nową jeszcze zamiast szukanego światła upada ciemnicę wobec osobliwszego sposobu tłumaczenia się pisarza tak dalece, że niekiedy w długim okresie myśli znaleźć nie podobna...“

— „Uwielbiamy pracowitość autora i nie od niego nie żądamy tylko żeby się jaśniej tłumaczył w wyobrażeniu głębokiej swej myśli i obszernych wiadomości. Pisma jego z poządlwością były by czytane od ziomków, byleby się w nich nie potrzebowali tak smarzyć i ucierać ze sprzecznymi myślami o wartości rzeczy.“

Przyznać trzeba, że Drwingillo (zdaje się, że to jeden z pseudonimów J. Śniadeckiego) ma najzupełniejszą słuszość, tylko że jego uwagi na nic się nie przydały, bo Lelewel nie tylko się nie uleczył z wad swego stylu, lecz z biegiem czasu wady te rosły tak dalece, że dziś czytanie jego dzieł należy do zajęć nie łatwych wcale.

«Tygodnik» staje się wydawnictwem, w którym ogłasza swoje badania historyk Litwy Teodor Narbutt, tu umieszcza swoje pierwsze prace: «Zimę miejską», «Żywille» i «Karyllę» Adam Mickiewicz.

Bardzo być może, że Lelewel, który nietylko był inicjatorem i redaktorem «Tygodnika», ale również wspierał go finansowo, jak to widać z jego listów, zakładając pismo miał na względzie szerzenie innych zasad i innych poglądów na przeszłość, niż te, które szerzyła wileńska arystokracja ducha, ale już w 1818 r. historyk wyjeżdża do Warszawy, a na swego zastępcę nie znajduje nikogo odpowiedniejszego jak Michała Balińskiego, Jeśpana Auszlawisa, witajnika drugiego rzędu i strażnika piastującego łopatę, czyli Szubrawca nad Szubrawcami. Od tej chwili «Tygodnik» staje się organem Szubrawców podobno w nie mniejszym stopniu, niż «Wiad. brukowe». Baliński zamieszcza tu i statut towarzystwa Szubrawców i mowy, wygłaszane na zgromadzeniach Szubrawskich, a z których wyjątki przytaczaliśmy. Baliński opatruje pierwszą kolekcję utworów muzy Szubrawskiej takim przypiskiem: «wierszy tych udzielić raczyło biuro towarzystwa Szubrawców, które nie odmawia «Tygodnikowi» łaskawej protekcji, wspierając go pięknymi owocami dowcipu».

Zresztą Baliński redagował „Tygodnik“ bardzo krótko, gdyż wyjechał zagranicę, przelawszy swoje obowiązki na Szydłowskiego, Szubrawca również, noszącego pseudonim Gulbi.

Może to prosty przypadek, ale Mickiewicz, napisawszy w tym czasie swoje «Uwagi nad Jagiellonidą», nie drukuje ich w «Tygodniku», lecz posyła je Lelewelowi, jako «uczeń słuchający niegdyś jego lekcji w uniwersytecie wileńskim, lubo z imienia tylko znajomy», z prośbą o zamieszczenie ich w «Pamiętniku Warszawskim», co też Lelewel czyni.

Natomiast na horyzoncie «Tygodnika» ukazują się takie gwiazdy, jak Bulharyn, Sękowski, Przeclawski. Charakterystyczny jest pierwszy występ Bulharyna, satyra, «Droga do szczęścia», w której autor utyskuje, że ucziwy człowiek będzie klepie, gdy poeta, co się umie przypodchlebiać możnym, układać na ich cześć madrygały, pochlebca—opływa w dostatki.

Życie Bulharyna dowiodło, że rzeczywiście znał drogę, prowadzącą do szczęścia i sam właśnie kroczył nią i tylko w satyrach, pisanych za młodu, radził innym unikać tej drogi, wykazując wymownie jej ohydę.

Zdaje się, że Bulharyn, jako Szubrawiec, nosił imię Warpu II i na jego cześć wygłosił mowę dostojnik Gurcho, w której zaznaczył:

Tyś w Szubrawców cnoty zbrojny,
Porzucił domek spokojny
I pobił na pole sławy...

Bulharyn służył w wojsku francuskim i bił się przeciw Rosji, a w «Tygodniku» umieścił: «wyjątek z pamiętnika polskiego oficera», gdzie pisał o swych walecznych czynach.

Sękowski nosił miano, zdaje się: Józefa Swajtestyka i kiedy Baliński wyjechał z Wilna, zastępował go, piastując czasowo łopatę. Sękowski zamieszcza w «Tygodniku» wiele artykułów rozmaitej treści, a z tych ostatni «Prawidła dla szkoły helenickich kupców greckich w Odessie» pisał w drodze, jadąc na wschód, zkad już pojechał wprost do Petersburga na profesora wydziału języków wschodnich.

Przeclawski zamieszcza w «Tygodniku» wiersz p. t. «Koń».

«Tygodnik», jak i «Dziennik» nie jest pismem aktualnem i życie Wilna ówczesnego znajduje zaledwie bardzo słabe odbicie na jego szpaltach. Do owych nielicznych artykułów aktualnych zaliczyć należy ciekawą polemikę o teatr wileński:

«Scena wileńska, — utyskuje jeden z autorów, — niema wielkich talentów, aktor dziś gra w tragedji osobę najpoważniejszą, jutro w komedji. Aktorzy ról się nie uczą i podczas przedstawienia łaja suflera... Role lokajów, pisarzów wykonywają ludzie, którzy rozklejają afisze... Dekoracji nie wiele. Które i są opuszczone, a gdy się scena odmienia, pył rozchodzi się po teatrze tak dalece, że cała publiczność i aktorzy zaczynają kasłać i kichać. Prób nie bywa. Wogóle komedja jest postawiona nieźle, tragedia rozmaicie, opera nędznie.

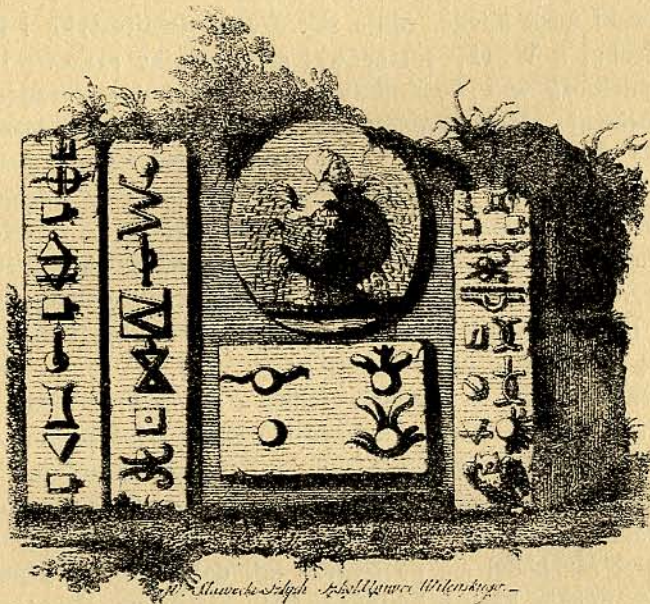
Publiczność jest zbyt łaskawa na artystów i oklaskuje grę, wartą wygwizdania, nieprzyzwoite żarty i przesady dyrektora. Krytyki teatralnej nie ma. «Wstyd jest dla litwinów, że nie są tak gorliwi o wydoskonalenie sceny narodowej, jakimi się polacy okazali. Jeśli obywatele Litwy żarliwymi są nauk przyjaciółmi, dla czego tak mało dbają o poprawienie sceny».

Nieznany autor artykułu o teatrze, kończy go temi słowy: «gdy starsi i prawdziwi znawcy nie chcą się przez swą krytykę zająć poprawieniem naszej sceny, a my młodzi z zalem musimy patrzeć na jej upadek, odważyłem się opisać stan teatru wileńskiego, nim kto z bieglejszych nie rozpocznie formalnej na grę aktorów krytyki.»

Ostre uwagi anonima, podnoszącego między innemi myślami otworenie w pismach wileńskich działu stałego recenzji teatralnych, nie pozostały bez odpowiedzi. W jednym z następnych numerów «Tygodnika» ukazał się artykuł wyjaśniający, że: «dopóki opieka rządowa, stała dyrekcja i stałe fundusze nie zajmą się teatrem, dopóty próżna

i nadaremna będzie zawsze krytyka. Rozwojowi teatru stoi na przeszkodzie nie brak talentów, ale niedostateczność funduszy».

Nawoływanie do utworzenia w którymś z pism działu teatralnego zostały przecie głosem wołającego na puszczy. Takiego działu nie zaprowadzono i tylko od czasu do czasu ukazują się dorywczo artykuły o teatrze, co może służyć za dowód, jak dalece jest jeszcze oderwane od życia i jak buja wciąż w sferze zagadnień i spraw ogólnych piśmiennictwo wileńskie.



Winjeta, upiększająca tytułową kartę «Pamiętnika Magnetycznego».

Koniec XVIII wieku w równym, a może w wyższym stopniu zajmował się badaniem zjawisk, które w końcu XIX wieku otrzymały nazwę hypnotycznych i stały się przedmiotem badań Charcot, szkoły z Nantes i medycyny współczesnej. Nazywano je podówczas magnetycznymi lub mesmerycznymi od nazwiska lekarza Mesmera, który pierwszy zwrócił na nie uwagę i zaczął je badać. Określenie, co to hypnotyzm i na czym polegają zjawiska, ochrzczone tem mianem, nie może być zadaniem pracy niniejszej, na zaznaczeniu tylko poprzestać wypada, że hypnotyzm został uznany przez naukę współczesną, która badając go w dalszym ciągu, stosuje z pewnem powodzeniem w medycynie. Zjawiska hypnotyczne są znane ludzkości od niepamiętnych czasów, tylko naturalnie zwano je inaczej i inaczej zupełnie tłómaczono. Doktor Mesmer jest twórcą teorii, utożsamiającej zjawiska hypnotyczne z siłą magnetyczną, czyli siłą, przyciągającą planety jedne ku drugim, siłą magnetycznej płyty, przyciągającej żelazo. Podobną

siłę posiada jakoby ciało ludzkie. Mesmer nazwał ją siłą magnetyczną. Za pomocą passów Mesmer wprowadzał swoich pacjentów w stan, który-bysmy dziś nazwaliby hypnotycznym, i, przypuszczając, że w podobnym stanie człowiek zyskuje dar jasnowidzenia, zadawał chorym pytania i otrzymywał tą drogą wskazówki co do natury i leczenia ich choroby.

Zdaje się, że wywołując rzeczywiście zjawiska hypnotyczne, wprowadzając chorych w stan snu na jawie, czy jasnowidzenia w pół-snie, Mesmer mylił się, co do znaczenia zastosowania praktycznego tych zjawisk. Przez zapadnięcie w stan hypnozy człowiek nie staje się chyba czemś więcej, niż człowiekiem i zna się na diagnozie chorób i leczeniu ich nie lepiej, niż w stanie normalnym. Tymczasem na tem, mylnem zapewne założeniu, Mesmer zbudował swoją teorię leczenia chorób, którą ogłosił za swój sekret i za wyjawienie jej żądał 400,000 franków. Mesmer i jego teorie cieszyły się ogromnem powodzeniem w Paryżu, aż akademja nauk wydelegowała specjalną komisję, do której należeli Franklin, Lavoisier i inni, dla zbadania praktyk magnetycznych. Komisja ogłosiła wynalazcę za szarlatana i orzekła, że jego system prędzej szkodzi, niż pomaga pacjentom.

Mesmer, który dorobił się już ogromnego majątku, znikł z widowni, zamieszkał gdzieś w Szwajcarii, gdzie umarł w ubóstwie i zapomnieniu. Bardzo być może, że teorjami Mesmera przestano się zajmować dla powodów historycznych: rewolucja, wojny Napoleońskie przy ówczesnej utrudnionej jeszcze komunikacji i braku kolei odegrały tu nie małą rolę. To też dopiero po 1815 r., kiedy nastął tak upragniony pokój w Europie, niemieccy uczeni zajęli się teorią Mesmera. Wywołało to wielkie zainteresowanie się nią w Wilnie tak dalece, że Józef Emanuel Lachnicki, d-r filozofji i kamerjunkier dworu, zaczął wydawać pismo specjalne, poświęcone badaniom zjawisk magnetycznych i teorjom, pozostającym w związku z temi badaniami.

Pismo, o którym mowa, nosiło nazwę: «Pamiętnik magnetyczny», którego pierwszy numer wyszedł 30 stycznia r. 1816, a nosił dewizę: «felix qui potuit rerum cognoscere causas» («szczęśliwy, kto może poznać przyczyny rzeczy»). Pamiętnik był kwartalnikiem t. j. wychodził cztery razy na rok: 30 stycznia, kwietnia, lipca i października.

W artykule wstępnym swego kwartalnika pisze Lachnicki, należący, jak już wspomniano wyżej do towarzystwa Szubrawców i będący nawet założycielem faktycznym: «Wiad. brukowych», gdyż Dzidzis-Lado to niezawodnie jego pseudonim:

— «Przebiegając dzieje rodzaju ludzkiego, statecznie postrzegamy, że wszelkim prawie wynalazkom i odkryciom bądź moralnym, bądź fizycznym towarzyszyły w początkach opór i prześladowanie ze strony niedoświadczenia i zmyślonej lub przesadnej gorliwości o dobro powszechne. Ciągłe widzimy tę smutną kolej, przez którą koniecznie wynalazki i nauki przechodzić musiały...

— «Taż samą prawie drogą szedł wynalazek magnetyzmu zwierzęcego, którego rozgłoszenie winniśmy Mesmerowi. Znajomość tej nauki w nieoświeconych wiekach, mogąca być poczytana za czary, długo musiała się ukrywać i tajemnie tylko niektórym osobom udzielana była. Ślady jej i zabytki znajdujemy rozlane po całej powierzchni kuli ziemskiej. A czy to zechcemy zastanowić się nad obrzędami starożytnych egipcjan i greków, nad działaniami sybirskich szamanów, kapłanów Ameryki i wysp najbardziej od ładu oddalonych, czy też nad zamawianiem chorób, które dotąd się używa pomiędzy pospółstwem, czyli też na sposób dawania błogosławieństwa, wspólny wszystkim narodom przez wkładanie rąk na głowę—wszędzie znajdziemy zaród działań magnetycznych, odmieniony zwyczajami i klimatem, a prawie zupełnie stłumiony dołączeniem niepotrzebnych obrzędów, przesądów i zabobonów».



Antosiek.

chłopak wiejski, będący żywym potwierdzeniem teorii magnetycznych. Patrząc w oczy chorego, nieznając się zupełnie na lekarstwach, wskazywał środki które były bardzo skuteczne. Pisma ówczesne wieleńskie zajmowały się żywo tym fenomenem. Portret niniejszy wzięliśmy z «Pamiętnika magnetycznego».

Po tych słowach, pod któremi podpisał by się chętnie każdy lekarz współczesny, zajmujący się hipnotyzmem, wspomina Lachnicki o niepowodzeniach i «srogich prześladowaniach», jakim ulegał Mesmer i wyraża nadzieję, że, «prawda prędzej czy później nad płocnością, kłamstwem i czarną obłudą świetne odniesie zwycięstwo», bo już teraz: «żyjemy w okresie czasu, gdzie mało kto wątpi o bytności magnetyzmu».

Dalej wyklada Lachnicki w skróceniu teorię magnetyzmu, która jest następująca: We wszystkich ludziach «przebywa płyn magnetyczny zwierzęcy» i jest «gatunkiem sekrecji organicznej, jak pot, ślina,

lzy», tylko jest daleko od nich złejszym. Wyrabia się on ciągle «w jestestwie człowieczem», ale są sposoby fizyczne, sympatyczne i umysłowe, przyspieszające wyrobienie sekrecji. Najdzielniej na nią działają sposoby umysłowe. «Uczucie powstające z woli, ufności i żądzdy dobrego przyspiesza wyrobienie i oddzielenie płynu magnetycznego. Im większa jest ufność, im dzielniejsza wola, im prawdziwsza żądza, tym więcej się płynu wyrabia, tym prędzej się on oddziela od osoby czynnej, tym mocniej działa na osobę bierną czyli cierpiącą».

Na treść «Pamiętnika», wychodzącego w formie mniejszej ósemki i w ilości 6—7 arkuszy cztery razy na rok, składają się: opisy doświadczeń magnetycznych, robionych przez rozmaite osoby, przeważnie nawet nie lekarzy, rozprawy, mające na względzie wyjaśnienie teoretyczne charakteru i znaczenie zjawisk hipnotycznych i wyciąganie ztąd wniosków, prace z dziedziny historii cywilizacji, jak historia astronomji. Nie poprzestając na tem, «Pamiętnik» wkracza często w dziedzinę badań nad przyczynami wszech przyczyn i znajdujemy tam takie artykuły, jak: «O początkowym nastaniu wszvstkich istot», wykład teorii bardzo zbliżonej do Darwinizmu, «O przyczynie, przyrodzeniu i skutkach magnetyzmu», «O trybach przypadkowych pojęcia naszego» i t. d.

Nie poprzestając na tem, «Pamiętnik» poświęca wiele miejsca artykułom z dziedziny medycyny popularnej, higieny, nauk przyrodniczych. Znajdujemy tam nie mało takich artykułów, jak: «leczenie reumatyzmu», «lekarstwo na nagniotki», «działanie promieni kolorowych», «o własnościach glistów ziemnych», o «o dżdzu krwawym», «wiadomość o kamieniach meteorycznych, spadłych w Wilnie» i t. d. Czasami «Pamiętnik» wkracza w dziedzinę rolnictwa i zamieszcza takie artykuły, jak «sposób poznania, jak siewka ozima najlepiej może się udać», «o młocarniach w Szkocji», nawet znajdujemy tam artykuł o tak modnem dziś: «rozmnażaniu pszenicy przesadzaniem» i t. d.

Wykład teorii magnetycznej, jaką głosił «Pamiętnik» zaprowadził-by nas zbyt daleko, wystarczy tylko zaznaczyć, że sam fakt istnienia tego pisma i podnoszone przez niego kwestje musiały grać rolę protestu przeciwko racjonalizmowi i materjalizmowi pism, prowadzonych przez Szubrawców. Tam nie zajmowano się spirytualizmem, nie wierzano w cuda, nadprzyrodzoność. Nie wierzył w nie i «Pamiętnik», traktujący kwestję hipnotyzmu dość materjalistycznie, jak to widać ze streszczenia, przytoczonego powyżej, ale zbaczał nieraz z tej drogi, zatapiał się w analizę rzeczy już dotyczących tamtego brzegu.

To też Szubrawcy, choć Lachnicki wyszedł z ich grona, sarkać na niego zaczynają, a że widocznie «Pamiętnik» cieszył się powodzeniem wśród stanu niewieściego, z którym również wojowali Szubrawcy karcąc go za pretensje emancypacyjne, więc «Wiad. bruk.» tak docinają «Pamiętnikowi»:

— «Miały te babulki pewien zmysł babski, którego używały do leczenia chorób. Nasi Mzytengamowie (magnetyści na wspaniałość) zaczęli ten zmysł i z niego uklepać szósty zmysł wewnętrzny, waporyczny, za pomocą którego nie tylko leczą, ekzorcyzmować, leczyć, prorokować, ale nawet z czasem ze wszystkimi djabłami poznają się i od nich brać będą lekcje, a wtenczas nastanie wiek jasnego widzenia, czyli wielkie światło».

Szubrawcy twierdzili, że:

Duchy karczemnej wytwarem gawiedzi
W głupstwa wysmarzone kuźni,

ale część ich uczniów, wychowalców uniwersytetu wileńskiego zdaje się poszła za Lachnickim i odpowiedziała skromnie Szubrawcom:

Czucie i wiara więcej znaczą dla mnie,
Niż mędrca szkielecko i oko.

Gdyby badano szczegółowiej i gruntowniej genezę wiary w nadprzyrodzoną, jaką cechuje i Mickiewicza, i Słowackiego, nie mówiąc o Zanie i innych promienistych, to kto wie czy za ojca tych wierzeń nie należy poczytywać Lachnickiego. Bardzo być może, że Towiański tylko sprzątnął kłosa, wyrosłe z zasiewu «Pamiętnika». Że Mickiewicz znał i miał sympatję dla Lachnickiego, świadczą o tem listy wielkiego Adama, który pisze do jednego z przyjaciół (ob. u Kallenbacha «Nieznane pisma A. Mickiewicza» str. 370).

— „Oddaj listek Lachnickiemu. Jest tam podziękowanie za jego dobroć i prośba o lekarstwo dla biednej córki Nielawickiej, ale o tem drugim nie wspominaj, proś tylko o rychły odpis.“

Tu zaznaczyć jeszcze trzeba, że, jak widać z warjantów «Dziadów», ów student, który na balu u Nowosilcowa drwi z Bojkowa, nazywa się Lachnicki, czyli że redaktora «Pamiętnika» spotkał zaszczyt, jakiego nie dostąpił żaden z Szubrawców.

W «Pamiętniku» uczestniczył jeszcze człowiek, o którego wpływie na Mickiewicza nie wspominają biografowie tego ostatniego, a który mógł być wielki. Jest to prof. Saunders, Anglik. Urzędowo nosił on tytuł profesora sztycharstwa, ale nadto wykładał język i literaturę angielską. Należało by nadto wyjaśnić, czy bezpośrednim krzewicielem kultu Bajrona nie był czasem Saunders. Sam on nie był pozbawiony daru poetyckiego i w «Tygodniku» wydrukowano różnemi czasy kilka jego wierszyków okolicznościowych po angielsku i tuż przełożonych na polski. Anglik ten uczestniczył w «Pamiętniku» i zamieścił tam kilka ciekawych artykułów.

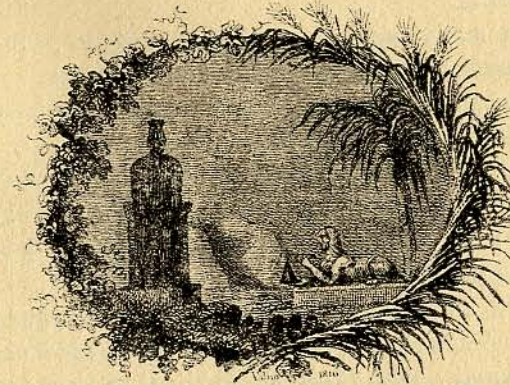
«Pamiętnik magnetyczny» wychodził trzy lata, a w ostatnim numerze z dnia 30 grudnia r. 1818 jest tam umieszczone takie zawiadomienie:

— „Pismo niniejsze nadal nie będzie wychodzić tym sposobem, jak dotąd, to jest przestaje być periodycznem, prenumerata nie przyjmuje się, ale raz w rok lub częściej, stosownie do okoliczności „Pamiętniki magnetyczne“ tomami wydawane będą. Żaden inny przedmiot, prócz magnetyzmu, pomieszczenia nie znajdzie.“

VI.

Przegląd ogólny prasy peryodycznej w Wilnie w r. 1818—1820.—Jej braki.—Słaby rozwój czytelnictwa.—Charakterystyka czytelników.—«Tygodnik wileński» i jego redaktorzy: Lelewel, Baliński, Szydlowski.—Reforma «Tygodnika».—Zamierzone reformy «Wiadomości brukowych».—Zawieszenie «Tygodnika» i «Wiadomości», rozwiązanie Szubrawców.—Czartoryski w Wilnie w r. 1822.—«Dzieje Dobroczynności».

Prawdopodobnie powodem zawieszenia «Pamiętnika» był brak szerszego poparcia tego pisma, a może i ta okoliczność, że Lachnicki był innego zdania niż uczeni współcześni, którzy twierdzą, że doświadczeniami hipnotycznymi mogą się zajmować tylko lekarze. Lachnicki przeciwnie sam leczył magnetyzmem, nie będąc lekarzem, i zachęcał do doświadczeń nie lekarzy, co pewno musiało mieć niepożądane skutki i wywołać agitację przeciw «Pamiętnikowi» ze strony lekarzy.



Winjeta zdobiąca «Pamiętnik Magnetyczny».

Okolo r. 1820 Wilno, nie licząc «Dziejów dobroczynności», o których poniżej i czasopism lekarskich i farmaceutycznych, posiada już pięć pism: «Kurjera Litewskiego», «Wiadomości brukowe», «Dziennik wileński», «Tygodnik wileński» i «Pamiętnik magnetyczny». Z tych trzy ostatnie mają mniej więcej ten sam program, zamieszczając artykuły popularne z rozmaitych dziedzin wiedzy. Bardzo jest zaniebana polityka wewnętrzna i sprawy lokalne. Służą im właściwie tylko «Wiadomości brukowe», ale bardzo jednostronnie, nie dając bynajmniej obrazu i charakterystyki życia współczesnego. W gruncie rzeczy nie są one wcale pismem brukowym, to jest nie są, jak obiecywały w prospekcie, «zbiorem nowin i wydarzeń słyszanych, lub zachodzących na brukach, czyli ulicach miasta». W rzeczywistości właśnie tego wszystkiego w «Wiadomościach» nie było i próżnobyśmy tam szukali czegoś w rodzaju współczesnej kroniki wypadków, sądowej, teatralnej, osobistej. Jeszcze mniej dba o materiał tego rodzaju «Kurjer Litewski», zasklepiony w formach staromodnej gazety. Uporczywie nie daje on

nie więcej, prócz wiadomości zagranicznych, to jest streszczenia artykułów z rozmaitych gazet.

Z czasopism wileńskich możemy dowiedzieć się wiele rzeczy ciekawych i pożytecznych, ale najmniej o społeczeństwie, które wydało autorów «Pana Tadeusza» i «Króla Ducha», o jego życiu, potrzebach.

Wyspecjalizowawszy się w pewnym tylko kierunku, pisma ówczesne musiały wzajem odbierać sobie prenumeratorów, było ich stosunkowo zawiele, a więc musiały być nieświetnym interesem materialnym. Pisma te uwzględniały potrzeby jednego rodzaju czytelników, inteligencji, która ukończyła uniwersytet wileński, otrzymała wielostronne choć może nieco powierzchowne wykształcenie ówczesne, nie zatraciła łączności ze swą alma mater, interesowała się nowościami z zakresu rozmaitych gałęzi wiedzy. Już dla szerszych kół społeczności szlacheckiej nie mówiąc o innych stanach, pisma wileńskie musiały być lekturą zbyt cięską, zbyt poważną.

To też nie miały nadmiaru prenumeratorów. Było ich zawiele, a ta klątwa naszego ruchu wydawniczego sprawiła, że w Wilnie nie powstało bogate pismo periodyczne, mogące się rozwijać doskonalić, ześrodkować dokoła siebie zespół talentów i zdolności. Ludzie znający się na interesach wydawniczych czuli, że jest niedobrze, rozumieli na czym polega błąd. Za dowód służyć może wydrukowana w «Tygodniku» w r. 1817 rozmowa «ze starym jednym znajomym, sławnym w mieście księgarzem».

— «Uskarżał się mocno nieborak, — pisze «Tygodnik», — że wśród wielmożnych panów wiele się bardzo rozumnych głów namnożyło, przez co handel książkami upadł zupełnie. Publiczność na dwie wielkie podzieliła się klasy. Jedną składają myślący o wielkich rzeczach i ci, którzy na karnawał lub na kontrakty przybywszy dotąd albo się wesoło bawia, albo odgrywają. Drugą, a największą połowę sami dla potomności piszący zajmują. A ztąd zupełny brak czytających. Księgarnie są blisko pobankrutowania. Jest ci to wprawdzie najpewniejszy sposób porobienia gwałtem wielkich literatów z ich wierzyteli, którym się księgi z eksdywizji dostaną».

Nie nadmiar piszących, bo tego nie było, lecz nadmiar pism i pochodzące ztąd ich ubóstwo stało na przeszkodzie prawidłowego rozwoju piśmiennictwa. Wątpliwą jest rzeczą, czy w Wilnie płacono honoraria autorskie (Szubrawcy nie płacili ich napewno), czyli, co wynika ztąd, autorzy pisali dorywczo, dla sławy, nie traktowali zajęcia pisarskiego jak fach, rzemiosło, dające zarobek, możność utrzymania rodziny. W Wilnie w r. 1820 uczuwać się dawał brak człowieka o talencie organizacyjnym i duchu przedsiębiorczym. Materiał na stworzenie dobrego, odpowiadającego zupełnie wymaganiom ówczesnym pisma periodycznego, istniał bezwarunkowo. Trzeba było skupić rozstrzelone siły, zkoncentrować je dokoła jednego przedsiębiorstwa wydawniczego, zre-

dukować ilość pism do dwóch, trzech a niezawodnie miały by one dostateczną ilość czytelników, stały się poważnymi przedsiębiorstwami wydawniczymi.

Niestety człowieka takiego nie było, czyli właściwie był nawet bo mu sam bieg wypadków dał do ręki dwa najważniejsze pisma «Kurjer» i «Dziennik», usunawszy z drogi innych konkurentów, ale niestety nie umiał on wyzyskać warunków. Człowiekiem owym był Marcinowski, ale niestety nie posiadał on ani malej części tego talentu wydawniczego, którym się odznaczał Bułharyn. Ostatni umiał stworzyć, prawda w Petersburgu i w języku rosyjskim, poważne przedsiębiorstwo wydawnicze, Marcinowski obniżył poziom wartościowy swoich pism, które wegetowały zaledwie.

Wracając do kwestji czytelnictwa, pozostaje jeszcze zaznaczyć następującą wzmiankę z «Wiad. bruk.», odznaczającą się karygodną lekkomyślnością:

— «P. sędzia, plenipotent, komisarz, regent czytają «Kurjera», urządzają świat, przenikają niezgłębione gabinetowe tajemnice, zgadują najskrytsze myśli ministrów. Nic się nie zdarzy, czego-by uprzednio nie byli zgadli.

— «W miastach powiatowych, na pocztowych stacjach, w kawiarniach i po bilardach leżą na stole «Wiad. brukowe». Za każdym zgromadzeniem się po ich nadejściu są śmiechy, są i gniewy. Łajcie nas, jak chcecie, ale się nauczcie czytać i myśleć, nauczcie się szanować zdanie publiczne i dbać o nie...

— «Mamy i «Tygodnik», który teraz zaledwie co dwie niedziele czytelników wierszem i prozą częstować raczy. Nie wypada obrażać pochwałami skromności, a zatem przyzwoliciej zaczekać jego zgonu, który, jak z coraz większej słabości domyslać się można wcale nie jest daleki.

— «Szkoda! dopóty u nas ciężko będzie utrzymać się pismu, dopóki tyle tylko będzie czytających, ile piszących, bo to podobno jest nasz przypadek.

— «Nasz «Dziennik» co miesiąc się rodzi i to dosyć ciężko. Poczciwe to dziecko! Życzymy mu na przyszłość łatwiejszych urodzin i więcej kumów, którzy by go trzymali. Opuściwszy niektóre lekkie grzechy ma dość pism pożytecznych i ważnych. Za to go też rzadko kto czyta».

Gdyby podobne rzeczy pisał rozwichrzony 18 letni sowizdrzał było by to w porządku, ale, gdy sprawy piśmiennictwa traktują tak lekko profesorowie, dziekani fakultetów, literaci, okryci siwizną, — nie nie pozostaje, jak tylko ręce opuścić wobec smutnego faktu i przyznać, że, jak nasz naród w całości, tak pojedyncze jego grupy noszą w swej psychologii zarodki samobójcze. Literaci, utyskujący na brak czytelników, a z drugiej strony szydzący z sędziów, plenipotentów i t. d.

czytających pisma, natrzasający się z literatów, klepiący poufale, ironicznie i protekcyjnie prasę poważną, to zjawisko smutne. Jak miało traktować prasę poważnie społeczeństwo, gdy na to się zdobyć nie mogli jego przewodnicy?...

Tak czy owak prasa wileńska istniała, pisma, choć wiodły cherlawy żywot, nie bankrutowały przecie i nawet przemysliwały, o reformach i doskonaleniu się. Hasło w tym kierunku wyszło od «Tygodnika wileńskiego». Było to pismo, zdaje się, najuboższe, bo gdy «Kurjer» był zamożnym, «Dziennik» miał za sobą «Towarzystwo typograficzne», a «Wiadomości brukowe» Szubrawców, którzy je popierali «Tygodnik» nie miał protektorów. To też od 1818 r. już wychodził nie co tydzień, a raz na dwa tygodnie, a w r. 1820 jego wydawca, księgarz Żółkowski postanowił zerwać z dotychczasową rutyną, przestać wzorować się na «Dzienniku» i stworzyć nowy nieznany jeszcze w Wilnie typ pisma. W końcu r. 1820 ogłosił on następujący projekt:

— «Pismo perjodyczne p. t. «Tygodnik wileński» będzie wychodziło i na rok 1821. Lubo zupełnie jest odrębnem od dawnego już to powierzchownością okazała, już to lekkością, trafnością i doborem materji, jak się niżej okaże, jednak nie odmieniamy tytułu raz przyjętego. Światli i gorliwi czytelnicy «Tygodnika wileńskiego», którzy od początku utworzenia się jego ciągle go podtrzymywali, zapewne nie zechcą odmówić mu względów i nadal. Ty zaś, poci piękna, znajdziesz w tem piśmie to, czem można rozerwać lub wzbogacić umysł, to, czem serce ukształcić i to, co twym naturalnym wdziękom przez skromne, gustowne i niewykwintne ubiory niewinnych powabów dodaje.

— «Perjodyczne to pismo następnie materje mieścić w sobie będzie:

- 1) myśli, uwagi i postrzeżenia, stosowne do uformowania i poprawy obyczajów;
- 2) urywki historyczne i anekdoty, także cel mające;
- 3) wyjątki z nowszych i ciekawych podróży;
- 4) powieści moralne w części z dziejów i zdarzeń ojezystych wyczerpnięte;
- 5) uwiadomienia i zdania krytyczne o dziełach, służących do oświecenia i zabawy;
- 6) wiersze w rozmaitym gatunku;
- 7) mody damskie i męskie z żurnalów zagranicznych z dodaniem rycin kolorowanych».

Przekształcony «Tygodnik» wychodził w dalszym ciągu dwa razy na miesiąc, dając dużo wierszy, dużo powieści sentymentalnych, mody, starając się zdobyć sobie czytelników w sferach nastrojonych mniej poważnie, nie interesujących się naukami.

Jak widać z papierów pozostałych po Balińskim, a które czytał autor



Mody z r. 1820 w „Tygodniku Wileńskim”. Tak ubierała się Maryla i Mickiewicz.

studjum o Szubrawcach Horodyński, i «Wiadomości brukowe» myślały o reformach. Miały się one zwać: «Wiadomości brukowe powszechne» i zawierać zdarzenia i nowiny dotyczące się Warszawy, Krakowa, Lwowa, Białej Rusi, Podola i Wołynia. Ponieważ Warpu II (Bułharyn?) wybierał się do Warszawy, więc było mu poleconem upatrzeć z kilku korespondentów, których zamierzano mianować rustykanami. Widocznie Warpu wywiązał się należycie z zadania, bo w paru numerach «Wiad. br.» z r. 1820 znajdujemy parę lekkich korespondencji z Warszawy, podrzuwających dość śmiało, jak na owe czasy z kwestji palących.

—«O czem pisać? — pyta korespondent, — czy o polityce? Nie, bo jak się pokazuje, panowie nie wdajecie się z tą niebezpieczną dobrodziejką i zdaleka od niej stronicie. O wolności druku? Tem bardziej nie, bo jak tu u nas, tak i w Litwie, litery są martwe, a rzeczy martwe, nie mając woli moralnej i nie mogąc brykać, ani są wolne, ani niewolnicze!»

Były to czasy zaprowadzenia cenzury, prześladowania towarzystw.

Jednak «Wiad. brukowe» nie wprowadziły w czyn swoich zamiarów reformatorskich: 3 czerwca r. 1822 wyszedł 287 i ostatni ich numer, a prawie w tym samym czasie został zawieszony nazawsze «Tygodnik wileński». Że śmierć obu pism była gwałtowną, niespodziewaną, świadczą o tem ich ostatnie numery, w których nic nie zapowiada blizkiego zgonu. W ostatnim numerze «Wiadomości» jest na wstępie: «wyprawa na wieczór», zabawna przygoda literata, który wybrał się na bal przez roztargnienie o dzień wcześniej, niż go zaproszono. «Wiadomości» zapowiedziały nawet dalszy ciąg tych przygód, a e już one nie wyszły. Równie gwałtownie zmarł «Tygodnik».

Gdyby te pisma zostały zawieszone o rok później, wiedzielibyśmy, co-by to znaczyło. Rok 1823 był okresem ciężkich doświadczeń dla Wilna: zjechał Nowosilcew, aresztowano filaretów, filomatów, osadzono w więzieniu Mickiewicza z kilkudziesięcioma kolegami, pousuwano z uniwersytetu «niepewnych politycznie» profesorów. Gdyby wówczas upadły «Wiadomości» i «Tygodnik» było-by to rzeczą zrozumiałą, tymczasem stało się to o rok wcześniej. O okolicznościach, jakie poprzedziły ten wypadek nie prawie nie mówią pamiętniki i źródła współczesne. Tymczasem w lecie r. 1822 działy się w Wilnie rzeczy niezwykle, które powinny były zwrócić na siebie uwagę autorów pamiętników. Został uwolniony od obowiązków rektor uniwersytetu, otrzymał emeryturę Jędrzej Śniadecki, rozwiązano towarzystwo Szubrawców, przestało istnieć towarzystwo typograficzne i «Dziennik wileński» przeszedł na własność A. Marcinowskiego, zreformowano cenzurę i odtąd nie wybiera już cenzorów ze swego grona uniwersytetu wileński, lecz cenzor jest urzędnikiem ministerjum spraw wewnętrznych, a jego zwierzchnikiem bezpośrednim generał gubernator i t. d.

Czy pomiędzy faktami powyższymi istnieje jakiś związek wewnętrzny — nie wiemy, ale mamy prawo domyslać się, że to wszystko owocem pewnej polityki konsekwentnej, mającej na celu przytłumienie zbyt wybujałego życia umysłowego i społecznego. Petersburg uznał, że „Wilno zbyt się rozbrykało“, że należy je przyprowadzić do porządku.

W listach Lelewela znajdujemy taki ustęp datowany 14 kwietnia: «Książę senator dwu mocarstw, kurator bawi w Wilnie. Zjechał słodki, uprzejmy, ale surowy w dziełach i nagły».

Pisze dalej Lelewel, że seminarzyści skarżyli się na swego regensa i administrację, a Czarotorski uwzględnił te skargi i pousuwał od obowiązków wiele osób. W materiałach do historii uniwersytetu wileńskiego Bielińskiego znajdujemy listy kuratora, z których widać, że był bardzo niezadowolony z administracji uniwersyteckiej, że miał zamiar zmienić cały zarząd. Widocznie musiał mieć nieprzyjemności służbowe sam książę kurator, nieprzyjemności, które go zmusiły do złożenia urzędu w r. 1823, w roku zaś 1822 starał się jeszcze energicznie o usunięcie objawów budzących niezadowolenie w Petersburgu, uprzedzić wdawanie się w sprawy wileńskie władz centralnych. Nie udało mu się to, koniec końcem musiał się podać do dymisji, do Wilna zjechał, by sądzić i karać, jego następcą Nowosilcow.

Jak wiadomo, nowy kurator uniwersytetu wileńskiego wspólnie z władzami administracyjnymi przeprowadził nader staranne śledztwo w celu wykrycia związków i towarzystw studenckich. Dziś, zwłaszcza po ogłoszeniu prac prof. Kallenbacha i Bielińskiego, nie może ulegać najzupełniej wątpliwości, że filomaci i filareci wzorowali się na Szubrawcach. Ich statuty, ustawy, to z maleńkimi odmianami statuty szubrawskie, a przecie rząd, karząc surowo uczestników tych towarzystw, studentów i młodzież, nie ukarał, ani nawet nie zbadał ani jednego z Szubrawców, których tylko naśladowała młodzież.

Tu zachodzi pytanie: czy Szubrawcy, przeczuwając, że się zbliża burza, sami rozwiązali swe towarzystwo i zamknęli «Wiadomości brukowe», czy też rozwiązano ich i «Wiadomości» zamknięto? Zdaje się, że miało miejsce w rzeczywistości to ostatnie. Kirkor tak pisze o rozwiązaniu towarzystwa Szubrawców:

«Tracili się mniej bacznie o potęgę i wziętość, a zwierzchność rządowa zabroniła wydawania nie tak już czysto po horacjuszowsku dowcipnie wesółych, jak dawniej «Wiadomości brukowych».

Na co napomyka Kirkor zrozumieć niepodobna, to pewna jednak, że w r. 1818, drwiąc z sejmików i samorządu szlacheckiego «Wiadomości» były mniej po horacjuszowsku wesołe, niż w r. 1822.

W papierach po Balińskim, jak świadczy Hordyński, znajduje się list, w którym pani J. K. (Kontrymowa?) donosi, że jej męża aresztowano, a papiery Szubrawców opieczetowano i zabrano.

Te parę wierszy rzuca światło na sprawę: Szubrawców pociągnięto do odpowiedzialności, ale władze miejscowe okazały się widocznie nie zbyt srogie, nikt z Szubrawców nie ucierpiał poważnie, a kiedy zjechał na śledztwo senator Nowosilcow, albo nie nie wiedział o tej sprawie, albo nie wydały mu Szubrawców władze miejscowe i osłoniły swą powagą, może powołując się na zasadę, że nie roztrząsa się ponownie sprawy już osadzonej.

Nie jest bynajmniej wykluczonem, by Szubrawców nie rozwiązał po cichu książę kurator, dawszy przytem dymisję Malewskiemu, który, jako rektor i bezpośredni zwierzchnik profesorów, dziekanów i urzędników biur uniwersyteckich, tworzących towarzystwo szubrawskie, powinien był może nie pozwolić na istnienie tego związku. On też może kazał się podać do dymisji i wyjść do emerytury Jędrzejowi Śniadeckiemu, który bynajmniej nie potrzebował wówczas spoczynku, czego najlepszym dowodem jest to, że po kilku latach wrócił do uniwersytetu, objął katedrę i długo jeszcze pracował.

We wzmiankowanych już powyżej papierach po Balińskim jest jeszcze taki wierszyk Szydłowskiego:

„Żałujemy cię bardzo. Czyżby sędzia zblądził,
A ja raczej żałuję tego, co osądził.
Wylewam na łono twej łopaty moje troski
Niegdyś Gulbi, dziś Szydłowski“.

Jakiego to sędziego nazywa Szydłowski poufale czyżykiem, — nie wiemy. Ponieważ papiery po Szubrawcach zostały skonfiskowane, przeto można mieć nadzieję, że kiedyś zostaną odszukane w którymś z archiwów petersburskich, a wtedy będzie wyświetlona historia ostatnich dni tego bądź co bądź sławnego towarzystwa.

Gdy rozwiązano towarzystwo Szubrawców i przestały wychodzić «Wiadomości brukowe» i «Tygodnik wileński», pozostały w Wilnie tylko trzy pisma: «Kurjer Litewski», «Dziennik wileński» i «Dzieje dobroczynności». Te ostatnie — to pismo o charakterze dość specjalnym. Powstało ono z inicjatywy Kontryma i miało zawierać z jednej strony informacje szczegółowe o działalności wileńskiego towarzystwa dobroczynności, z drugiej, artykuły o instytucjach dobroczynnych wogóle. Dochód z pisma miał wpływać do kasy towarzystwa dobroczynności.

Pomysłu tego nie można uważać za szczęśliwy żadną miarą. Czasopisma w Wilnie nie należały bynajmniej do przedsięwzięć korzystnych, jak to widzieliśmy, autorowie nie pobierali honorarjów i traktowali zawód pisarski dorywczo, po dyletancku. Zakładać w tych warunkach jeszcze jedno pismo, które musiało odebrać istniejącym część prenumeratorów, było omyłką, zwłaszcza, że zgóry można było twierdzić, że dochodów towarzystwu dobroczynności nie przysporzy.

Nowe pismo wychodziło od 1 stycznia r. 1820 i miało taki tytuł:

«Dzieje dobroczynności krajowej i zagranicznej z wiadomościami ku wydoskonaleniu jej służącemi. Pismo perjodyczne z polecenia J.W. Rimskiego-Korsakowa gubernatora wojennego litewskiego, generała piechoty i kawalera na dochód domu ubogich towarzystwa wileńskiego dobroczynności wydawane».

Prowadził pismo komitet naukowy, który wybierał redaktora i sekretarza. Pierwszym redaktorem pisma był Kontrym, sekretarzem Leon Rogalski. Pismo wychodziło zeszytami in 4-o i zawierało mnóstwo ciekawych informacji o zakładach dobroczynnych i organizacji pomocy dla ubogich we wszystkich krajach. Oczywiście najwięcej było tam informacji o dobroczynności krajowej, ciekawych artykułów historycznych o stanie zakładów dobroczynnych w Polsce za dawnych czasów, zrzadka zjawiał się jakiś opis kościoła, lub obrazu.

«Dzieje» są pierwowzorem wydawnictw, które tak się rozpowsechniły później, a które publiczność prenumeruje i czyta nie po to, by się czego nauczyć, czegoś dowiedzieć, lecz by dopomódz ubogiemu.

Przez pierwsze trzy lata istnienia redakcja «Dziejów» przelała do kasy towarzystwa dobroczynności 1000 r. Nie były to wyniki świetne.

W r. 1822 «Dzieje» przeżywały również kryzys, wywołany przypuszczalnie usunięciem dotychczasowego redaktora Kaz. Kontryma. Zastąpił go ksiądz Olszewski, pod którego redakcją «Dzieje» zmieniły format i wychodziły już nie in 4-o, a w formie zwykłej ósemki.

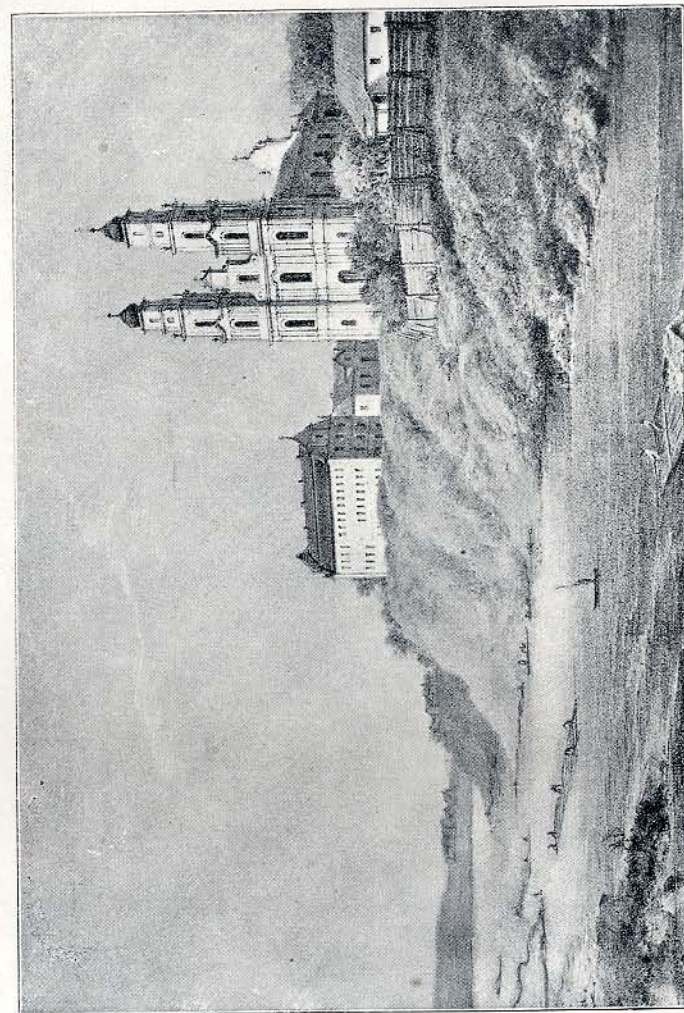
Zmiana redakcji nie wpłynęła na treść pisma, ale poczytność jego upadła widocznie. Za redaktorstwa Kontryma, w ciągu trzech lat «Dzieje» miały dochodu 5236 r., z których 1000 zostały przelane do kasy towarzystwa dobroczynności, reszta została użyta na pokrycie kosztów wydawnictwa. Ks. Olszewski w ciągu dwóch lat miał 2879 r. wydatków, a dochodów 2769 r. czyli «Dzieje» dały 110 r. deficytu. «Dzieje» przestały wychodzić 1 stycznia r. 1825.

VII.

«Tymczasowa gazeta mińska» — Połock i krótka jego historia. — Jezuici połoccy. — Akademia połocka i jej ustrój. Inne szkoły połockie. — «Miesięcznik Połocki». — Jego treść i zawieszenie.

Pisma perjodyczne polskie na Litwie wychodziły wogóle w Wilnie, chociaż były próby wydawania ich i po za Wilnem. Tak, jak wzmiankowaliśmy na swoim miejscu, «Kurjer litewski» wychodził czas niejaki w Grodnie. W r. 1812 wychodziło jakiś czas na wzór «Kurjera» pismo polskie w Mińsku. Była to «Gazeta tymczasowa mińska».

Jej redaktorem był inspektor gimnazjum w Mińsku, Brodowski, a od 18 lipca do 25 października wyszło tego pisma 24 numery. Są one bardzo ciekawe dla historyka wojny r. 1812, gdyż zawierają wiele informacji o ruchach wojsk, rozporządzeniach administracji tymczasowej.



Widok Połocka nad Dźwiną z albumu Nap. Ordy.

wej, stanie miasta i prowincji. Po ustąpieniu francuzów pismo przestało wychodzić na zawsze. Brodowski umarł w r. 1829 jako wizytator szkół gub. grodzieńskiej. Daleko ważniejszą i długotrwałą była próba wydawania pisma polskiego w Połocku. Tu w kilku słowach przypomnieć trzeba, jak powstało ognisko kultury polskiej w tym zakątku Białej Rusi.

Kiedy za Batorego Połock przywrócony zastał Polsce, Król ślubował sobie, że po zdobyciu miasta wprowadzi zaraz do niego jezuitów, co też uczynił, i tym sposobem przybyli do Połocka i zaraz tu szkoły założyli jezuiti pod wodzą Piotra Skargi. Na razie mieszkali oni na zamku, przy kościele św. Piotra i Pawła, ale w r. 1588 postawili sobie nowy kościół i budynek szkolny, w którym wykłady prowadziło czterech nauczycieli.

Kiedy w r. 1772 Połock przeszedł pod panowanie Rosji, jezuiti mieli już w nim murowany kościół i kolegium, które stały na miejscu dawnych, drewnianych, a prócz tego były tu kościoły i klasztory: bernardynów, franciszkanów i bazylianów. Od r. 1772 do 1797 Połock był miastem gubernialnem i podniósł się znacznie. Jezuiti wybudowali sobie w tym czasie muzeum i konwikt, postawili kościół i klasztor dominikanie, a oprócz tego powstała cerkiew i klasztor grekorozyjski.

Gdy w r. 1797 przeniesiono stolicę gubernji do Witebska, Połock znacznie podupadł. Przytem w r. 1808 zniszczył go pożar. W r. 1812 przez Połock przeciągnęły wojska francuzkie i marszałek Oudinot ze swoim sztabem mieszkał w kolegium jezuickiem, a 8 października zajął miasto Ks. Witgenstein.

Cesarz Aleksander I, który, jak wiadomo, lubił podróżować, bawił w Połocku aż trzy razy: w r. 1802, 1807 i 1812. Podczas tej ostatniej bytności monarcha był niezwykle łaskaw na szkoły jezuickie i rozkazem swoim d. 12 stycznia wydanym, a następnie dyplomatem, podpisanym 1 marca podniósł je do stopnia akademji.

Uroczystość otwarcia akademji odbyła się 31 czerwca r. 1812. Zaznaczyli ją swoją obecnością: generał-gubernator białoruski Książę Wirtemberski, biskup miński Dederko, poseł sardyński W. de Maistre i wielu dostojników miejscowych.

Akademja miała trzy oddziały. Na pierwszym teologicznym, wykładano: teologję dogmatyczną i moralną pismo, święte, prawo kościelne, historję kościoła i jeografię hierarchiczną. Oddział ten liczył czterech profesorów.

Oddział drugi nosił nazwę oddziału nauk filozoficznych i wyzwolonych. Był on rozłożony na cztery klasy: w pierwszej wykładano: logikę, djalektykę, metafizykę, filozofję moralną z prawem natury, jeografię, ekonomję polityczną, jeometrię, solidometrię i zoologję. W drugiej klasie wykładano: fizykę, chemję, trygonometrię płaską i kolistą

i mineralogję. W klasie trzeciej wykładano: przecięcia konieczne i rachunek nieskończonych, matematykę wyższą, astronomję, architekturę cywilną i militarną oraz botanikę. W klasie czwartej wykładano: rytmotwórstwo, krasomóstwo, wymowę kościelną, prawo powszechnie i szczególne rosyjskie z dyplomatyką i historją powszechną.

Na drugim oddziale prowadziło wykłady ósmiu profesorów.

Trzeci i ostatni oddział języków i literatury liczył siedmiu profesorów, którzy wykładali literatury: hebrajską, arabską, syryjską, grecką, łacińską, rosyjską, polską, francuską, włoską i niemiecką.

Akademja miała swój rząd składający się: z rektora, kanclerza, trzech dziekanów, czterech konsultorów i sekretarza. Przy akademji istniał i komitet cenzury, złożony z trzech cenzorów i sekretarza. Akademja była dostatnio zaopatrzona w liczne narzędzia i maszyny fizyczne, miała laboratorium chemiczne, gabinet historii naturalnej, zbiory, medalów modeli architektonicznych, galerję obrazów «częścią oryginalnych, częścią kopjowanych», drukarnię i dwie biblioteki: jedna, zawierała w roku 1812 więcej niż 30,000 ksiąg w różnych językach, druga, świeżo założona, była specjalnie polska.

Przy akademji istniała pięcioklasowa szkoła wydziałowa, zakład naukowy o programie zbliżonym do programu współczesnych gimnazjów filozoficznych. W szkole tej prowadziło wykłady 11 jezuitów, a nadto trzech nauczycieli świeckich w wolnych od innych zajęć godzinach dawali lekcje tańca, muzyki, rysunków.

Był również przy akademji konwikt, w którym zaniejsi obywatele dzieci swe umieszczali, płacąc za stół, opał, miejsce i światło 150 rub. sr. rocznie. Konwiktem zarządzał regens z pięciu nauczycielami. Młodzież z konwiktów uczęszczała albo do szkół wydziałowych, albo na lekcje do akademji. Utrzymywali jeszcze jezuiti szkołę parafjalną, w której dzieci ubogiej szlachty uczyły się czytać, pisać oraz początków łaciny i języka rosyjskiego. Szkołę tę prowadził nauczyciel świecki.

Personel pedagogiczny akademji wraz z konwiktem i szkołami wynosił 39 osób (35 jezuitów i 4 świeckich nauczycieli). Uczniów liczyły szkoły jezuickie w r. 1808—524.

Tu zaznaczyć trzeba, że w r. 1775, wyrażając się stylem historyografa połockiego: «burza najsmutniejsza niszczącego powszechnie zakon jezuicki breve Klemensa XIV spadła na Polskę», czyli, mówiąc po prostu, skasowano zakon, ale «stan jezuitów na Białej Rusi dziwną opatrnością boską, a łaską pamiętną Katarzyny II, cesarzowej rosyjskiej w dawnym kształcie zatrzymaną, począł się bardziej w swym losie ustalać»

W r. 1779 jezuiti otworzyli nowicjat w Połocku, w 1782 wybrali na wikariusza jenerałego Czerniewicza, a następnie zaczęto w Połocku wybierać jenerałów zakonu, którymi byli Karen, Gruber i Brzo-

zowski. Ostatni umarł w r. 1819 i był jenerałem przez 14 lat. On to wystarał się o podniesienie szkół połockich do godności akademji, za jego jeneraństwa powstało kolegium jezuickie w Romanowie, założone przez senatora Józefa Ilińskiego, a nadto zakon znowu krzewić się zaczął w Ameryce północnej, Fryburgu aż go nakoniec papież Pius VII przywrócił.

W r. 1818 jezuiti zaczynają wydawać pismo «Miesięcznik Połocki», który uważano nieraz za organ urzędowy nie tylko akademji połockiej, ale wogóle towarzystwa jezusowego. Tak przecie nie jest i swoich pism polemicznych, w których dowodzą legalności swego istnienia, jezuiti nie drukowali w miesięczniku. Natomiast zawiera on wszelkie wiadomości o akademji, sprawozdania z popisów, nawet prace literackie uczniów akademji.

«Miesięcznikowi Połockiemu» nie poszczęściło się w naszej literaturze, Chmielowski zwłaszcza jest bardzo niewysokiego zdania o jego wartości literackiej i naukowej. Co się tyczy pierwszego, to z tem trudno się nie zgodzić: utwory poetyckie, zamieszczane w «Miesięczniku» siląc się na żartobliwą lekkość, są bardzo liche, ale dział naukowy jest prowadzony bez zarzutu i pod tym względem «Miesięcznik» nie ustępuje bynajmniej ani «Dziennikowi», ani «Tygodnikowi», zawiera nawet działy, których tym dwóm pismom brakuje, jako to artykuły z zakresu pedagogiki i podróże.

«Miesięcznik» poświęca wiele miejsca sprawom wychowania i nauczania. O. o. jezuiti są wielkimi zwolennikami wychowania klasycznego, studjowania nie tylko łaciny, ale i greckiego, a takie artykuły, jak zamieszczone w «Miesięczniku Połockim»: «uwagi nad wychowaniem młodzieży», «o potrzebie greckiego języka dla tych, którzy się naukami bawią», «o potrzebie umiejętności prawa rzymskiego dla prawodawców», «o sposobie zatrzymania i rozszerzenia zdrowego smaku mowy i wymowy ojczystej» przypuszczam, że dziś nawet nie straciły znaczenia i specjalista znajdzie w nich nie jedną ciekawą myśl i wskazówkę.

Z obowiązków specjalności swego zakonu, który uważał za teren swej działalności cały świat, jezuiti interesowali się zawsze krajami obcymi. To też i w «Miesięczniku» znajdujemy takie rzeczy, jak: «Rozprawa o prześladowaniu chrześcijan w cesarstwie japońskim», «opisanie Kochinchiny», «podróż z Mozdoku przez góry Kaukazu ku miastu Tyflis», «o stanie wewnętrznej Afryki» i t. d.

Od czasu do czasu «Miesięcznik» ogłasza dokumenty historyczne, zaczerpnięte z biblioteki połockiej, jak: «Wyjątki z listów biskupa Padniewskiego», «Wyjątek z mowy Stanisława Orzechowskiego» i t. d.

Chociaż akademja połocka słynęła przeważnie z matematyków i przyrodników, przecie artykuły z dziedziny tych nauk zajmują drugorzędne miejsce w «Miesięczniku». Więcej jest filozofji, estetyki,

teorii krasomówstwa, sztuki rymotwórczej. Naturalnie nie ostatnie miejsce zajmują takie artykuły, jak: «O przyczynach i skutkach niedowiarstwa», «Niedowiarkowie przez własnychże ojców opisani», «Rozprawa, w której się dowodzi, iż ludzie zepsutych obyczajów we względzie nauk moralnych, dobrymi być nie mogą», «list pewnego ateusza do pisarza teofilantropa, czyli miłośnika Boga i ludzkości» i t.d. Miesięcznik był bądź co bądź organem wojującego katolicyzmu to też znajdujemy w «Miesięczniku» kilka artykułów treści polemicznej, wymierzonych przeciw innym czasopismom jak na przykład: «rozprawa o skutkach nadprzyrodzonych» (z powodu artykułu «Pamiętnika magnetycznego»), «rozprawa o słuszności wzrostu, którym zakon templarjuszów był zniesiony» (z powodu artykułu w «Dzienniku wileńskim»).

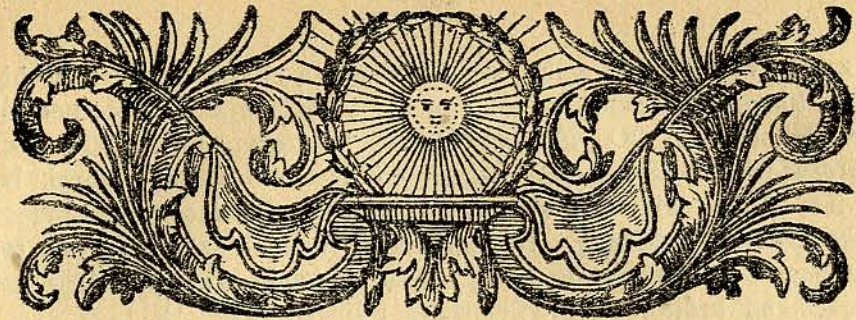
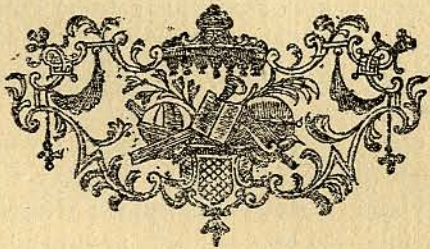
Polemika «Miesięcznika» jest naogół rzeczowa, pozbawiona wycieczek osobistych i usiłuje prostować opinie ludzi świeckich ze stanowiska kościelnego. Jest ona nawet ciekawą w imię zasady: audiatur et altera pars.

«Miesięcznik» wychodził systematycznie przez cały rok 1818, a w jednym z jego ostatnich numerów znajdujemy ogłoszenie zawiadamiające, że drukarnia akademicka jest tak mała i tak zawałona drukiem podręczników szkolnych, że nadal «Miesięcznik połocki» nie będzie wychodzić systematycznie i prenumerata nań przyjmowaną nie będzie. Estrejcher twierdzi, że w r. 1819 «Miesięcznik» nie wychodził wcale, ale to nieprawda, bo w bibliotece petersburskiej akademii nauk jest № 2 «Miesięcznika» za luty z r. 1819, z którego widać, że musiał istnieć i pierwszy numer. W r. 1820 wyszły, według Estrejchera, dwa numery (znam drugi), nie jest jednak wykluczonem, by nie istniały jeszcze jakie inne numery «Miesięcznika».

Kto był jego redaktorem nie wiemy, jako też nie znamy nazwisk jego współpracowników, którzy podpisywali swoje artykuły literami.

W. Ciechowski.

(dok. nastąpi)



Kościół św. Mikołaja

w Wilnie.

Przy jednym z zaułków dzielnicy żydowskiej w Wilnie, ukryty między domami i otoczony dokoła murem, wznosi się kościół św. Mikołaja, od którego i zaułek otrzymał swą nazwę.

Jest to bez zaprzeczenia najstarszy z kościołów wileńskich i gdy od innych świątyń, później wzniesionych, nawet śladów nie zostało, lub w najlepszym razie dochowały się do naszych czasów tylko ruiny, kościółek św. Mikołaja przetrwał przeszło pięć wieków i był świadkiem dziejów Wilna niemal od samego założenia stolicy Litwy.

Gdy zaproszeni przez W. ks. Litewskiego Giedymina, zaczęli tłumnie przybywać do Wilna z obcych krajów kupcy i rzemieślnicy, wielki książę dla każdej narodowości inną dzielnicę w mieście na mieszkanie wyznaczył. Tak, Litwini pozostali na podzamczu i w najbliższym sąsiedztwie zamków, Polacy zajęli dzisiejsze ulice: — Trocką i Pałacową, kupcy ruscy zamieszkali w okolicach dzisiejszej Ostrobramy, Bakszty i Zarzecza¹⁾, zaś dla Niemców wyznaczono część miasta, którą przerzynała ulica Niemiecka, zwana za czasów Olgerda Gasztoldowską. W tej to dzielnicy Niemcy katolicy mieli własny cmentarz, na którym swych zmarłych grzebali.

Okolo połowy XIV wieku przy cmentarzu stanął mały drewniany kościółek z plebanją pod wezwaniem św. Mikołaja. Kościół ten istniał jeszcze w 1397 r. co potwierdzają stare dokumenty, czy jednak stał on na tem samem, co dziś miejscu, nie można z pewnością twierdzić, chociaż zdaje się że tak istotnie było. Nie przechowało się żadnych dokumentów

¹⁾ Dotąd są na Zarzeczu ulice noszące nazwy: Popowska, zaułek Ponomarski, zaułek Spaski t t. d.

o założeniu kościoła, tylko ks. Grzybowski, korzystający z archiwum klasztoru Franciszkanów, pisze: „Jest też w Wilnie kościół św. Mikołaja do OO. Franciszkanów należący, który lubo jest staroświecki, pośledniejszy jednak od kościoła Panny Maryi, bo w lat 130 po nim wymurowany i nadany od szlachetnie urodzonego Hanula Nakienny, Namiestnika Wileńskiego, który do tej fundacji oddał wszystkie placę około kościoła św. Mikołaja zostające, od królów uprzywilejowane i libertowane”¹⁾.

Ale Grzybowski wyraźnie mówi o dzisiejszym murowanym kościele św. Mikołaja, fundowanym przez Hawnula i wcale nie wspomina o pierwotnym drewnianym. Myli się również Grzybowski o 30 lat, przywołując rok wymurowania kościoła, ponieważ przytrzymuje się błędnej chronologii Strykowski. Kraszewski²⁾ bezkrytycznie powtórzył nieścisłą opowieść Grzybowskiego, dodając, że Hawnul uczynił zapis kościołowi w r. 1464, gdy tymczasem wiadomo, że Hawnul umarł w r. 1434. Jeszcze większy błąd popełniają niektórzy historycy³⁾, przypuszczając, że początkowo na miejscu kościoła św. Mikołaja była cerkiew pod tem wezwaniem, w której to cerkwi jakoby zostały pogrzebane ciała pierwszych męczenników wileńskich wschodniego obrządku: Eustachego, Antoniego i Jana, powieszonych z zezwolenia W. księcia Olgierda. Błędne to przypuszczenie powstało ztąd, iż oprócz katolickiego kościoła św. Mikołaja były w Wilnie w XIV wieku dwie cerkwie pod wezwaniem tegoż świętego, mianowicie: jedna dotąd istniejąca przy ulicy Wielkiej naprzeciw sztabu wojennego i druga cerkiewka drewniana Uspienja Nikoły na rogu dzisiejszego Łotoczka. Ta ostatnia cerkiew w pożarze 1610 roku do szczytu spłonęła i ślad jej zaginął do tego stopnia, że już w roku 1671 w sporze Magistratu z Metropolitą o place cerkiewne, radni pod przysięgą zeznali, iż nie pamiętają, aby tu kiedy była jaka cerkiew⁴⁾. W tej to właśnie cerkwi Uspienja Nikoły były pierwotnie złożone zwłoki męczenników Otóż niektórzy nie wiadomo na czem się opierając, przypuszczali, że ta druga cerkiew stała na miejscu kościoła św. Mikołaja.

Nówsze atoli badania z zupełną pewnością dowiodły, że cerkiew Uspienja Nikoły znajdowała się w XV i XVI wiekach na rogu dzisiejszego Łotoczka około hotelu Niskowskiego⁵⁾.

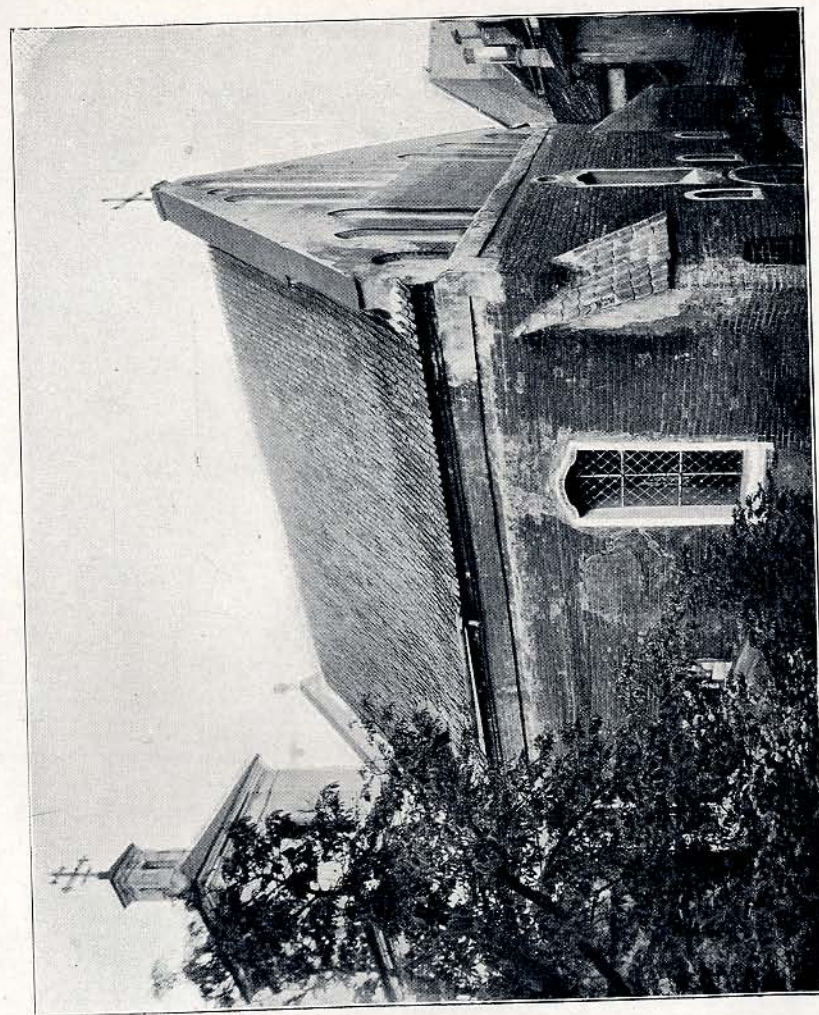
¹⁾ Grzybowski Ant. Skarb nieoszacowany Ojców Franciszkanów litewskich. Str. 140.

²⁾ Kraszewski. «Wilno». I, II. str. 309.

³⁾ Daniłowicz. Latopisec Litwy i Kronika ruska. Str. 170 dodatek 157.

⁴⁾ Akty izdawajemyje wileńskiej komissiei po razboru drewnich aktow. I. XX. 427.

⁵⁾ Wizerunki i roztrząsania naukowe I, 2, str. 51. Archeograficzeskij sbornik I, 6, str. 124.



Kościół Św. Mikołaja w Wilnie.

Miejsce to jest również oznaczone na planie, sporządzonym w roku 1672 z rozkazu Metropolity Kolendy ¹⁾. Ta właśnie dzielnica była zamieszkaną przez Rusinów i dziwnem jest przypuszczenie, iż oni budowali swą cerkiew w dzielnicy miasta, w której mieszkali obcokrajowcy - katolicy.

Że w miejscu dzisiejszego kościoła św. Mikołaja już XIV w. była świątynia katolicka pod tem wezwaniem, potwierdza hr. K. Kyburg w dzienniku swego poselstwa do W. Ks. Witolda w r. 1397 ²⁾.

„Drugi kościółek, pisze hr. Kyburg, z plebanią leży za porożalym klasztorem Minorytów, drewniany, jednak ocalał przy ostatniem Wilna oblężeniu, co winien swemu odosobnieniu, będąc otoczony do koła obszernym cmentarzem, najdawniejsze w Wilnie pogrzebisko chrześcian katolików rzymskich. Tytuł nosi św. Mikołaja Biskupa Mireńskiego....., gdyż to jest patron miasta“.

Potwierdzenie starożytności kościółka św. Mikołaja znajdujemy również w przywileju króla Zygmunta I, mianowicie w ustępie następującym, potwierdzającym nadane przez Hawnula majątności Nakieny Franciszkanom wileńskim:

„..... in primis exhibuit (venerabilis et religiosus frater Georgius) litteras, quibus nobilis Hanul haeres in Nakieny Namiestnik Vilmensis dedit hereditatem suam Nakieny nuncupatam cum omni jure et omnes arces suas ante et retro et ex latere oratorii s. Nicolai, eidem ecclesiae et oratorio s. Nicolai, quod eundem Fratibus ordinis s. Francisci monasterii Vilmensis adscripsit censu serenissimi Principis Skirgallo supremi ducis Lithuaniae, antecessoris nostri, et reverendissimi patris domini Andreas Eppi Vilmensis ad donationem haereditatis et arearum praedictarum tumetiam in ascriptionem oratorii praedicti monasterio faciendam accedente.....“ ³⁾

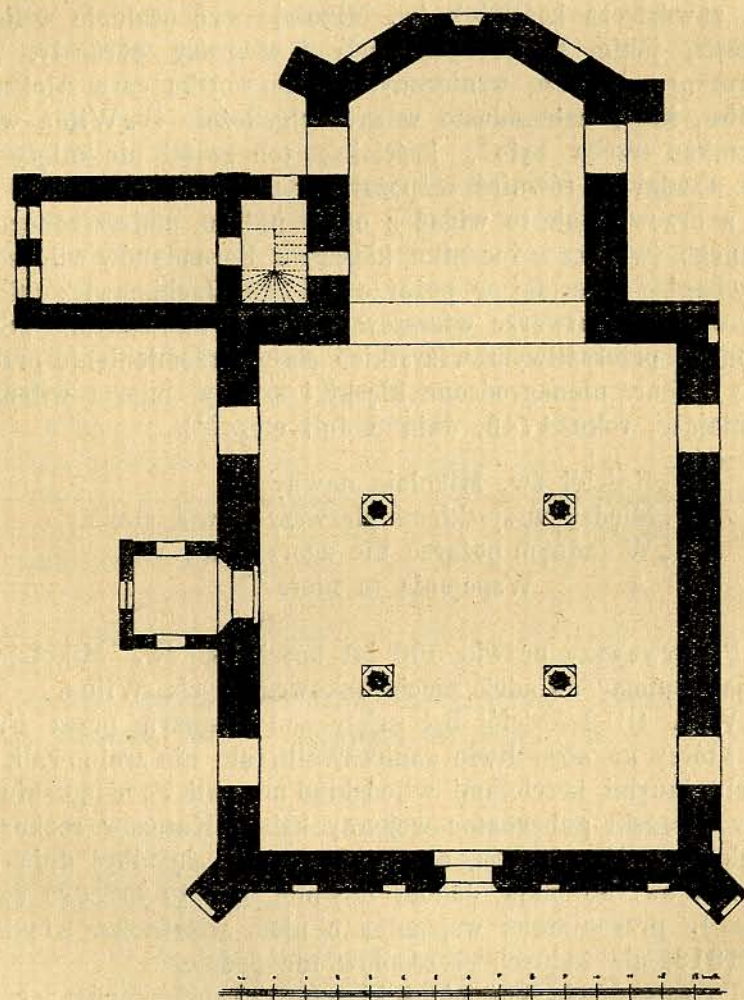
¹⁾ Akty, wydawamyje wil. komisij. I. XX str. 106 i 258. Kreczkowski Staraja Wilna.

²⁾ U Narbutta w pomniejszych pismach historycznych; w przekładzie profesora Onacewicza.

³⁾ Na jednym z posiedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie ksiądz Dunin-Kozicki kwestjonował autentyczność cytowanego dziennika a nawet podał w wątpliwość samo istnienie pisma hr. Kyburga. Szanowny historyk opierał swe zdanie na tem, że nie widział oryginału dziennika, nie wie gdzie się takowy znajduje i że język i zwroty użyte w dzienniku noszą cechy znacznie późniejszych czasów i w żadnym razie nie XIV wieku. Jakkolwiek ks. Kozicki nie widział oryginału rękopisu dziennika hr. Kyburga, mógł go oglądać Onacewicz, albo przynajmniej mieć w swoim ręku odpis z którego tłómaczył na polski. Nie godzi się uwłaczać pamięci poważnego i sumiennego uczonego, jakim był prof. Onacewicz, posądzeniem, iż miał on sfalszować dokument historyczny. Zresztą jaki mógłby mieć w tem cel? Że język tłómaczenia jest zanedo współczesny, to dowodzi tylko, że prof. Onacewicz nie mogąc pokonać trudności języka staro-niemieckiego nie trzymał się zbyt ściśle oryginału i że jego tłóma-

W r. 1902 kościół z rozporządzenia biskupa oddano mieszkającym w Wilnie Litwinom. Od tego czasu kazania i śpiewy odbywają się tu w języku litewskim. Niestety Litwini nie potrafili uszanować tej szacownej pamiątki i przez przeróbki i nieumiejętne odnowienie zeszpecili kościół.¹⁾

Kościół św. Mikołaja, ta najstarsza świątynia wileńska jest ukryta pomiędzy domami w bliskości zamkniętego kościoła Franciszkanów,



Plan Kościoła Św. Mikołaja; wykonał Stanisław Dąbrowski.

¹⁾ Z dawnych akt widać, że w XVI wieku był w Wilnie jeszcze inny kościół pod wezwaniem św. Mikołaja położony przy ulicy Biskupiej (dziś Dworcowej) ale żadnych bliższych wiadomości o tym kościele nie znaleźliśmy nigdzie. —

przy jednym z najdawniejszych zaułków, który nosi jej nazwę. Wobec pięknych i okazałych świątyń jakimi słusznie się szczyci gród Giedymina, stary i ubogi kościółek św. Mikołaja stoi samotny i zapomniany i zdaje się dumać nad pięciowiekową przeszłością, której był świadkiem.

Kościół stoi na ementarzu otoczonym niewysokim murem z bramą i ma w planie wydłużony czworobok z apsydą zamkniętą ścianami, które tworzą $\frac{5}{8}$ części ośmio-kąta. Jest on niewysoki i ma długości $28\frac{1}{2}$ metrów, szerokości $11\frac{1}{2}$ metr., a może pomieścić 360 osób. Na budowę użyto cegły czerwonej, półtora razy większej od dziś używanej, nierównej, chropowatej, ale doskonale wypalanej. Cegły spojone grubą warstwą żwiru zmieszanego z wapnem, były pomalowane farbą ciemno-czerwona.

Na pierwszy rzut oka można poznać że kościół stawiał jakiś budowniczy a raczej mularz niemiecki, ponieważ budowa jest bardzo mocna i trwała, ale za to dziwnie prosta i nawet niedbała i nieregularna. Ściany w niektórych miejscach są wygięte w kierunku pionowym, lub jak na apsydzie — poziomym. Widocznym jest, że majster budował bez pionu. Za to materiału nie żałowano, to też grubość murów dochodzi do $1\frac{1}{2}$ metra. Na rogach ściany budowy wspierają cztery grube i masywne skarpy ścięte ukośnie u góry i przykryte daszkami.

Kościół jest budowany w stylu gotyckim — robau ale pierwotna czystość stylu zachowała tylko facyatę. Baszta kościoła nosi ślady późniejszych, nawet nowoczesnych przeróbek.

Zamurowano gotyckie nisze w bocznych ścianach, również jak 3 okna środkowe w apsydzie, zaś dwa okna boczne też i 4 okna w ścianach bocznych przerobiono w ten sposób iż zamiast dawnych ostrołuków dano niegustowne wycięcia barokowe. Okna te są osadzone w głębokich ościeżach i szyby mają oprawione w ołów.

Facyata o dwóch bocznych wystęпах z niszami, od ziemi do połowy wysokości nie jest tynkowana, zaś część wyższa czyli szczyt pokryta tynkiem i na czerwono pomalowana. Z obu stron drzwi dużych znajdują się podłużne framugi w murze. Nade drzwiami duże okno, przerobione z ostrołukowego na barokowe, o licznych drobnych szybach w ołów oprawnych. Wyżej znajdują się jeden nad drugim dwa rzędy framug łukowych, a pomiędzy nimi kilka otworów kolistych. Spory krzyż żelazny wieńczy facyatę. Na lewej ścianie bocznej w niewielkiej framudze znajduje się nieudolne malowidło na murze.

Dach stromy, dachówką kryty, jest pochylony pod kątem 45° .

Z tyłu kościoła z lewej strony pomiędzy apsydą i wystającą ścianą kościoła już później od niego została przybudowa niewysoka dzwonnica dla podstawy której skorzystano ze ścian apsydy i kościoła. Dzwonnica ta renesansowa, czteroboczna, ciężka o dwóch piętrach wzniesionych nad kościołem. Na każdym z nich ze wszystkich czterech stron są okna. Dach namiotowy romański dachówką kryty, a na nim sygnaturka murowana przykryta daszkiem blaszanym. Na dzwonnicy są zawieszone trzy małe dzwony.

Wnętrze kościoła posiada wszystkie cechy gotyku, który prof. Maryan Sokołowski określa jako gotyk wileński¹⁾. Stylu tego

¹⁾ Prof. M. Sokołowski dwa gotyczmy, wileński i krakowski. Sprawozdanie komisji do badania historii sztuki w Polsce wyd. Akad. Umiejętn. I. VIII. Zeszyt I—II. r. 1907.

znamienną cechą są według prof. Sokołowskiego, «filary ośmiokątne, mające kąty opatrzone wałkami. Wałki te u dołu ponad podstawą i u góry poniżej sklepień są połączone ze sobą liniami wałków poprzecznych, tak, że każdy z filarów ma ścianki nimi obramione i w miejscu kapitelu na szczycie pas, czy szyję wśród wałkowatych listewek. Jest to rys znamienny dla gotycyzmu litewskiego wogóle, a dla Wileńskiego w szczególności. Ośmiokątne filary są powszechne w budynkach gotyckich innych części Polski, tak małopolskich jak krakowskich, ale wszędzie kąty w nich są ostre i ścianki gładko przechodzą jedna w drugą. Tutaj jest inaczej i to nadaje odmienną cechę całej grupie architektonicznych gotyckich zabytków tych wschodnio-północnych kresów. Takie są filary w kościele św. Anny i w kość. Bernardynów. Te same cechy nosi znana wieża przy kościele Bernardynów, której formy są wyłącznie gotyckie, chociaż całość robi wrażenie renesansowe, niemal włoskie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że w filarach przebudowanej przez Gucewicza katedry wileńskiej i nawet kościoła św. Jana pod dzisiejszą zatynkowaną powłoką kryje się ośmiokątny i takimiz wałkami opatrzony kształt».

Wszystkie te cechy posiadają filary w kościele św. Mikołaja, który jest budową halową o trzech jednakowo wysokich nawach. Sklepienia siatkowe, o wystających żebrach, tworzących gwiazdy i rozety, jak w kościele św. Anny, są rozpięte na czterech ośmiokątnych filarach i wychodzą z nich naksztalt wachlarza, tak że każdy filar ma wygląd palmy. Filary te na kątach są opatrzone pionowymi wałkami, które u szyi filara na każdej jego ścianie są połączone wałkiem poprzecznym. Filary nie posiadają głowic, za to mają wysokie podstawy.

Pierwotnie sklepienia i ściany były z czerwonej cegły, później je potynkowano i pobielono pozostawiając nietkniętymi wystające zębra. Wreszcie Litwini wileńscy, w których posiadaniu obecnie kościół się znajduje, pokryli tynkiem, pomalowali czerwoną farbą i zębra. Oni również wymalowali ściany i filary pod brudny marmur, a na wachlarzach filarów między żebrami dali niegustowne ornamenty malowane, czem zeszpecili piękne wnętrza świątyni.

Tęcza ostrołukowa wyrastająca prawie od posadzki ułożonej z tafelek terakotowych, oddziela nawę główną od prezbiterium, które się mieści w absydzie.

Chór barokowy z niewielkim organem wspiera się na dwóch niskich, pękatych i niegustownych słupach. Jest on pochodzenia późniejszego od kościoła, również jak trzy ołtarze, z których główny w zepsutym stylu włoskim wykonany, jest pomalowany ciemno-brązową farbą, niegustownie przyozdobiony. Naślawia wzniesiona nad mensą mieści niewielki obraz św. Mikołaja biskupa w srebrnej szacie, staroświeckiej roboty. Dawniej nad tym obrazem znajdował się snycerskiej roboty krzyż staroświecki drewniany z figurą Chrystusa. Niewiadomo po co usunięto tę pamiątkę zastępując ją marnego pędzla obrazkiem, który sprawia wrażenie oleodruku.

Są jeszcze dwa podobne ołtarze boczne, również niegustowne, nieicujące ze stylem wnętrza kościoła. W lewym do ostatnich czasów była statua P. Jezusa w białej materyjalnej sukni szytej w złote kwiaty i w koronie srebrnej. Statuę, tę cenną pamiątkę dawnej sztuki snycerskiej zastąpiono nową figurą P. Jezusa terakotową malowaną jaskrawymi kolorami. W prawym ołtarzu (a cornu epistolae) na miejsce

dawnej figury Matki Boskiej Bolesnej umieszczono bardzo nieudatną wypuklorzeźbę Pietà, którą zupełnie zepsuto przez sute posrebrzenie.

Przy lewym filarze znajduje się drewniana gotycka ambona pomalowana na białe ze złoceniami, co stanowi krzyżącą dysharmonję z ogólnym kolorytem wnętrza kościoła.

Dawniej przy drzwiach kościelnych znajdowała się figura Matki Boskiej w postawie siedzącej, malowana i w dwa fartuszki ubrana. Niewiadomo co się z tą figurą stało?

Zakrystya mała i niska mieści się w podstawie dzwonnicy, nie godnego uwagi nie posiada za wyjątkiem obrazu N. Panny Maryi Częstochowskiej w staroświeckich ramach srebrnych (?), oraz starożytnych fotela i krzesła o wysokich oparciach ozdobionych rzeźbą i herbami.

Kończąc tę pracę poczuwam się do przyjemnego obowiązku wyrażenia podziękowania p. Wacławowi Michniewiczowi—budowniczemu miejskiemu, który uprzejmie dopomógł mi przy badaniach budowy kościoła św. Mikołaja.

Źródła.

I Rękopisy.

1. *Archiwum konsystorza wileńskiego*. Sala 3. Szafa 1. Wizyty kościoła: z r. 1803.—Teka 26. № 2305; z r. 1808 — T. 28, № 2794, 2795; z r. 1813.—T. 33; z r. 1816—T. 34, № 2999; z r. 1818.—T. 41. № 3436 i z r. 1820 — T. 51.
2. *Archiwum kapitułne*. Actae vener. Capit. Vilnensis.
3. *Archiwum kość. Bernardynów*. Rocznik konwentu wileńskiego Bernardynów.
4. *Biblioteka publiczna wileńska*. Sala 6. Szafa 7, Oddział rękopisów. Przywilej króla Zygmunta I. № III. str. 78.

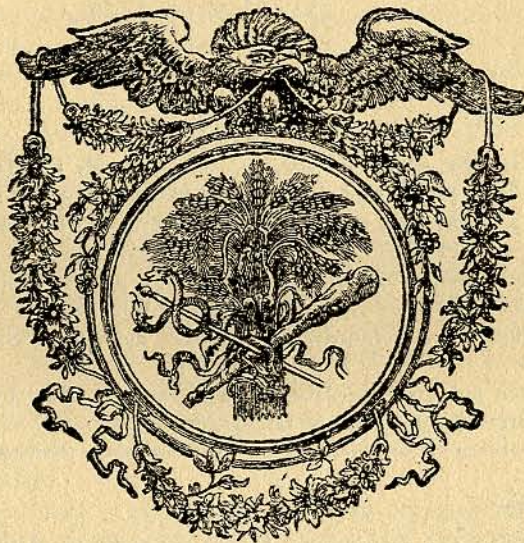
II Druki.

1. *Grzybowski Ant. ks.* Skarb nieoszacowany Ojców Franciszkanów Litewskich. Wilno. 1740 r.
2. *Narbutt T.* Dzieje Narodu Litewskiego. T. V.
3. — Pomniejsze pisma historyczne. Wilno. 1856.
4. *Daniłowicz.* Latopisiec Litwy, kronika ruska.
5. *Niesiecki.* Herbarz Polski. T. II.
6. *Sokołowski Maryan* prof. Dwa gotycyzmy. Sprawozd. komisji do badania hist. Sztuki w Polsce. T. VIII. Zesz. 1—2. r. 1907.
7. Akty wydawane przez wileńską komisję po razboru drewnianych aktów. T. XX.
8. *Archeograficzeskij sbornik*. T. 6.
9. *Wizerunki, roztrząsania naukowe*. Wilno. T. 2.
10. *Tygodnik ilustrowany*. r. 1870, № 136. str. 64.
11. *Kraszewski I. I.* «Wilno». T. II.
12. *Baliński Mich.* Historia miasta Wilna.
13. — Dawna Akademia Wileńska. Dodatki.

14. *Jan ze Śliwina*. Przechadzki po Wilnie. Wilno. 1856.
15. *Kirkor A. H.* Przewodnik po Wilnie. r. 1862.
16. *Ks. Kurczewski Jan*. De origine, erectione et evolutione dioceseos Vilnens. Directorium. 1905 r.
17. *Teka wileńska*. r. 1853. № 2.
18. *Kreczkowski*. Staraja Wilna. 1904.
19. *Polutow*. Iz proshlawo Litwy. 1902.

Dr. Władysław Zahorski.

Członek - współpracownik komisji historii
sztuki i bibliograficznej Akad. Umiejętn.
w Krakowie.



O Kardynalacie Stanisława Sierstrzeńcewicza-Bohusza.

II.

Rokowania Rządu rosyjskiego z Kuryą rzymską w sprawie kardynalatu Stanisława Sierstrzeńcewicza-Bohusza za panowania Pawła I.

Ze wstąpieniem na tron Pawła I wielkie zaszczyły zmiany przy dworze petersburskim. Dawny świat Katarzyny, dawne zgraje ulubieńców tak potężnych i pewnych siebie szybko nikną z horyzontu politycznego, ustępując miejsce nowym kreaturom i faworytom. Zarysowują się nowe konstelacje, — nowe powstają porządki. Zmiany te jednak nie zachwiały stanowiska arcybiskupa mohylowskiego przy dworze, bo Sierstrzeńcewicz, będąc człowiekiem praktycznym i przewidującym, umiał wiernie służyć Matce i zarazem zręcznie bardzo zaskarbić sobie zawczasu względy Syna. Gdy Paweł był jeszcze następcą tronu i mieszkał w Gatchynie z daleka od hucznego dworu Katarzyny, Sierstrzeńcewicz, jak się sam przyznaje w swoich pamiętnikach ¹⁾, często go tam odwiedzał, mile z nim obcował ²⁾; zdaje się nawet, że mu wtedy pomagał niejednokrotnie w kłopotach finansowych. W Petersburgu bywał arcybiskup stale u wielkiego księcia, bądź na sobotnich wieczorach, bądź też na przedstawieniach poniedziałkowych w jego

¹⁾ Cfr. Journal et Copies de la correspondance de l'année 1797. Moroszk. I t. 208 str.

²⁾ Gdy pewnego razu Sierstrzeńcewicz zachorował w Gatchynie, wielki książę polecił swemu doktorowi doglądać arcybiskupa; codziennie przez adjutanta dowiadywał się o zdrowie chorego. Cfr. Journal de Sierstrzeńcewicz 1797 roku.

pałacu na wyspie Kamiennej i na każdym kroku otaczał go dowodami szczerej przyjaźni.

Niektórzy faworyci, jak Potemkin a po nim zazdrosny Zubow z niechęcią spoglądali na postępowanie Siergieja Siergiejewicza i chcieli mu szkodzić w opinii Cesarzowej, ale arcybiskup nie obawiał się intryg, — czuł grunt mocny pod nogami. Po śmierci Katarzyny prowadzi dalej swoją politykę i ściślej jeszcze stosunki nawiązuje z Cesarzem.

Spieszy za nim na koronację do Moskwy: bierze udział we wszystkich ceremoniach cerkiewnych, w zebraniach dworskich, skwapliwie stara się wyrazić Monarsze swoje uczucie wiernopoddańcze i jak wytrawny dworak z niezwykłym taktem i odpowiedniami pochlebstwami chwyta Monarchę za serce. Wobec otoczenia swego chwali Paweł arcybiskupa za jego przywiązanie do tronu i rzetelną służbę, — a w Orszy, dokąd zawitał po koronacji i gdzie go Siergiej Siergiejewicz przyjmował uroczysto z miejscowym duchowieństwem, nader serdecznie zaprasza arcybiskupa do siebie: „Odwiedźcie mnie w Petersburgu, — miał mówić Cesarz do Siergieja Siergiejewicza, — kiedy wam pozwolą wasze zajęcia, kiedy będziecie mogli, kiedy będziecie chcieli“¹⁾. Zaproszenie było szczere, bo Paweł nie umiał i nie lubił grać komedii. Był to, jak wiadomo, człowiek kapryśny, zmienny, gwałtowny, nie znoszący najmniejszego oporu, chwilami okrutnik, ale w rzeczywistości natura, mająca poczucie sprawiedliwości, natura otwarta i głęboko religijna. Cenił zwłaszcza w poddanych ślepą cześć dla swojej władzy i swojej monarszej osoby i za nią, jak i jego matka płacił bojnę. Siergiej Siergiejewicz znał dobrze zalety i przywary nowego Pana i potrafił lepiej od wielu innych je wyzyskać. W parę miesięcy po koronacji zostaje kawalerem orderu Aleksandra Newskiego²⁾. W 1798 r. mianuje go Paweł prezesem „Departamentu katolickiego“³⁾; nadaje mu szumny tytuł „jedyne metropolity wszystkich Kościołów rzymsko-katolickich w Państwie Rosyjskim“⁴⁾ ozdabia go wreszcie najwyższym orderem rosyjskim Św. Andrzeja, a po wyjeździe nuncjusza Litty godnością Wielkiego Jałmużnika zakonu Maltańskiego.

Jednocześnie prawie z woli Najjaśniejszego Pana wznawia rząd rosyjski układy z Kurją o wyjednanie purpury rzymskiej dla arcybiskupa mohylowskiego. Sądząc z pewnych ustępów jego cie-

¹⁾ Dziennik Siergieja Siergiejewicza...1797 r. 122—130 str.

²⁾ Cfr. Moroszkina I 309 str. Dziennik Siergieja Siergiejewicza. 90 str.

³⁾ Ukaz cesarski z dnia 26 stycznia 1798 r. Polnoje sobranje zakonow XXV. № 18345.

⁴⁾ Ukaz cesarski z dnia 28 kwietnia 1798 r. Polnoje sobranje zakonow t. XXV. № 18504.



Popiersie marmurowe X. Stanisława Siergiejewicza—Bobusza znajdujące się w petersb. Ces. wolno-ekonom. Towarzystwie. Rzeźba Sokołowa.

kawego pamiętnika, przypuszczać możemy, że tym razem kwestya kardynalatu została poruszona za insynuacją samego Siestrzeńcewicza. W liście pisanym z Mohylowa w dniu 19 Maja 1797 r. do Cesarza utyskuje Siestrzeńcewicz, że kroki zmarłej Monarchini tyle razy podejmowane w rzeczonej sprawie nie osiągnęły celu. Papież odmawiał ciągle rządowi, kierując się pewnemi podejrzeniami, których dotychczas nie zdołano usunąć. Nie domaga się wprawdzie arcybiskup czerwonego kapelusza, ale daje do zrozumienia, że postępowanie Kuryi go boli, że mu chodzi o tę godność i błaga Pawła „aby raczył łaskawie bronić honoru najwerniejszego sługi“¹⁾. Żale i skargi Siestrzeńcewicza nie pozostały bez skutku. Cesarz wziął je do serca i postanowił załatwić ostatecznie to, co już tyle lat się ciągnęło.

Jaką notę jednak wysłano wtedy do Rzymu, w jakiej formie była ona zredagowana, jakich użyto argumentów, aby pozyskać Papieża, nie wiemy. W każdym razie o kardynalacie arcybiskupa mohylowskiego zaczynają znów głośno mówić w kołach dworskich i gorliwie się nią zajmować.

Książę Bezborodko, nowy kanclerz Państwa i powiernik Pawła oświadcza w rozmowie Siestrzeńcewiczowi, że Cesarz go bardzo ceni, że stara się o purpurę kardynalską dla niego i o godność prymasowską²⁾.

Wice-admirał Ribas inny ulubieniec Pawła z radością opowiada³⁾ arcybiskupowi, że wiele pochwał słyszał o nim, że wkrótce zostanie kardynałem, gdyż Cesarz pragnie tego koniecznie. Sam Paweł wspomina o tem. Rozchodzą się nawet pogłoski, że Najjaśniejszy Pan kazał już sprowadzić do Petersburga kapelusze kardynalskie. Tymczasem mijają dni, tygodnie i miesiące, a Kurya się nie odzywa.

Milczenie Papieża, choć się niejeden temu zdziwił u dworu, było jednak rzeczą zrozumiałą. Lata bowiem 1797, 1798, 1799 to chwile ciężkiej próby dla Stolicy Apostolskiej. Po nieszczęśli-

¹⁾ Cfr. Dziennik Siestrzeńcewicza 1797 r. Maj.

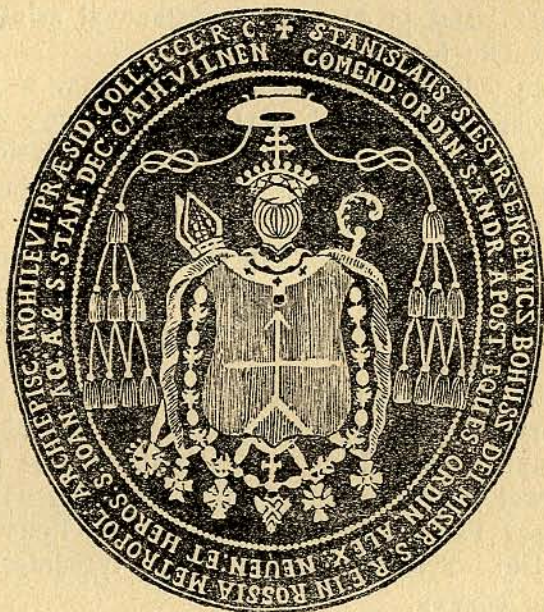
²⁾ Cfr. Dziennik Siestrzeńcewicza. 1797 r. 11. Listopada.

Książę Aleksander Bezborodko syn Andrzeja (ur. 1746 r. — † 1799 r.) początkowe wykształcenie otrzymał w domu, — wyższe w Akademii Kijowskiej. Gdy wybuchła w 1769 r. wojna z Turcją, wszedł do czynnej służby i brał udział w licznych bitwach z Turkami. W 1775 r.; po powrocie do Moskwy został powołany do boku Cesarzowej dla odbierania próśb adresowanych na jej imię, i niebawem awansował na generała majora i pełnomocnika do wszelkich negocyacji dyplomatycznych. W 1790 r. za prace dyplomatyczne podczas wojny ze Szwedami otrzymuje rangę rzeczywistego radcy tajnego, a po szczęśliwym zawarciu pokoju z Portą — order Św. Andrzeja, 50000 rb. srebrnych, złotą gałązkę oliwną do noszenia na kapeluszu i 50000 dusz na Podolu. Cesarz Paweł I nadał mu w 1797 r. tytuł księcia i godność Kanclerza Państwa.

³⁾ Cfr. Dziennik Siestrzeńcewicza. 1798 r. 24 Listopada.

wym traktacie w Tolentino (19 Lutego 1797), mocą którego Pius VI musiał się zrzec na korzyść Francji legacyi bolońskiej, ferraryjskiej tudzież Romanii i zapłacić 21000000 fr. kontrybucyi wojennej, w pozostałych częściach Państwa Kościelnego wybuchają znaczne nieporządki wywołane przez emisaryuszów dyrektoryatu celem obalenia rządów papieskich.

Niebawem powstanie ogarnia Rzym. Zagnany koniecznością, dla stłumienia rozruchów śle Pius gwardyę swoją przeciwko wicherzycielom, i w czasie walki na ulicach miasta pada ugodzony wystrzałem śmiertelnym generał francuski Duphot. Na wieść o za-



Pieczęć arcybiskupa Stanisława Siestrzeńcewicza-Bohusza.

szłych wypadkach generał Berthier na czele całego korpusu wkroczył do Rzymu i ogłasza uroczyste rzeczpospolitą rzymską. W dniu 20 Lutego wywożą Papieża do Toskanii; czas jakiś trzymają go pod strażą w klasztorze Kartuzów pod Florencją i wreszcie osadzają w Walencji, gdzie 29 Sierpnia 1799 r. dokonywa na wygnaniu skołatane go żywota. Wśród takich okoliczności sprawy kościelne musiały ulegć zwłoce. Nie miał Pius VI ani kardynałów, ani sekretarzy, ani swojej kancelaryi, — był w ciągłej tułaczce. Tylko w klasztorze Kartuzów, gdzie dłużej się zatrzymał załatwia parę spraw bieżących i stamtąd wysyła odpowiedź rządowi rosyjskiemu.

Gdy po tylu oczekiwaniach nadeszły do Petersburga papiery

z Kuryi, sądzono w otoczeniu Pawła, że Siestrzeńcewicz otrzymał nareszcie „nominację na kardynała“.

Lecz niestety i tym razem nastąpiło wielkie rozczarowanie. „10 Kwietnia 1797, w czasie mojej audyencji u Cesarza, pisze arcybiskup w swoim dzienniku, sekretarz wice-kanclerza hr. Koczubeja przyniósł mi do mieszkania bullę Papieską... Zaledwem wszedł do pokoju straży cesarskiej i powitał Najjaśniejszego Pana głębokim ukłonem, Cesarz zbliżył się do mnie i, widząc, że stoję nieruchomy rzekł mi: *a więc jesteś Kardynałem*. Ponieważ niczego jeszcze nie widziałem i nie słyszałem o owych papierach i o ich treści, oświadczyłem Cesarzowi, że nic o tem niewiem i nawet zaprzeczyłem. *Tak, tak*, odrzekł Cesarz, mówię Ci, — musi to być prawda, kiedy ci to mówię. Wtedy ukląknę i ucałowałem mu rękę ¹⁾ Wstań, dodał Cesarz, — *nie otrzymałeś jeszcze tych dokumentów*, — *a zatem je otrzymasz*. Zdawało mi się, że jestem kardynałem, póki do siebie nie powróciłem“. W domu bowiem znalazł Siestrzeńcewicz papiery, przysłane mu przez Koczubeja i ze smutkiem się przekonał, że radość jego była przedwczesna. „Ekspedycja rzymska“, jaką miał teraz w rękach, listy Piusa VI do Cesarza i bulla papieska dotyczyły się jedynie przywileju noszenia purpury, nadanego arcybiskupom mohylowskim, — o godności kardynalskiej nie było ani wzmianki. „Wobec tego, ciągnie dalej arcybiskup, zachowałem milczenie o tem, co zaszło, choć mi się ta promocja wydawała najprawdziwszą, skoro Najjaśniejszy Pan mówił o niej otwarcie do mnie i do hrabiego Sergiusza Rumiancowa. — Obecnie żałuję tego“.

Udał się tylko Siestrzeńcewicz do wice-kanclerza hr. Koczubeja i szczegółowo mu opowiedział, jak Cesarz został w błąd wprowadzony. Papież nie myślał zupełnie mianować go kardynałem, a przywilej, jaki mu przysyłał, nie był dla niego osobliwą łaską, gdyż używał już szkarłatnej sukni, odkąd został metropolitą mohylowskim ²⁾.

¹⁾ Za Pawła I było we zwyczaju przy dworze rosyjskim klękać przed monarchą, gdy mu się dziękowało, lub gdy go się o cośkolwiek prosiło. Nie tylko Siestrzeńcewicz lecz i inni biskupi — a zwłaszcza Ojcowie Jezuitów stosowali się do tego zwyczaju.

²⁾ Gdy w roku 1798 otrzymał Siestrzeńcewicz od Pawła I szumny tytuł „jedynego metropolity wszystkich rzymsko-katolickich kościołów w Imperyum Rosyjskiem“, chcąc się podobać Cesarzowi, przywdział szaty purpurowe, choć bez zgody Stolicy Apostolskiej nie miał prawa tego uczynić. Cesarz, pisze arcybiskup w swoim dzienniku (1798 r. 90 str.), bardzo się ucieszył, że się ubrał w purpurę, nie prosząc Nuncjusza o pozwolenie. — „On to zrobił dla mnie“, rzekł Najjaśniejszy Pan. Później jednak dla ulegalizowania tego kroku kanclerz Państwa książę Bezborodko zwrócił się w imieniu cesarza do nuncjusza Litty z prośbą o wyjednanie w Kuryi rzymskiej ubioru kardynalskiego dla arcybiskupów mohylowskich i, jak widzimy, rzeczony przywilej po pewnym czasie

Nie ulega wszakże wątpliwości, że przywilej nadesłany z Rzymu Siostrzeńcewiczowi oraz przyszłym arcybiskupom mohylowskim był rzeczą wyjątkową.

Tylko bowiem w nadzwyczaj rzadkich wypadkach Stolica Apostolska udzielała go biskupom ¹⁾. Na mocy tego przywileju mogli arcybiskupi mohylowscy zawsze i wszędzie we wszystkich uroczystościach i ceremoniach kościelnych używać ubioru kardynalskiego — z wyjątkiem piuski, gdyż „ta ostatnia, brzmia słowa bulli papieskiej, jest oznaką właściwą jedynie Kardynałom Świętego Rzymskiego Kościoła”. Szeroko i wyczerpująco rozwodzi się Pius VI w bulli „Inter gravissimas” ²⁾ nad powodami, które go skłoniły do tego kroku. Uczynił to dla tego, że Stolica Mohylowska jest pierwszą stolicą arcybiskupią w Państwie Rosyjskiem; że jest „jedyną”; że obejmuje wielkie obszary ziemi zaludnione katolikami, i wreszcie dla tego, „że ten nowy przywilej będzie rzeczą nader przyjemną dla Potężnego Monarchy Rosyjskiego, którego łaskawość i szczególna opieka, jaką otacza arcybiskupa mohylowskiego i innych Pasterzy Katolickich, jest powszechnie znana”. W końcu jednak swojej bulli przypomina Ojciec Święty Siostrzeńcewiczowi i tem samem jego następcom, że przywilej purpury jest odznaczenie wyłączenie honorowe; — żadnych zatem specjalnych praw ani rozleglejszej jurysdykcji im nie nadaje.

Są to słowa znamienne.

Świadczą wyraźnie, jak w Kuryi niedowierzano arcybiskupowi mohylowskiemu, jak się obawiano jego wpływów i zamiarów i jak chciano korzystać z każdej okazji, aby powściągnąć ambicję dumnego praelata. Zdaje się, że wiadomość o zaszczytnej pomyłce czy też nieporozumieniu w sprawie kardynalatu Siostrzeńcewicza doszła wkrótce do uszów Pawła. W dwa dni bowiem po ostatniem widzeniu się z arcybiskupem wysłał Cesarz do niego adjutanta swego generała Łopuchina z zapytaniem, jakiej treści

otrzymał. Cfr. Monumenta Ecclesiastica Petropolitana t. I. 44 str. Lettre du ci-devant secrétaire du Métropolitain à son ami sur la demande des causes du mécontentement de Rome contre lui.

Przegląd katolicki 1906 r. Purpura kardynalska arcybiskupów mohylowskich.

¹⁾ W roku 1749. Benedykt XIV bullą swoją z dnia 20 września dla uświetnienia prastarej Stolicy Św. Wojciecha nadał podobne odznaczenie prymasowi Adamowi Komorowskiemu i jego następcom. Przed Komorowskim, tylko prymas Krzysztof Szembek nosił szaty kardynalskie, ale jego przywilej był czysto osobisty. Cfr. Bużeński Stanisław. Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich. Wilno 1860 t. V. 98 str.

W 1818 r. na prośby Cesarza Aleksandra I przywilej szaty purpurowej otrzymali od Piusa VII, arcybiskupi-metropolici warszawscy.

²⁾ Cfr. Monumenta Ecclesiastica Petropolitana t. I, 29 str.

była bulla ¹⁾, którą otrzymał od Papieża, i czy został kardynałem. „Odpowiedziałem adjutantowi, czytamy w dzienniku arcybiskupa ²⁾, że bulla papieska miała na względzie tylko kolor czerwony mojej sukni, nie zaś kardynalat. — Po dwóch godzinach, ciągnie dalej autor dziennika, powraca znów do mnie ten sam adjutant i oświadcza mi, że Jego Cesarska Mość rozkazał hrabiemu Rostopczynowi napisać nazajutrz do Papieża, abym otrzymał godność kardynalską“

Są wszelkie dane, że Paweł I tak dobrze widziany u Papieża, byłby wreszcie dopiął swego, gdyby był dalej dopominał się o czerwony kapelusz dla swego ulubieńca. Ale rzeczy stanęły na tem. W 1799 r. zachodzą pewne wypadki przy Dworze, które zmieniają postać rzeczy. Jest to chwila, kiedy przybywa do Petersburga ów słynny jezuita O. Gabryel Gruber i wciska się do otoczenia cesarskiego. Postępując nader zręcznie ³⁾ zyskuje względy Cesarzowej, Cesarza i wielu dworzan i w ciągu paru miesięcy staje się jedną z najbardziej wpływowych osób przy Pawle, przed którą drżą i kłaniają się tacy faworyci jak Kutajśów lub Łopuchin. Dla Jezuitów taki obrót rzeczy był bardzo pomyślny, ale mniej pożądany dla metropolity, który oddawna już dla wielu powodów ukrytą prowadził walkę z nimi. Przez zabiegi Grubera, co było rzeczą łatwą do przewidzenia, traci niebawem Siostrzeńcewicz łaski i sympaty Imperatora ⁴⁾ i traci je na zawsze. Początkowo wzbraniają mu bywać u dworu; w październiku ⁵⁾ 1800 r. jest zmuszony oddać OO. Jezuitom Kościół Św. Katarzyny, wkrótce potem na żądanie Cesarza podaje się do dymisji ⁶⁾ — i wreszcie dnia 14

¹⁾ Oryginał bulli „Inter gravissimas” (Calendas Martis 1798 r.) pisany gotyckimi literami (Littera Bti Petri) za życia arcybiskupa Siostrzeńcewicza znajdował się w jego prywatnem archiwum. Po jego śmierci (1 Grudnia 1826 r.) bullę papieską złożono w kancelaryi ówczesnego ministra oświaty i wyznań Aleksandra Szyszkowa, skąd w raz z innymi papierami przeniesiona została do kolegium R. Katolickiego w 1828 r., lecz tam znikła bez śladu. Dopiero przed paru laty udało nam się odnaleźć ten ciekawy dokument w Archiwum Departamentu obcych wyznań. Cfr. Archiwum R. K. Kolegium w Petersburgu. Dzieło o konczynie mitropolita Siostrzeńcewicza. № 3446. 232. p. Cfr. Godlewski Analecta historica Petropolitana 1906. 21. p.

²⁾ Cfr. Dziennik Siostrzeńcewicza 1799 r. 12 kwietnia.

³⁾ Ojciec Gruber prosił Cesarzową o audyencję 27 Kwietnia 1799 r. Correspondance des Pères Jesuites. № 222 Moroszkina. t. I, 375 p.

⁴⁾ Ks. S. Załęski S. J. w swojej niesmacznej i niekrytycznej elukubracji: „Zniesienie zakonu Jezuitów w Polsce”. Lwów. 1875—329 str. otwarcie się przyznaje, że arcybiskup „popadł w niełaskę z wielkiem katolickiego Kościoła dobrem, a niemалą zasługą O. Grubera”.

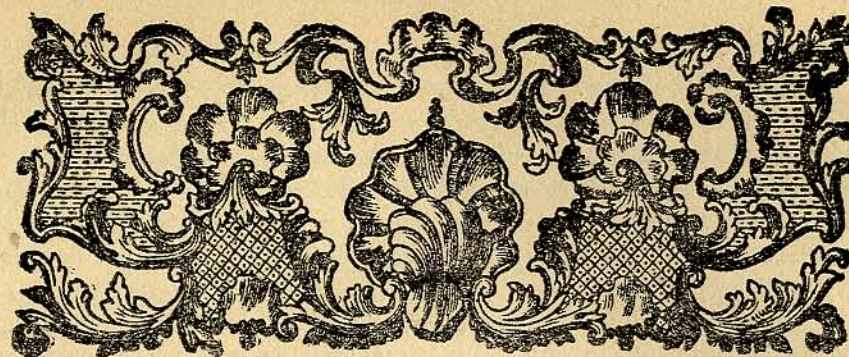
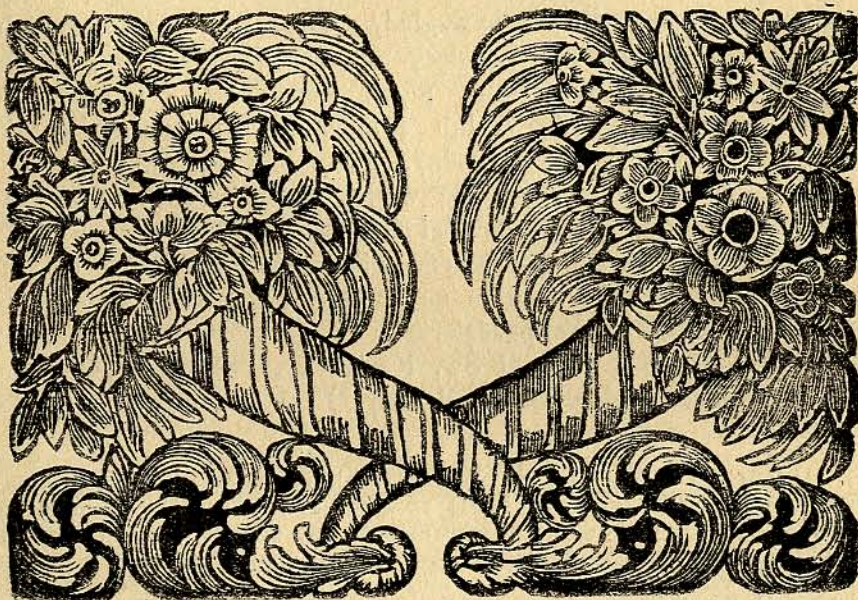
⁵⁾ Ukaz Cesarski z dnia 18 Października 1800 r. Archiwum Kolegium R. K. w Petersburgu. № 451 i № 847.

⁶⁾ Archiwum Kolegium R.-Katolickiego w Petersburgu. № 436. Dzieło ob uwolnieniu mitropolita od służby i o bytji na miasto jewo jepiskopu Beniślawskomu.

Listopada tegoż roku zostaje wysłany do gubernii Mohylowskiej, — do dóbr swoich dziedzicznych Malatycze i oddany pod surowy nadzór policyjny. Taki był finał stosunków Siestrzeńcewicza z Pawłem I, na które tyle rachował arcybiskup, i które w rzeczywistości tak pięknie zapowiadały się dla niego.

Ks. prof. Dr. Michał Godlewski.

(D. n.).



Białystok w XVIII wieku.

(Miasto, jego mieszkańcy, charakterystyka J. K. Branickiego, majątki hetmańskie, białostocki pałac. Z ksiąg centralnego Archiwum wileńskiego 8184, 8904, 8988, 8989, 8990).

W podlaskiej ziemi, z której dziejami wiążą się słynne dzisiaj nazwiska Pułaskich, Moniuszki, Paderewskiego, Mikulicza, Skłodowskiej, Rudigiera, Pawińskiego i t. d. Białystok począł odgrywać rolę dopiero od czasów hetmana Branickiego z Ruszczy krakowskiej to jest w epoce Sasów.

Śmiało można powiedzieć, że miasto rzeczzone wzrost swój i rozwój zawdzięcza inicjatywie hetmańskiej. Księgi miejskie białostockie zachowały nam ciekawą instrukcję Branickiego z roku 1745, w której przepisano, jak wybierać radnych, ławników i burmistrza i ustanowiono porządki ogniowe. Na rynku stać miała kadź porządna na kojkach czyli legarach zawsze napełniona wodą, po garncy 300 lub 240; mowa o drabinach i hakach etc.

Wprawdzie francuz pewien opowiada, jak przy pożarze Białostoku w r. 1753 (?) hetman kazał zaniechać ratunku i zasiadł do rysowania planu nowego miasta, ale pożar to był gwałtowny, a niemal całe miasto należało do Branickiego, który je pięknie odbudował. Świadczy zaś o ładzie wzorowym ogólnym inwentarz dóbr białostockich z roku 1772. Hetman przejęty zamiłowaniem porządku niemieckiego, pan znakomitej fortuny, starał się uczynić z Białegostoku rezydencję Dreżno czy Wersal przypominającą. Sprowadzał dobrze wyćwiczonych rzemieślników i artystów, zakładał znaczne warsztaty nadworne, budował się okazale; zdobił pałac i miasto, jakby chcąc sobie uprzyjemnić przyszłe a dobrowolne swoje wygnanie. Na prośbę Branickiego król August III nadał w r. 1760 Białostokowi prawo magdeburskie, rękomię i za-

pewnienie dobrobytu miejskiego stanowiące. Zdaje się, że hetman to sprowadził do Białostoku osadników niemieckich, zapewne z Saksonii.

W inwentarzu pośmiertnym wyszczególniono ulice: Kleindorf, Neustadt, Zamkową od bramy pałacowej do wiatraku ciągnącą się, Wasilkowska, Choroska, Zielona, Surazska, Bojarska, Nową od Łabędzia z rynku, Zagumienna, Zatylną od poczty ku austerji Benedykta ze szpitalem Kahalnym, Zatylną podłużną pierwszą, Zatylną poprzeczną, Zatylną drugą nad rowem od zwierzyńca, Podrzeczną i Browarną za rowem Zwierzynieckim. Trzecia i czwarta z wymienionych były brukowane. Bram było 6: Warszawska murowana z fosą podmurowaną i ostrą palisadą, na której parkan wysoki, Pieczurska, Wasilkowska, Choroska, Surazska, Bojarska, i 5 przedmieść za pięciu pierwszemi. Przedmieście za Choroską bramą posiadało ulicę Świętoroską zwaną Nowemlipiem, po większej części brukowaną, lipami zobu stron w 4 linie wysadzoną. Przy Surazkiej ulicy stał wielki dom narożny murowany na 2 piętra. Kupił go w r. 1771 od wdowy p. Katarzyny Szorcowej pan Kazimierz czy Karol Topolski wdowiec, pocztmistrz białostocki, (ojciec Ignacego Augustyna, Ludwika, Michała, Katarzyny i Marjanny). Tu mieściła się poczta utrzymująca (przynajmniej tak było w roku 1783) koni 18. Ruch na poczcie musiał być też poważny, bo w r. 1772 wdowa po hetmanie wykazuje, iż zapłaciła poczcie białostockiej długu 1233 zł. pol. Na rynku widniał ratusz murowany pobity miedzią, z wieżą o 4 ganeczkach żelaznych. W kopule tej wieży mającej 5 lukarni a nakrycie z dachówki «podrzucanej» wapnem wisiał dzwonek. W ulicy z rynku do pałacu stały: klasztor murowany Panien Miłosierdzia o 2 piętrach, przy nim Mauzoleum z czerwonego marmuru z napisem fundatora (hetmana) i murowany szpital, dalej takież kościół farny, w koło murem opasany, z wieżą, na której zegar wielki bijący, potem cekhausz murowany skarbowy na rekwizyty ogniowe z dachem «blachą szwedzką czerwoną (t. j. miedzianą) krytym» o facyacie «z malowaniem różnych ognia znaków» (emblematów), jakoteż probóstwo, budynek z muru na 2 piętra po r. 1748 wywiedziony. W cekhauzie: 2 sikawki wielkie okowane, każda na 4 kółkach, z rurami skórzanemi, 23 sikawek ręcznych potrójnych okowanych saskich, dto pojedynczych 38, dto mosiężnych 2, węborków do wody 42, siekier dużych 12, bosaków wielkich 23 etc.

U fary pomniki (ustęp ten zawdzięczać uczynności Wilhelma Szwarcza, dziekana białostockiego): pomnik z czarnego granitu Piotra Wiesiołowskiego, sejm. marszałka lit., starosty kowieńskiego, tykockiego i rumborskiego; Wiesiołowski syn także Piotra spoczywającego u Bernadynów w Wilnie w r. 1584 odzyskał od Kalwinów fary i w miejsce budowli drewnianej wystawił w r. 1617 murowaną; gmach dzisiejszy refundował X. W. Szwarc w r. 1906 ze składek; (tak wschematyzmie dyec. wileńskiej) Pomnik z czarnego marmuru Gryzeldy Sa-

pieżyny, żony Jana Stanisława Sapięhy marszałka najwyż. litew. 19-letniej zmarłej 21 stycznia w r. 1633 a pochowanej w katedrze wileńskiej; (była według napisu córką Jana Wodyńskiego wojewody podlaskiego i Zofii Sobieskiej wojewodzianki lubelskiej, po śmierci swych rodziców chowała się w domu małżonków Krzysztofa Wiesiołowskiego i Aleksandry Sobieskiej, przez nich za córkę przysposobiona, a później na dworze królowej Konstancji, żony Zygmunta III; napis ów sławi jej piękność, rozum i cnotę); pomnik z czerwonego marmuru Teresy Wydrzyckiej zmarłej 3 sierpnia r. 1717, która na lampę przed Najśw. Sakrament legowała 1000 zł.p. ubezpieczając je na synagodze białostockiej; Stefana Branickiego i jego matki Katarzyny Czarnieckiej, przez wdowę wystawiony 27/8 r. 1711, z czarnego granitu o kolumnach marmurowych. W r. 1775 przybył zaś pomnik Jana Klemensa Branickiego to jest hetmana; tłem jest piramida; przed nią na 2 brązowych gryfach spoczywa trumna marmurowa; na piramidzie medalion nieboszczyka marmurowy; na podstawie piramidy napis, marmury w pięciu różnych kolorach; zabytek Pięknego baroku; na koniec (co się anticipando zamieszcza) Izabelli z Poniatowskich Branickiej, zgasłej 12/2 1808 r. jest to obraz gobelinowy przedstawiający wazon z kwiatami i obelisk, na którym medalion nieboszczki; pod obrazem tablica drewniana i druga z granitu czarnego; (Sapieżyny i Branickich tylko serca tu pochowano).

Oprócz farnego kościoła (i zapewne kaplicy u Panien Miłosierdzia przy Mauzoleum) były kaplice przy ulicy Bojarskiej św. Maryi Magdaleny z kopułą, murowana i kaplica św. Rocha. Naprzeciw tej drugiej znajdowała się kuropatwiarnia, obok pstrągarnia i bażantarnia. W pstrągarni, w r. 1772 zimowały kaczki dzikie i łabędzie; pstrągów już nie było. Na Bojarach stały i stajnie dworskie, wszystkie te budynki, prócz cekhauzu, kryte były dachówką.

Pod samym pałacem przy ulicy Zamkowej wznosił się młyn wielki o 2 kołach.

Gdzieś po za śródmieściem rozciągało się ghetto białostockie choć żydów sporo trafia się już w rynku.

Jak zapewnia Kajetan Kraszewski, chlubił się Białystok ówczesny wielką, piętrową kamienicą służącą za oberżę czyli kafehauz. Zjazd ten urządzony na sposób zagraniczny wznosić się miał przy «główniej szerokiej ulicy na rogu» władał nim p. wójt Andruszko, a raczej jego połowica, której przeszłość obciążała podobno sumienie Branickiego. Dyskretniejszy od pana Kraszewskiego inwentarz, wzmiankuje tylko, jeżeli się nie mylę, o austerji «tyłem od żydowskiego miasta» stojącej, w zjezdnej, drewnianej ale dachówką pobitej ze stajnią z pruskiego muru. W r. 1770 zjazd ten posiadał wieczystego właściciela w osobie pana cyrulika Benedykta noszącego bardzo stosowne miano—Włoskiewicza. W bok od rzeczzonej posesji rozłożyła się cerkiew —

oryginalna. Nowo-wyreperowana, z tynkami na półkoszках, malowana była od zewnątrz na żółto-szaro. Trzy jej kopuły obite blachą «białą» jaśniały czerwono. Od ulicy zamknięta murem, z 3 innych stron parkanem z dylów między murowanymi słupami, złym.

W ogóle zaś obowiązywał w Białymstoku przepis, ażeby wszystkie budowle nawet drewniane kryto dachówką, przynajmniej od strony rynku. Ściany domostw zwrócone ku rynkowi były też wszystkie murowane.

W 4 lata po śmierci Branickiego to jest w r. 1775 — za «Kompulem» Antoniego Patyńskiego, gubernatora białostockiego (rządcy dóbr białost.) rada miejska uchwaliła, ażeby każda ulica posiadała swego urzędnika, gospodarza osiadłego. Ten winien był donosić zwierzchności (dworskiej) o ludziach z miasta wynoszących się, o kłótniach sąsiedzkich, o chorych, o studniach i parkanach potrzebujących naprawy, o drabinach ogniowych i t. p. Byłyby to więc urządzenia sanitarno-policyjne. Co do kłótni, chodziło widocznie także o to, ażeby procesom zapobiegać. «Polecono» zaś hetmanowej wdowie, ażeby tych urzędników opłacała. Ponieważ uchwałę powzięto za przynagleniem takiej osobistości jak «gubernator» a porządek odpowiadał tradycji rządów nieboszczyka i hetmanowa sama według zaczerpniętego z archiwum w Rosi świadectwa Z. Glogera dzielną była gospodynią, przeto nie wątpić, iż przychyliła się do owych postanowień. Dzięki też owej tradycji i nieustającemu opieceństwu wdowy zapada w r. 1776 uchwała niniejsza, ażeby w ulicach Zatylnych beczki z wodą, ponalewane były, gdzie studzien nie masz». (Przy tej sposobności godzi się przypomnieć, że w miasteczkach Rzeczypospolitej w ogóle większego niż dzisiaj porządku przestrzegano, a to dzięki obszeremu samorządowi. W Galicji np. stały one o wiele wyżej niż obecnie; dzisiaj w zaprowadzeniu ładu przeszkadzają tam miasteczkowi — żydzi.)

Wspomnę teraz o niektórych obywatelach białostockich. W r. 1737 burmistrzem był Stanisław Bielecki. Oto inni burmistrzowie w czasie od 1741 do 1789; Paweł Złotoszewski (sic), Jan Hołubowski, Wojciech Bielecki, Maciej Zaleski, Ant. Borsuk, Jakub Jasiński, Maciej Czudowski, Andrzej Jedliński, Ant. Wroczyński Woj. Jabłoński, Marcin Kozłowski, Michał Woronowski. Z liczby tej sześciu poburmistrzowało dwu i trzykrotnie. Pisarzował magistratowi w r. 1785 Antoni Jaskólski. W r. 1770 radnymi byli: Antoni Korbut, Herman Henrich Kiman, Johan Scheyba (czy nie krewny Jana Dawida Scheyby, kalwina aptekarza mińskiego z r. 1744?) «Landwójtem» po Andruszku mianował Branicki w r. 1769 Antoniego Wroczyńskiego. (Wiadomo, że soltystwo należy rozróżnić od urzędu miejskiego. Landwójtów spotyka się zresztą tylko w większych miastach; mianował ich król. Może tym razem odznaczono wójta, czyli soltysa pompatyczną nazwą landwójta, która mu nie przysługiwała).

O kupcach białostockich nie wiele miałbym do powiedzenia. Kupcyli głównie żydzi, kramarze. Jan Bogusław Szule, kupiec terespolski miał w Białymstoku handel sukienny pod dozorem Johana Samuela Gintera «attendenta». Tabakę (tj. tytoń do palenia i tytoń miałki) krajową i zagraniczną w r. 1776 sprzedawał tutaj Jan Naymowicz katolik i trzech żydów. Zagranicznej tabaki właściwej sprzedano w owym roku 32 funtów, tytoniu krajowego 861 funtów, tabaki krajowej 438 funtów. Pieniędzy za sprzedaż «tabaki» krajowej powzięto 722 złp. 15 gr! (wypadłoby nieco więcej niż pu 16½ groszy za funt) Pocztmistrzem po Topolskim został w r. 1784 pisarz pocztowy Wojciech Szafrankowski. (Poczta była i w Węgrach podlaskich; w r. 1768 zarządzał nią pocztmajster p. Jan Wiertelewski, zapewne Viertel.) Urząd rabina sprawował w tym okresie Kalman Józefowicz. Proboszczem białostockim był w r. 1770 ksiądz Michał Kadłubowski, niełada dostojnik, bo scholastyk katedry inflanckiej, oficjał podlaski i grodzieński. Ten grunty proboszczowskie za bramą Wasilkowską ustąpił hetmanowi, który dla bezpieczeństwa od ognia przeniósł tam z miasta browary żydowskie i w zamian dał probóstwu półwłoczek zwany «Gorszczyza». (pomiar robił wówczas p. Puszet geometra jego królewskiej mości.) X. Kadłubowski był zaś jednym z dalszych następców ks. Wojciecha Beynarta, kanonika kat. wileń., który w Białymstoku proboszczował za czasów Kojałowicza. Jako wikary białostocki figuruje wr. 1772 ks. W. Godlewski.

Z mieszczan niemieckich Białegostoku dodam jeszcze Hermanów, Blumów i Bemów. Z tych Johann Christoph Behm przyjął obywatelstwo miejskie w r. 1785. (Być może, iż siedł z tej samej rodziny co i Jan Ludwik Bem, sówietnik narodowy i assessor Izby skarbowej, kalwin wileński zmarły w Wilnie r. 1798. Zapisek o tym Janie Ludwiku w metryce kalwińskiej polski; uważano więc tego Bema za polaka; Niemców zapisywano po niemiecku. Byliby to krewniacy sławnego z kampanii siedmiogrodzkiej r. 1848 generała Bema). Pod rokiem 1785 wzmiankowano o mieszkańcu Białegostoku Adamie Henryku Mengerze; akta nazywają go chirurgo-medykem hetmanowej wdowy. Godnem na koniec wspomnienia jest nazwisko Czarneckich. R. 1768 nadał był hetman 2 place w Białymstoku «urodzonemu» Janowi Czarneckiemu i jego córce Kunegundzie. Ta w r. 1774 była już żoną p. Józefa Rousseau; miała zaś siostrę Marjanę. Może to dalecy krewni hetmańscy; wojewodę Stefana pisze inwentarz także Czarneckim, a nie Czarnieckim.

Z cechów miejskich trafiłem tylko na garncarski. Cechmistrzem był w r. 1773 Stefan Leonowicz.

Ludność mieszczańska Białostoku zachodząca w transakcjach ksiąg miejskich nosi często nazwiska szlachty podlaskiej. Są tam Janiccy, Karpińscy, Sadowscy, Piekarscy, Popławscy, Szacilowscy (Szacilowie), nawet Krupiccy i Kuczyńscy. Z nazwisk jednak samych nie

wiele można wnosić. Część jakaś tych mieszczan może i znaczna była jak i gdzieindziej pochodzenia szlacheckiego, ale przeważał chyba pierwsiastek włościański, którego przedstawiciele zwykłym owych czasów trybem przyjmowali nazwę pełniejszą, quasi szlachecką. Tak Łuszcz białostocki przezwiał się Łuszczczyńskim. Podobnie było może z Szerbińskim i Słomińskim. Jakiś przybysz z Piekar mógł się nazwać Piekarskim i t. d. Nazwisk na *icz* mniej stosunkowo. Byli np. Łuczkievicze, Ochremowicze, Wojtulewicze, Zygmuntowicze, Oleśkiewicz, Syczowie czyli Syczewicze, Malewicze. Tych prędzej na ogół można uważać za byłą szlachtę. Do byłej szlachty należała prawie i większość bojarów białostockich, z których wymienię Stefana Jackowskiego. (Mówię: byłej, gdyż szlachta bojarska znalazła się już na drodze do zupełnego zatracenia «klejnotu.» Inwentarz tylko Jackowskiego nazywa wyraźnie bojarem. Było tych bojarów w Białymstoku z jaki dziesiątek).

Zachodzą między mieszczanstwem białostockim jeszcze Bielewiccy, Dubiejkowie. Resztę nazwisk cytuję w spisie rzemieślników, muzykantów etc.

Rozpatrzmy prestacje.

Bojarowie z bojarskiej ulicy płacili ogólnie (razem) co rok po złp. 77 do skarbu; uiszczali prócz tego w r. 1771 pogłównego 20 złp. i wyrabiali przesł parkanu zwierzyńcowego 23 na rok; jeżeli są identyczni z tymi, których inwentarz nazywa «bojarami pod pałacem». Tak się wydaje i posiadając budynki własne, odrabiali zato pańszczyzny po dwa dni na tydzień. Powinność z włók i placów w owym roku płaciło miasto 300 złp. rocznie; pogłównego od chrześcian płacono 206 złp. (razem z bojarami 226), przyczem mieszczanie chrześcijańscy obowiązani byli zdziałać na rok przesł parkanowych 287. Żydzi spłacali pogłówne w kwocie 200 złp. i arendę od placów, bliżej nie podaną. Korzon liczy ówczesnych mieszkańców Białegostoku na 3400 głów. (Dodam, iż ze wsi Białegostoczku szło pogłównego 160 złp., przesł 200; ze wsi Zawad pogł. 90 złp., przesł 92 i t. d.).

Osobno kładę rzemieślników, ponieważ pracowali dla dworu. Do nich należeli np.: Rotman kominiarz, Johan Rohleder kapelusznik, Johan Adam Gramer szewc warszawski; Kranz stelmach, Krzysztof Szejbak kowal, Szemiot dto, Sylw. Jozobik brukarz, 2 krawcy Złotarszewscy, Wawrz. Jedliński cukiernik, Gorzdowicz rymarz, Karol Jedliński młynarz, Malecki tokarz, Dzieduch i Celner rusznikarze, Lankmar kotlarz, Zawierkowski stolarz, Jabłoński, Zimnochowski i Hermanowski snycerze, Kaligowski sukiennik, Łukasz Skorupka, Jan Urbanowicz, Antoni Waleczyński i Adam Sawicki malarze, Nowakowski krawiec nadworny hetmana (hetman nosił się po polsku), Krzysztof Karol Kreyger zegarmistrz i t. d.

Mieszkali nadto w mieście: pp. Jan Sakulski kapelmistrz od jan-

czarów, francuz Dracke metr od wszystkiego, Grabenbauer klawicymbalista, Witmanowa wdowa po kapelmistrzu, muzykanci p. Henkel, Pichler, Kurzwal, Rottengruber, Wolfart, Kibalski, Frycz, Oszmiański; Kułakowski i Reymon (sic) piwowarzy, Geniuszowski świecarz (Geniusz, Giniusz; była okolica szlachecka, Giniusze w parafii Kryńskiej powiatu grodzieńskiego); Kucharze dwaj Tomaszewscy, Kudręcki i Ceserski; Nieścierski ptasznik; panowie: Olszewski podkoniuszy hetmanowej, Radecki niewodniczy, Antoni Rogowski mąż Kat. Wolfartównej piwniczy, Graf guwerner «panów paziów», sekretarstwo Krasowscy; Wakulscy, pani Rozalia Urbanowiczowa Grekowa wdowa po masztalerzu (ci Grekowie szli z rodu Paleologów); pp. Sobolewski instygator wojskowy, kapitan Giecy (?), Obstowski murgrabia pałacowy, pułkownik Karol Malczewski, (poseł hetmana do Turcyi w r. 1755), Maciej Ząbkowski ogrodnik, Rózycka ogrodnik od sadu warzywnego, Bauer ogrodnik podobno naczelnym bo zawiadujący oranżerjami, chorążyna Badowska, Kosińska, Jarkowska z córką Leymanową, Backel szafarz, Piramowicz rotmistrz, Gutmanowa, Pietrzykowski podchorąży piechoty węgierskiej, Kat. Daszkowska matka Józefa i Ignacego, Samuel Majewicz rotmistrz przedniej straży, oberszt-lejtenant Szuszkowski, Dessem, general-adjutantstwo Tellerowie (sic), generał Riaucour, chirurg W. Sichling And. Bronikowski, porucznik infanterji Buławy wielkiej kor., Kopycki masztalerz, jakiś p. Putini; głośny artysta malarz Miris (ten siedział przy Zamkowej ulicy) i p. Antoni Herliczka, malarz artysta, wdowiec ojciec Józefa, Jana, Antoniego, Anny i Konstancji, czech z pochodzenia, p. Katarzyna z Borodzieców, córka Krzysztofa i Anny z Kotelskich, a żona Henryka Klemma, który był pułkownikiem piechoty buławy wielkiej kor., Elzbieta z Taylerów, małżonka Józefa Ebszelewicza, oberszt-lajtanta dragonii Potockiego podczaszego W. K. L., dr. I. F. Michelis, chirurg lekarz Branickiej, autor pism medycznych, założyciel późniejszego instytutu położniczego w Białymstoku, którym kierował od r. 1811 — 1820, wreszcie polyhistor Mik. Wolski, uczeń i ulubieniec astronoma ks. Poczobuta, zamieszkały tu od śmierci Stanisława Augusta t. j. od r. 1798 przy siostrze królewskiej. Dwóch tych ostatnich cytuję z J. Bielińskiego.

Wielu w tem gracialistów, rezydentów wojskowych. Wszystkie powyższe i następujące nazwiska mieszkańców Białegostoka trzeba było wylawiać. Inwentarz zestawia tylko włościan. Uderza rzadkość nazw francuzkich i czysto litewskich między rzemieślnikami i służbą niższą. Za to obfitują niemieckie. Wskazówką gospodarki rolnej niemieckiej zatem postępowej to byłoby, iż np. w r. 1766 dyspozytorem choroskim, po dzisiejszemu ekonomem jest p. P. Karol Reichman. Lokajami są: Kreszezeński, Poskrobka, Kozłowski i t. p.

Milicja nadworna, o ile wnosić można ze spisu broni, składała się z 54 konnych i 32 piechurów. Rękopism współczesny cytowany przez

K. Kraszewskiego mówi, iż własnym kosztem utrzymywał hetman szwadron jazdy zwany forpocztami i drugi ułanów składający się z samej szlachty miejscowej, a dowodzony przez oficerów zasłużonych i umiejących. Podobno to ułanom przewodniczył w r. 1771 porucznik lekkiej chorągwi nadwornej Andrzej Budkiewicz. «Ciągłą zaś załogę Białegostoku przywiązaną do urzędu hetmana wielkiego stanowiły pułk piechoty i dragonów armii jakoteż dwie kompanie piechoty: węgierska pod rotmistrzem Chlebowskim i janczarska. Oficerami kompanii pieszych byli sasi, prusacy lub swoi». Komendanturę garnizonu białostockiego sprawował w roku 1767 Stan. Łętowski generał-adjutant Białawy wielkiej koronnej. «Istniała szkoła wojskowa budownictwa i inżynierii, miernictwa, jazdy, fechtunku, z salą do musztry. Kapitan Melitz był instruktorem musztry, taktykę wykladał Trzeciak, budownictwo kapitan i architekt Jan Sekowski mąż Konstancji Szorcówny, Fechtunku uczył czech Wakulski a kapitan Pleiner, sas, kierował szkołą konnej jazdy. Byli osobno profesorowie języków, matematyki i historii. Nie brakło i pensji dla panien», cór oficerskich i urzędniczych, kondymentu męskiego świata, których w arkana języka niemieckiego wtajemniczała pani guwernerka Obuchowiczowa.

We dworze mieli siedzibę: sześciu paziów, jak Wojciech Matuszewicz, brataniec znanego Marcina, Jerzy Ruszczyk staroście Porajski, Jelec i t. d.; Beck, szwajcar, sekretarz od korespondencji zagranicznej czyli ekspedycji cudzoziemskiej, którego miejsce zajął w r. 1759 miły hrabiemu de Broglie ks. Betański, czech, kanonik hradecki, dr. Michał Clement przyboczny lekarz hetmana, sławny medyk. Żołynski (drugi) koniuszy, Andrzej Gieszkowski generalny komisarz dóbr podlaskich Branickiego, dwie ochmistrzynie pani Jabłonowska i panna Barbara, jakoteż najważniejsi bo tak zwani konsyliarze hetmana: Pierwsze między nimi miejsce wysłużył sobie Maciej Starzeński, syn Krzysztofa z Płowca w Poznańskim, brat Jana kasztelana gnieźnieńskiego. Pan Krzysztof wyprawił był piętnastoletniego Macieja do Białegostoku z bryczką, trzema końmi, dwoma siodłami, z bronią, ze starym masztalerzem Podhoreckim i z 15 dukatami. Maciejowi powiodło się. Po Markowskim został sekretarzem czyli pisarzem wojskowym hetmana i nabył dobra Strable, Jezewo, Olejów, Sasów, Markopol. Przybyło mu i starostwo brańskie. Konkurował o pannę Kuczyńską, którą dumni rodzice teje nie mieli zamiaru mu oddawać. Ożenił się tedy z piękną panną Anielą Trebińską z Psar. (Tak u K. Kraszewskiego z papierów romanowskich). Zarzucano mu dosyć powszechnie a nie bez racji chciwość. Dwoma innymi «Konsyliarzami» byli Andrzej Węgierski, pułkownik i koniuszy hetmana, ojciec Jana a stryj poety Kajetana, jakoteż generał Andrzej Mokronoski, starosta ciechanowski, agent hetmański w Paryżu w ostatnich latach Konfederacji barskiej, «przyjaciół» hetmanowej, z którą się po śmierci hetmana ożenił, lecz pota-

jemnie, ażeby nie postradała zapisanego jej dożywocia na dobrach hetmańskich. (Do pierwszej to żony generała włoszki Castellówny pił jezuita pewien w Warszawie kaząc na temat: przybyła do miasta z kastelu grzesznica).

Jak świadczy Kitowicz, przy stole pańskim w Białymstoku zasiadali zawsze koniuszy i sekretarz wojskowy. Po koniuszym dopiero, który zawiadował całym dworem, siedł marszałek jako dozorca kuchni i stołu, prezydujący stołowi marszałkowskiemu. Generał Mokronowski odgrywał rolę stałego gościa — doradcy. Był zresztą podkomendnym hetmana. Czasem zajmował się nalewaniem wina dla współbiesiadników.

Pod wpływem tych trzech ludzi zostawał wielki hetman koronny. Robił też swoje i p. Beck, wywłoka, a dopełniały rady przybocznej na miejscu i z daleka Katarzyna z Zamoyskich Mniszechowa i siostra hetmańska Janowa Lubomirska, starościna bolimowska, (o czem w pracy p. W. Konopczyńskiego: Polska w dobie wojny siedmioletniej I).

Do bliższej poufałości hetmana dopuszczaną była starszyzna wojskowa jak pułkownik A. I. Kraszewski (z rodziny późniejszego powieściopisarza), Wojciech Toporezyk Jakubowski, agent francuzki w Białymstoku, Paszkowski Płomieńczyk arendator Janowicz pod Białymstokiem pułkownicy, i Marenj Matuszewicz z Boćków, sługa radziwiłowski, autor pamiętników wydanych przez A. Pawińskiego, w ostatnich latach panowania Augusta III, niestrudzony partyzant «republikanów». Ten to pamiętnikarz zapisał nam wiadomość, że w r. 1755 poseł turecki bawiąc w Białymstoku kazał poecie tureckiemu opisać Białystok i Choroszczę «z wielkimi dla Branickiego pochwałami» i że w roku następnym gościem białostockim była poetka Drużbacka, która uczciła hetmana wierszem imieninowym na święty Jan.

Ale twórca porządków białostockich zasługuje, ażeby się z nim bliżej zapoznać. Jan Klemens Branicki, kasztelan krakowski, stąd jasnie oświeconym tytułowany, hetman wielki koronny, kawaler orderów Złotego Runa od r. 1758, św. Andrzeja i Białego orła, starosta bielski, Bohusławski, Krośnieński, Mościcki i t. d., urodził się 21 września roku 1689 synem Stefana Mikołaja wojewody podlask. (który walczył pod Wiedniem a zmarł w r. 1711) i Katarzyny Scholastyki Sapieżanki, wnukiem zaś Jana Klemensa marszałka nadw. kor. towarzysza broni Stefana Czarnieckiego z Aleksandry Katarzyny Czarnieckiej, córki tegoż Stefana, wojewody kijowskiego, obdarzonego przez Rzeczpospolitą Białymstokiem i Tykocinem. Pochodził z rodu Gryfitów, znanego już do wódnie w XII wieku jako możnowładcy, który zgoła był różnym od Branickich Korczaków pochodzących z lubelszczyzny, potomków Dymitra z Bożego Daru i Goraja. Wychował się we Francji.

Ostatni z rodu linii męskiej spowinowacił się Jan Klemens z późniejszym królem Stanisławem Augustem (imię Augusta przydał Stani-

sławowi prymas po ogłoszeniu elekcji) pojawił się jako trzecią żonę Izabellę, tegoż siostrę. Spisał zaś z nią akt wzajemnego dożywocia w roku 1748. Ślub odprawił się z zapowiedziami, co wywołało rumor i — modę obywatela się bez indyktu. W posagu otrzymał hetman gotowych pieniędzy 400,000 złp. i w osobnym zapisie ubezpieczył żonie tę sumę na Białymstoku, Tykocinie jakoteż Choroszczy z przyległościami wianując jej drugie tyle. W tymże zaś roku 1748 dostał jeszcze od teścia 100,000 złp., co znów zeznał jako dług mający się spłacić hetmanowej: Razem tedy posiadała ona 900,000 złp. na dobrach mężowskich. Zda się, że owej gotówki posagowej potrzebował hetman do oczyszczenia dóbr swoich. W tym to więc celu zawarł był trzecie małżeństwo. Liczył podówczas lat 59.

Potomstwa nie miał.

Pod względem działalności politycznej hetmana wystarczy tu powiedzieć, że, chociaż dwukrotnie kandydował do tronu, i stał na czele stronnictwa republikańsko-patrjotycznego, jakoteż późniejszej frakcji hetmańskiej zwanej, był raczej figurantem — znaczącym wagą swojego urzędu i majątku, mniej zaś — zapomnianego u wielu nazwiska i własnej osoby. Przeciwnicy hetmana różnych obozów (Brühl i Czartoryscy) zwali go urągliwie: le wódz. Przeszłość też jego nie obfitowała, w wypadki. W r. 1734 wzięli go stronnicy Leszczyńskiego w Kamieńcu-Podolskim. Był dość ograniczonego umysłu, ostatnie zaś lata Augusta III zastały go już podeszłym w wieku. Zdaniem Matuszewicza, hetman w akcji predelekcyjnej r. 1763 zawinił skapstwem. Nie chciał mianowicie samłożyć na wzmocnienie stronnictwa między szlachtą. Opowiada wszakże ów pamiętnikarz, że Branicki zabronił wojsku koronnemu mieszać się do sejmików predelekcyjnych. Pod Warszawą zaś tuż przed elekcją miał hetman Stanisławowi Poniatowskiemu czynić braterskie wymówki o wkroczenie wojska rosyjskiego słowami, «aby, jeżeli chce zarobić na sławę i miłość narodu, nie szedł (na tron) tymi gwałtami,» na co Stanisław August — zapłakał...

W czasie obioru Stanisława Augusta cofnął się hetman z resztkami swego wojska ku Węgom. Zamysłał nawet emigrować do Francji. Wiedziony jednak nadzieją, robioną jakoby przez nowo obranego króla, iż hetmanom koronnym władzę przywróci, powrócił do Białegostoku, skąd się już do końca życia niemal nie wychylał. Owa nadzieja okazała się zawodną. Sejm bowiem r. 1764 zatwierdzając Komisję wojskową nie przywrócił władzy hetmańskiej a wykreślił tylko z poprzedniej Konstytucji sejmu konwokacyjnego obraźliwy ustęp o nadużyciach, (dotyczący sprawy ordynacji ostrogskiej).

Fronował tedy J. Branicki w swojej siedzibie ale dość platonicznie. Raz tylko — podczas konfederacji barskiej — dał głośny wyraz swemu niezadowoleniu wspierając pobitego pod Myszą Kazimierza Pułaskiego «chorągwią Komputową janczarską, ludźmi nadwornymi i amu-

nicją, za co go jednak Rossja nie prześladowała, bojąc się, iżby zapisów żonie poczynionych nie odwołał». Tak przynajmniej u Kitowicza. Nie sądzę, ażeby względności Rossji szukać w owej obawie. Widzieliśmy bowiem, iż hetmanowa prócz dożywocia miała na dobrach Branickiego niespełna milion złp. Znosić zaś zapis dożywocia nie było łatwem. Nie znam nawet takiego przykładu. Akt dożywocia wzajemnego był przecież dwustronnym. O zapisach darownych hetmana dla Izabelli Branickiej nie zdarzyło mi się czytać.

Żonie swej Izabelli hetman nie ulegał. Stwierdza to p. Konopczyński. Dosyć znamienne jest, że w r. 1764 podczas iluminacji Warszawy na cześć króla właśnie ukoronowanego inicjowanej, hetmanowa gorąco do braci swych przywiązana, bawiąc wówczas — zamiast męża — w stolicy, nie chciała iluminować pałacu hetmańskiego «bez wiedzy i pozwolenia małżonka» — mimo nalegania Czartoryskich.

Hetman ani myśliwym był zawołanym, ani wojownikiem. Jednak «służba wojskowa odbywała się u niego z wielką skrupulatnością; pobudka budziła tak dobrze adjutantów i oficerów starszych jak i żołnierzy». Szkołę wojskową, widzieliśmy, że urządził. O szóstej był już na nogach, poczem do 12 pracował. Polowania zaś urządzał co rok sześciotygodniowe w jesieni dla wytepienia zwierzyny drapieżnej. Na każdej obławie padała bodaj setka wilków. Błogosławili go za to włóścianie podlascy. W życiu prywatnem bywał hetman hojnym, uczynnym i wdzięcznym. Pan Konopczyński, badacz zresztą sumienny, ale nad miarę kostyczny, pokpiwa, że Branicki choć tak zadowolony w agronomii nie celował... Któż z naszych panów ówczesnych «znał się» na niej? Faktem pozostanie, iż hetman rządym był i gospodarnym. «Czasu obław używał sam na objazd i lustrację dóbr podlaskich własnych i królewskich. Badał osobiście stan obsiewów jesiennych, lasów, zabudowań folwarcznych i wiejskich, magazynów zbożowych, registratury, miast w skład dóbr wchodzących i znajdujących się w nich kościołów, klasztorów, zakładów dobroczynnych, lubo tę kontrolę pełnili stale komisarze hetmańscy». O czem świadczy nie tylko Kajetan Kraszewski ale i żywa tradycja podlaska. Majątku nie trwonil, porządku jak umiał zaprowadzał, urzędników dobierał. Ślad jego usiłowań gospodarczych melioracyjnych odnajdujemy w ustępie powyższego inwentarza o modelach. Były więc: «modele młyna wodnego i maszyny, młyna wietrznego obracającego się z wierzchu, przyrządu do rżnięcia sieczki na wodzie, maszyny do wyciągania drzew wielkich, dwóch młynów wólowych, maszyny blaszanej do wysuszania łąk, — (nawet) okna z markizą od gradu»; (osobno — kufer pełen różnych modeli snycerskich). Mogły to być pomysły fantastyczne, ale na jakimże stopniu stała mechanika ówczesna?

Przyznać też należy hetmanowi rzadką w owej dobie uczciwość w sprawach pieniężnych. Pijakiem nie był, chociaż w biesiadach się

lubował. Jużci wszystkiego o Branickim Matuszewicz nie zapisywał. Ale pod r. 1764 czytamy, że kiedy raz ks. Karol Radziwiłł zaczął się w Białymstoku przy stole napijać, hetman wstał od stołu. Bodaj i takie świadectwo coś warte z czasu opojów.

Upodobania i sympatje Branickiego poznamy jeszcze z inwentarza. Szwagra nie cierpiał. Nazywał go «panem Stanisławem». W pałacach białostockim i warszawskim etc. wśród bardzo licznych portretów i rycin nie znaleźć ani jednej podobizny «dobrego» króla, który słynął z łatwości do płaczu i «z chęci ku wszystkim»...

Pobożność zaś swoją i zrozumienie potrzeb ogólniejszych zaznaczył hetman naprzód fundacją Panien Miłosierdzia białostockich ze szpitalem. W roku 1771 przydał im folwark białostocki zwany Pod Krupnikami wykupiwszy go sumą 3000 złp. od suksesorów Adama Bujakowskiego «oberstrzelca» niegdyś tym folwarkiem przez się obdarowanego. Tegoż roku refundował Bernardynów w Tykocinie. Kościół miał być tam przeniesiony z kępy, a klasztor na kępie pozostał. Na niej to istniejący zamek niegdyś obronny tykociński rozebrał hetman na wznowiony przez się alumnat czyli szpital dla 12 inwalidów wojskowych fundacji Krzysztofa Wiesiołowskiego obdarzonej dobrami do listowskimi. Alumnatem i farą zawiadowali ks. Missjonarze. Co do Tykocina, zachował się w Publ. Bibl. wil. list S. Czechowicza do Branickiego datowany z Warszawy 8/3 r. 1749, w którym ten malarz się tłumaczy «że 2 obrazów do Tykocina i 2 mniejszych na święta przyszłe, wystarczyć nie może z powodu komisów wojewody podolskiego i Pijarów. Pijarzy z różnych miejsc zyczyliby sobie mieć obrazy na introdukcją swego założyciela błg. Józefa Kalasantego». O testamencie hetmana wspomina A. Sulimierski: Hetman ostatnią swoją wolą legował dla funduszów edukacyjnych 51777 talarów (Komisją edukacyjną ustanowiono dopiero w r. 1773; dobra jej były spuścizną jezuitów), na fundusze duchowne 30844 tal. dla ziemi bielskiej 15591 tal. i t. d. Zdaje się, że w związku z pierwszym z tych zapisów jest to, co czytamy w 19 tomie opisu «dziej archiwu gosudarstw. sowieta» gdzie, na str. 17 wymieniono akt z r. 1808 o pretensji uniwersytetu wileńskiego do sumy 300000 złp. ubezpieczonej na Tykocinie u hr. Branickiej, na str. 49 korespondencję z lat 1809—1812 między rządem rosyjskim a warszawskim w sprawie o podział kapitału «ofiarowanego Komisji edukacyjnej przez hr. Branicką».

Ogólne zatem *facit* dla hetmana pomyślne. Za brak bowiem zdolności wrodzonych nikt nie odpowiada.

Umarł 9 Października r. 1771 Hańby więc rozbiorowej nie doczekał. Dożywotniczką jego majątków została wdowa, po której zgonie przeszły na potomstwo sióstr hetmańskich. Białystok dostał się Potockim.

T. Korzon oblicza roczną kwartę «z 9 królewsczyzn» Branickie-

go na 63754 złp. Suma więc trzykrotna tej kwarty stanowiłaby dochód roczny hetmański z tego tytułu idący. Doliczyć należy pensję jako hetmana w. k. i pozostałość z gaży szefowskiej regimentu konnego, którego porucznikiem był Pakosz. Ta ostatnia gaża wynosiła miesięcznie 11196 złp. Amant jednej z sióstr hetmańskich i wielki przyjaciel białostockiego pana, hr. de Broglie poseł francuzki, pisze w r. 1752, że hetman ma 1200000 lirów dochodów rocznych. Matuszewicz znów w r. 1764 rachował, iż Branicki «z długów oswobodzony» rozporządzał wówczas więcej niż milionem złp. intraty rocznej. W każdym razie ks. Karol Radziwiłł większe miał dochody. Konopczyński liczy hetmanowi 600000 złp. dochodu rocznego i to obliczenie wydaje się słuszniejszym. Wdowa zastała remanentu w kasach białostockiej i warszawskiej 108870 złp. z perceptą pieniędzy zaległych cała suma, z której przyszło Branickiej złożyć w r. 1772 rachunek, wynosiła 263680 złp. Wydatków tegoż roku wykazała na 315944 złp.; pogrzeb bowiem kosztował 52904 złp.; zaległości wypłaciła: dworzanom blisko 50000, urzędnikom dóbr podlaskich 40000, ludziom barwianym (służbie niższej) przeszło 30000, rzemieślnikom wyżej 21000, prowizyj rocznych (od kapitałów u hetmana na procencie złożonych) z górą 30000 złp. etc. (Notuję, że plenipotent p. Łęski pobierał rocznej pensji 200 złp.; resztę widocznie w arendzie czy w naturaliach. Woły transportu bohushawskiego, zapewne, karmne sprzedano w Warszawie i w Białymstoku po 7 dukatów w tym czasie. W roku 1781 magistrat białost. taksował wołu na 30 złp.).

Posiadał zaś hetman w r. 1771 zastawę: włość dojlidzką i sobolewską w powiecie grodzieńskim, orleńskie dobra w ziemi bielskiej (tu odbywały się polowania); dziedzicznie: hrabstwo tyczyńskie w ziemi przemyskiej, branickie i ruszczańskie w powiatach proszowskim i szeczeńskim, województwa krakowskiego, dobra choroskie w Grodzieńskiem, hrabstwo tykocińskie na Podlaszu (hrabstwa składały się zwykle z kilku włości, a wnosząc po Tykocinie — właściciel ich był tam panem przez żadne sądownictwo nieograniczonym; czy i w Ruszczy krakowskiej?), miasto Białystok z Wysokim Stokiem i przyległościami, w końcu kamienicę w Krakowie przechodnią (z wjazdem od rynku a wyjazdem na ulicę Bracką; wdowa otrzymała z niej arendy, pewnie rocznej, 2111 złp. w r. 1772), zwaną z dawną starą mennicą i pałac murowany, tynkowany, w Warszawie, (przed którym stały 2 szulershauzy-schildhauzy na wartość honorową zewnętrzną).

Myli się p. Morawski w Kwartalniku histor. podając, że Ksawery Branicki dostał Białocerkiewczyznę po Janie Klemensie. Nigdy ona w rękę Jana nie pozostawała; (patrz artykuł E. Kulikowskiego w słowniku geograficznym).

Tyle o stosunkach majątkowych hetmana.

Markotny i gniewny, zdaje się że podagra trapiiony; wysiadywał

on w swojej siedzibie białostockiej, radując serce bogactwem, jakim się otoczył, pomyślnością białostockich poddanych — a także w myśl dawnych czasów saskich, wspaniale zaprowadzoną piwnicą. Ten ostatni wzgląd był jedynym, który go łączył «duchowo» z imiennikiem Ksawerym, elekcyjnym zwycięzcą hetmana, targowiczaninem. Różnica tylko zachodziła w «uzdolnieniu», w skutkach i w kompanii. Ksawery, skądinąd człowiek bogato od natury uposażony ale młody i «lekko-myślny, z lada kim pił do utraty zmysłów». Jan Klemens dobierał kompanów godniejszych, zapraszał zwłaszcza wojskowych dawnych i duchownych o wyrobionej w tej mierze reputacji, a jako stary practicus miał tęga przynajmniej do kielicha głowę.

Warto się owej piwnicy hetmańskiej choćby przypatrzeć, kiedy jej zakosztować nie można... Inwentarz z roku 1772 tak ją suchymi słowami opisuje:

1) wina węgierskiego od Księdza Komarkiewicza antał i beczek 2; wina węg. kupnego w piwnicy beczek 5 etc. etc. świetoroskiej razem antałów 26, beczek 54.

2) wina starego węg. od lat 115 «w futeralu» butel spory jeden; wina star. Zygmuntowskiego 5½ butli, (z piwnic zapewne ks. Zygmunta Branickiego kanonika Krakow., który żył koło r. 1624); wina star. Sołtykowskiego butel 4, z beczki kezmarskiej (Kezmark na Węgrzech) butel 92 etc etc. Razem butli 317. (Za beczkę może 80-letniego wina żądała w r. 1757 wojewodzina inflancka 500 dukatów).

3) wina zamorskie: mozelskiego od ks. Betańskiego butel 6 etc. etc., razem 215½ butli.

4) lipcu 5½ gąsiora, miodu od księcia hetmana lit. (Michała Radziwiłła?) butel 6.

5) między zamorskim winem wyliczono: wina dereniowego butel 1, pigwowego 1, raku (araku) 5 butli; pikardy (jabłeczniku czy wódki z Pikardji?) barełek 2 o garncach 6 każda, wódki francuskiej garncy 2.

W rubryce szkielek zapisano: 3 kielichy ślimakowe w srebro oprawne, z tych jeden z srebrnym Neptunem i Kupidynem, kielichów wiwatowych większych 12, między nimi jeden z herbem Radziwiłłowskim na 1½ garncal (jako że w tym herbie są aż 3 — trąby); Kijów wielkich do wiwatów 2, średnich 2, najmniejszych 2; 1) kieliszków małych stołowych szkła cienkiego nalibockiej fabryki 126, (w Nalibokach była fabryka wyrobów szklanych księżnej Anny z Sanguszków Radziwiłłowej).

Puharów kosztownych mało.

Takie tedy były zapasy piwniczne i przybory do picia w pałacu białostockim. Zastawa stołowa jak na siedzibę wielkopańską nie zbyt

1) Kijami zwano wydłużone kielichy z bańką u spodu; trudno z nich było pić bez rozlania trunku, zwłaszcza że niewprawni o własny nos zawadzali.

obfitowała. Wymienie serwis srebrny saski. Było w nim mis dużych, okrągłych z uchami 6, dło owalnych 6, mniejszych mis 4, półmisków 58, talerzy srebrnych 40, dło mniejszych 11, owalów Konstantynowskich z uchami 6 1). Serwisik mały srebrny fasonem augsburgskim robiony w Białymstoku, połamany w sztuki (przyczem figurują także łyżki, noże, grabki, 4 postumenty, musztardniczka etc.). Ten więc służyć musiał do codziennego użytku.

Do działu tego należała fajerka srebrna po królu szwedzkim; (Karolu XII); fajerek używano do odgrzewania potraw, gdyż te przychodziły na stół zazwyczaj wyzięble, z powodu że kucharz wszystko naprzód u siebie zastawiał dla dekoracji i dla uzyskania przeglądu, czy wszystko «symetryczne»; czara szczerolota rubinami sadzona z 2 grufami, dwa kosze szczerolote i. t. p.

Po za bewerjami (pijatyką) rozweselał się pan hetman operą włoską i baletem kierowanym przez Satiniego. «Operhaus czyli komedjalnia» 2) zawierała 12 dużych ławek z poręczami sukrem zielonym obitych, 3 ławki duże «proste» (sukrem nie kryte), 3 mniejsze, i na dole 12 a na 2-iem piętrze 15 «łóżów» (łóż). «Operów» różnych było w bibliotece teatralnej 19, sztuk różnych 122 i baletów 41. «Tych wszystkich papierów muzycznych opisanie» był «osobny registr» 3). Przy opisie garderoby baletowej zachodzą w inwentarzu ogólnym balety: Kucharski, Des matelots, Serio, Des montagnards, Strzelecki, Serio Adonis, Młynarski, z laskami, i z Barankiem. Scenę nazywano teatrem. Spuszczano na nią słynną kurtynę olejno malowaną przez Mirisa, która obecnie ma się znajdować — w Anglii. Zasłon nie olejno malowanych, dużych było 15. Pomijam dekoracje.

Z instrumentów muzycznych wyliczono: 8 sztuk klawiecymbałów, klawikordów i spinet, 2 fagoty, oboj, 6 skrzypiec, 2 basetle (zwano tak wówczas violoncello ale i bas), tyleż altówek (viola di braccio, alto viola, instrument o kwintę niższy od skrzypiec), sartyr srebrny, kwartwilon (violone zwano kontrabas; będzie to więc myłka zamiast kwartwiola - kontrabas, o kwartę niższy od violi, altówki?) harfę «skarbową», 4 trąby srebrne, 4 trąby mosiężne, 2 kotły posrebrzane. (Jak mówi Linde z instrumentów klawiszowych był klawiecymbał największym, spinet najmniejszym. Dlaczego tylko harfę nazwano skarbową, trudno się domyślić; może to dawna, podwójna harfa?).

Zawartość biblioteki pałacowej i archiwum spisano w osobnych registrach. Zdaje się, iż nie liczyła więcej nad 177 tomów. W tem

1) Te z Konstantynowa po siostrze hetmana zameżnej Sednickiej).

2) Z muru pruskiego na 2 piętra o frontonie z gryfem i ciotkiem (a zatem już po roku 1748 zbudowana).

3) W inwentarzu biblioteki pałacowej wymienione «2 tragedje Sully'ego tragedją Semele, muzycznych ksiąg 4 i balet Europa modna».

wiele dzieł z rycinami. Z nieznacznym wyjątkiem wszystko w obcych językach. Z rzeczy polskich np. «czwarty tom Dziejopisów polskich» (wydanie warszawskie Mizlera). Starożytności miechowskie (Nakielskiego), Codex diplomat. Pol. et Lit. Dogiela Corpus iur. milit. pol. (Brodowskiego), i herbarz jakiś. Z powyższej liczby w sypialnym pokoju Branickiego było 53 książek franc. i kilka książek do modlenia; między temi «książeczka staroświecka łacińska na pergaminie pisana, w capę czarną oprawna (w szagryn albo jaszczur), może ta sama, która się dziś przechowuje w wileńskim Muzeum sztuki i nauki. (Jest to łac. officium N. P. M. etc. z 3 modlitwami francuzkiemi)

Co do obrazów, znajdziemy je niżej (przy opisie urządzeń pałacowych). Nazwane starymi, pochodziły może z podróży Jana K. Branickiego, marszałka nadw. kor. który poległ, jak mówi Niesiecki, w r. 1655 a leży w Częstochowie.

Nie wiadomo, gdzie były jednak obrazy następujące: Apostolów, każdy na osobnym dość wielkim blejtracie, ręką p. Mirysa malowanych 12; Ewangelistów dto tegoż pędzla 4; obrazów wziętych ze Starego Testamentu historii ręką p. Herliczki malowanych 2; landszaftów niewielkich przez tegoż malow. 9; historii Alexandra Wielkiego ręką p. Mirysa malowanych, wielkich 9.

W wyżej przywiedzionym liście Czechowicza z r. 1749 mowa o tem, że Czechowicz dla słabości oczu przestał malować portrety. Kopią jednak portretu pastelowego hetmanowej będzie się starał przed świętami wielkanocnymi wykonać, chociaż «Z pastelowych portretów kopie pod olej nie udają się tak dobrego gustu jak z naturalnej osoby pod olej malowane».

Z wizerunków było w pałacu białostockim i numizma złote prababy hetmana, (Kobierzyckiej, małżonki Stef. Czarnieckiego?).

Broń milicji pieszej: karabinów z bagnietami i pałaszów po 32; konnej: karabinów reparacji potrzebujących 53, pałaszów 54. Są i jakieś pistolety w liczbie 33 i rupiecie. Lepiej zaopatrzona była strzelnica (pańska). Tutaj spotykamy 15 par pistoletów włoskich, saskich, francuzkich, 23 sztućców, 16 fuzyj, tyleż janczarek, i 8 łuków.

Artylerja pałacowa groźnie wygląda. W zupełnie dobrym stanie było: armat wielkich spiszowych z gryfem 2, średnia 1, mniejszych z cyfrą Augustus Rex poloniae 7, mniejsza żelazna 1. Między sztandarami: 2 bardzo poszarpane, stare, z adamaszku Karmazynowego, suto złotem haftowane z herbami Szaniawskich (Junoszą).

Cugów sprzęgłych po ośm koni liczy inwentarz pięć; trzy po 9. Koni do kolasek 8. Cugów furmańskich 10, po 4 do 7 koni. Szłapaków i podjezdaków 45. Cztery stare konie pod myśliwymi. Ogierów 5, z tych jeden cisawy płoszczyński. Dalej żrebce, które mają od 2^o do 8^o roku i klacze. Z pojazdów: karetą nową *białostockiej roboty* plisną zieloną gładką wybitą, lakier na niej perłowy z wyłaczanemi listwami — na

4 osoby z kapą na koźle plisiową. Karetą na 8 osób; 2 karety landau. Razem karet 13, (paryskie były w Warszawie). Kolasek półkrytych 9, kolaseczka i taradejka etc.

Szatnia bogata. Z pasów wyliczę chińskie: złoty z srebrnymi kwiatami, biały w kwiatki rzucane z złotemi sztukami, karmazynowy, biały z szlakami, bladuróżowy z szlakami, karmazynowy ze złotem. Było dosyć innych, półpasia perskie i t. d.

Odznaki: order wielki dyamentowy Białego orła, order św. Andrzeja (upamiętniający pogodzenie się z Brühlem w r. 1758), dyamentowy wielki Złotego runa, (nadany od króla hiszpańskiego), złoty dto, mały dto.

Jeśli się nie mylę, w spisie figuruje i jabłko złote; Branicki był przedtem wojewodą krakowskim i jako taki przy audencjach Augusta III. etc. dzierzył przed nim jabłko, czyli kulę świat wyobrażającą.

Z broni do stroju: karabela chińska w kratki oprawna złotem nabijana, z sztuczkami złotemi, z głównią (klingą) turecką, rękojeścią giergiedanową (z rogu nosorożca) z taśmą złotą czarnym jedwabiem przerabianą; szabla chińska złotem nabijana z taśmą kaffową (kaffa materja indyjska bawełniana pstro drukowana) ze złotem, przy której sztuczek złotych 6; szabla demeszkowa z głównią turecką, z rapciami jedwabnemi czarnemi; szabla czyli katera od kulbaki tureckiej, pozłacana (tyle co koncerz, miecz długi i prosty) i t. d. Z obić i dywanów etc. zasługują na uwagę: obicia perskiego z materji złotej aksamitem zielonym szeroko lamowanego i galonikiem złotym szamerowanego sztuk wielkich 2, i tyleż mniejszych; makat perski (mówiono już i makata) na dnie pasowem złoty. Wspominają się zaś materje na barwę t. j. liberyjne: baszt, dermeszt, croazy (kroaza tkanina jedwabna albo bawełniana z prążkami idącymi skośnie do długości) batawia w prążki pomarańczowe (materja półjedwabna z wyspy Jawy).

Z dywdyków (czyli przykryć wschodnich na konia, długich i bogatych): dywdyk szpalerowy z gryfami herbownymi od pana Dębskiego; materjalny szafirowy wytarty złotem haftowany, od hospodara wołoskiego; aksamitny srebrny sztukami (srebrnemi?) bogato sadzony za rewersem nieboszczyka p. Węgierskiego pułkownika (Andrzeja) od księcia kurlandzkiego (Karola saskiego?) wzięty etc.

Kobierce owe leżały głównie w pakach. (Mówiło się ten pak, przez co rozumiem nie skrzynię lecz związkę). Łatwo sobie wyobrazić, dlaczego tam je złożono. Wchodziły one w skład urządzeń mieszkalnych dawnych. Ongi zaścielano nimi stoły i ławy, łoża i wezglowia sofy; pokrywały ściany pokojów, deskę lub taflę kamienną podłogi boki i siedzenia rydwanów. W dobie zaś wykwintnych membli posadzek i karet, użytek ich stał się ograniczonym. Za Sasów zamki i pałace nasze wycofały się już ze wschodniej staroświecczyny, którą pozostawiono siedzibom pomniejszej szlachty i dworcom.

A pałac białostocki był budową na wskrós «nowoczesną». Posłuchajmy, jak ją opisuje inwentarz:

W bramie wjazdnej do pałacu murowanej (bez wzwodu) na górze (piąterku) zegar wielki o wagach, z 2 dzwonami kwadratowym i godzinnym, z czterema godzinami wskazującymi kompasami (wskazówkami). Dwie izby bramne; z izby po prawej schody na górę drewniane do zegara. Wierzch bramy na kształt piramidy, z białej blachy; na niej gryf połączony w szponach ma tablicę w polu błękitnym z cyfrą J. B. połączoną. Ku wierzchu cała brama pełna gipsowej sztukaterji; na 4 rogach miernej wielkości drewniane, białe malowane geniusze. Za bramą dziedziniec, opasuje go mur niewielki. W murze druga brama z sztachetów żelaznych. Dalszy ciąg dziedzińca, za tą drugą bramą brukowany, sięga pod pałac, wjazdu pałacowego strzegą dwa znacznej wielkości kamienne Herkulesy; oba mają pod sobą hydrę; hydra pierwszego o 3, drugiego o 5 głowach. Stoją na kamiennych postumentach. (Hydrę lernejską przedstawiano zwykle jako siedmiogłową).

Środek pałacu (korpus główny) o «dwuch» kondygnacjach «architekturą różną», osobami drewnianymi i na wierzchołku statuą Atlasa świat dźwigającego przyozdobiony. Po każdym boku pawilon jedno-piętrowy z galerją (gankiem—wierzchnim?) Dwie oficyny dwupiętrowe, gościnna i kuchenna. Z dziedzińca do pałacu schody kamienne o 6 gradusach z 2 poręczami kamiennymi. Nad tymi schodami dwie kuny żelazne do zasadzania lamp. Śień pałacowa, gdzie warta; posadzka marmurowa w tafle czarne i białe; ściany z malowanymi pilastrami, antykami i armaturą (głowy czyli maskarony i panoplie); 4 kolumny marmurowe czarne, sufit sieni podpierające, u dołu są fugi po nich, u góry zaś kapitele snycerską robotą rzniete i połączone. Bazys pod kolumnami kamienna. Dwie szafy w murze (wnękowe); 2 portjery kwadratowe sukrem zielonym obite, u jednej drzwi, u drugich dwoje drzwi (o 2 skrzydłach). W sieni lektyki. Jedna zielona, chińsko malowana, z listwami połączanymi, *guigarem* wybita (guigas u Amszejewicza tkanina indyjska bawełniana, franc. guignan), pulstro (siedzenie, poduszka z niemieckiego Polster) też materją pokryte, trzy okna. Lektyka druga skórą czarną zewnątrz z listwami połącz., adamaszkiem karmazynowym wewnątrz obita; pulstro takimże adamaszkiem kryte; trzy okna z firanką kitajkową karmazynową. Cztery drągi do tych lektyk drewniane, malowane. Krzesło węgierskie do noszenia czarną skórą obite z 2 drągami. Dwa pasy skórzane do noszenia na górę. (Był pewnie p. hetman podagrykiem). Dwie pary pasów rzemiennych do noszenia lektyk. 4 kruki żelazne do zasadzania lamp. Dwa okna o 2 kwadratach i 8 tafłach (każde). Śień służyła tedy i za—remizę.

Z dziedzińca po prawej pokoje mieszkalne hetmana. Tu w przedpokoju: głowa Czarnieckiego z marmuru białego w owal, (zatem płaskorzeźba), w koło której gipsowe ramy wyzłacane; dwa landszafty na

plótnie, 3 obrazy olejne duże z polowaniem, 4 mniejsze i 8 małych ze zwierzyną. W pokoju sypialnym: landszaft na plótnie, zegar na ścianie paryski bijący, mosiadzem i szyldkretem nabijany z okuciem mosiężnym połączanym, nad zegarem osóbką mosiężną stojącą; po jego bokach 4 obrazki miniaturowe 2 większe a 2 mniejsze; portret pani (Izabelli z Poniatowskich), duży, 3 mapy, cybuch turecki, piec z kafli gdańskich białych, obicie z zielonego adamaszku.

W pasażu: obrazy pobożne, z tych 2 na drzewie malowane, *obraz podwójny rozkładany* z P. Jezusem i NPM na blasze malowany, kilka innych na blasze, *miniatury świętych*, 2 *staruszek na drzewie*, krzesło do nabożeństwa. W gabinecie podobny jak wyżej zegar paryski ale po bokach mający 4 sztuki drewniane, bronzowane; portrecik *Piotra Aleksiejewicza za szkłem*, portret *Augusta III*, portrecik-emalja *szczerzłota Jana III* rozkładany z cyframi, 4 obrazy na plótnie, *portrety obojga hetmaństwa*, portret *matki Rubensa malarza* na drzewie malowany, krzesło do czytania. Stąd szło się do buduaru hetmana czyli ubieralni; w niej przybory do kawy i herbaty, głowa Czarnieckiego gipsowa biała, portrety *Restorini* i *Orzelskiej*, (Orzelska była córką Augusta II), obicie płócienkowe wpół jedwabne, w kratkę białą i zieloną tkane. Następują 2 garderoby i passaż (z gabinetu do pokoiów paryskich); w tym: 5 obrazów z historii, starych na plótnie, 2 landszaftiki na drzewie mal. 2 stare obrazy, z nich jeden na drzewie, 5 map, 2 duże kopiersztychy z tryumfem i batalią (pod Welau?) królowi pruskiemu przypisane. 2 książki do nabożeństwa, głowa Czarnieckiego z gliny czarno malowana, mapy różne drukowane i rysowane. Idą teraz śień, pokoje paryskie, sionka, śień przed skarbcem, «skarbiec hetmanowej nad przedpokojem paryskim etc., strzelnica nad passażem».

Z dziedzińca po lewej: przedpokój w boazerji białej ze sztukaterją i pokoje gościnne z 10 landszaftami: pokój paradny; w nim portret teraźniejszego następcy tronu ross. bez ram (*Pawła Piotrowicza*). Komin szafiasty marmurowy, piec biały z kafli saskich z ornamentem połączanym, klawicymbał o 2 klawiaturach, obicie z adamaszku karmazynowego, także meble; pokój sypialny z alkową: 2 okna, u nich «estory», w alkowie łóżko z kotarą podwójne adamaszkiem karmazynowym pokryte z galonami złotymi, z falbanami, u kotary 4 gaiki z piórami strusimi; gabinet; garderoba z wanną miedzianą pobielaną i krzesłem do modlenia się; miejsce ustępowe; tu szafa z wanną miedzianą z nakrywką, od wanny idzie rura do spłókiwania basenu, taboret z naczyniem potrzebnym farfurowem (z fajansu), szafka. Dalej: sionka, gabinet, sala stołowa z podłogą sosnową w fryzy sadzona (fryza-belecza; podłoga w fryzy, nie dyłowa, lecz jak mnie stolarz objaśnia, w ramki na czopach); obicie zielone, chińsko lakierowane z osóbkami i drzewkami złotymi chińskimi, 19 stołków trypa zieloną (tripe de velours, welwet). 18 brukatela obitych (materją jedwabną, podobną

do złotogłowa francuskiego albo włoskiego), sufit biały sztukaterją zdobiony z sześcią sztuk al fresco, 3 landszafty; kredens stołowy, pasaż z kredensem piwnicznym, sień przed łazienkami, sień łazienkowa z posadzką marmurową, z sieni drzwi szklane na ogród; dwa pokoje łazienkowe.

Schodami kamiennymi, które wiodły z sali pałacowej (tj. z sieni głównego Korpusu) przejdźmy na «drugie» piętro. Na schodach podtrzymywanych przez 2 wielkie kamienne osoby, figura *rotatora* z białego marmuru (ciskającego dyskiem? diskobolos), sufit al fresco. Sala wielka, ściany z pilastrami rżniętymi, freski na suficie, portret Augusta III w stroju polskim i portret królowej. Pokój bilardowy. Złoty pokój; obicie z adamaszku karmazynowego z pasami złotymi haftowanymi i falbanami dto, także meble, «łóżko» podwójne, dossja z cyfrą i mitrą suto złotem haftowana, portret Sapiehy na koniu (szwagra hetmańskiego lub raczej siostrzeńca), piec z kafli saskich; dwa gabinety, garderoba. Pokoje królewskie (tutaj August II ciężko chorował; bawił tu później po raz wtóry; dwukrotnie zamieszkiwał te pokoje i August III); obicie szpalerowe z osobami, portret króla hiszpańskiego, 2 landszafty; w sypialni: łóżko podwójne z kotarą, z wierzchu falbana z tureckiej materji z galonami złotymi, ze środka z atlasu białego perską robotą wyszywana, bonigrasy i franki z tureckiej materji na dnie karmazynowem ze złotem, atlasem białym podszyte, podniebienie jakoteż u kotary: ściana dossja, kapa i 3 płotki (stanowią dolną zasłonę łóżka, pokrywały tegoż nogi i przestrzeń pustą pod łóżkiem) z atlasu białego perską robotą wyszywane, 2 portrety, garderoba. Pokoje chińskie. Sala stołowa w boazerji; stół sosnowy na środku sali, dywanem tureckim przykryty, 30 stolików, w sedesach trypa zielona, komin szafiasty kamienny, piec z kafli saskich, portret duży *Augusta II*. Kaplica, do której z sali stołowej drzwi podwójne: 3 ławki, 2 krzesła, ołtarz z obrazem Niepokalaneg Poczęcia NPM., relikwiarz św. Klemensa fasonem monstrancji, krzyż jaspisowy czerwony z Passyą, ołtarzyk hebanowy maleńki, weronika srebrna (zasłona przed Najśw. Sakrament stawiana) ornat z materji zielonej z kwiatami złotymi galonem złotym oblamowany (żadnych innych nie ma); kielich srebrny; ściany kapliczne w boazerji białe malowane w pilastry rżniętej połączanej, sufit z kopułą z sztukaterją gipsową rżniętą, w niektórych miejscach sufitu freski, portret «teraźniejszego» papieża (Klemensa XIV)

Nakoniec «trzecie» piętro: pokoje nad złotymi pokojami: pokój, gabinet garderoba; pokoje nad pokojami chińskimi: w pierwszym 12 portretów, 2 obrazy Abrahama i Kaina, kopersztychy, mapa Wielkiej i Małej Polski; w gabinecie: 6 portretów miernych (miernej wielkości) suchą farbą malowanych (pastele), 2 portrety duże, stare, na płótnie, portret duży *Czarnieckiego* na płótnie w ramach czarnych, portret ks. Kanclerzyny Radziwiłowej. Skarbiec. Razem na tem piętrze zapewne

półpiętrze okien 12. Podłoga tu sosnowa, na piątrach 1 i 2, gdzie wyraźnie inaczej nie zanotowałem, woskowana, dębowa w tafle, w kaplicy takież w szachownicę. — Sala stołowa 2 piętra okazalszą była niż dolna.

W jednym więc tylko pokoju pałacowym Białegostoku spotykam bogatszy szpaler tj. «materja w podłużnych brytach odmiennego koloru pionowo zwieszająca się artystycznie tkana» Nie ma i tapet modnych angielskich, mimo że w r. 1765 przesłał je z Heilsbergu p. Huszarzewski hetmanowi w 30 próbkach za sztuką 12 jardów czyli 20 łokci gdańskich obejmującą po cenie od 5 do 11 szylingów. (Huszarzewski wylicza, że sztuka mająca kosztować 10 szylingów wypadłaby na 15 tyńfów 22 gr. pol.)

Tył pałacu od ogrodu; z architekturą i osobami drewnianemi, z 3 galerjami; dwie z nich mają sufity al fresco.

Wyliczyłem oczywiście urządzenia i szczegóły najwymowniejsze. Same obrazy i porcelana chińska, saska, wiedeńska, berlińska, mogłyby stanowić kolekcję znakomitą.

Wstąpmy z kolei do ogrodu włoskiego (o regularnych aleach). Pełno tu figur kamiennych, białe malowanych, 8 wielkich, małych 16; fontan 4 z 4 osobami rury trzymającymi, etc. wodospady, sadzawki, kanały i t. d. Ciekawym dla historii przyswojenia i aklimatyzacji roślin i t. d. będzie przegląd 2 oranżerji. Są tam także rośliny oficynalne. Okazy cudzoziemskie i szlachetne szczepy owocowe sprowadzane z Hamburga i Lipska. Tak w liście z 30 kwietnia 1754 Jan i Kasper Böckmanowie z Hamburga zapytują hetmana, czy nie posłać drzew pomarańczowych, laurów, cisów piramidowych i bluszczów przyczem to przypominają się z długiem w kwocie 513 fl. za dostarczone w r. 1751 drzewa owocowe.

Jaśmin, u ks. Kluka zwany dzielzaminem lub gelzaminem, centyfolia, fiołki żółte, flos Passionis (kwiat męki Pańskiej szczegółami przypominający cierniową koronę, gwoździe, krzyżyki) morwa, jano-wiec żółty, należą koło r. 1772 jeszcze do wielkich rzadkości. Krzewu winnego ani śladu.

A zatem: laurów hamburskich (*laurus nobilis*) o średnicy 10 calowej, z tych jeden na $6\frac{1}{2}$ łokci wysokości, sztuk 28. Drzew pomarańczowych lipskich, między którymi 2 pacjentów, sztuk 30; hamburskich tyleż. Starych drzew pomarańczowych i cytrynowych większych i mniejszych 140; chorych starych 7. Przysposobienia p. Baura ogrodnika cytryn większych 50, mniejszych 20, dzikich dawnych drzewek okulizowanych 60. Ananasów w wazach 50, daktylów większych 4, mniejszych 3. Imbieru wazków 12, aloesu wielkiego 2, w małych wazkach 5. Drzewa granatowego kwiatowego 7. *Laurus cerus* 9 (*cerus*—*sanctus*), drzewa bukszpanowego 10 sztuk, cisowego 4, kupresowego 8 (*cyprysu*), *mortusowego* 2 (czy to nie *myrtus*?) rozmarynowego 70,

jucio gloriosa 10, goździków holenderskich 200, jaśminu kwiatu sztuk 10, *flos passionis* 4, róży centyfolii 30, fiołków żółtych 24, auricula Inni kwiatów sztuk 60, (pewnie gatunek primula auricula zwanej auricula Ursi, pierwiosnka lyszeczek), *gonester* żółty jeden (genista, niem. Ginster, janowiec) marum virum (sic; zwano to tenerium, marum verum, — ozanka kocie ziele), setum do nagniotków 5 (nie sedum rozchodnik, bo tego na wrzody używano, lecz prawdopodobnie equisetum, ogon koński, rodzaj skrzypu); drzewa morwowego 3 sztuki, figowego w gruncie 60, morwowego w gruncie 3. Wreszcie brzoskwiń w ziemi po różnych miejscach 20, moreli 21

Po za oranżerjami było kilka ogródków kwiatowych, lecz ich roślinności nie podano.

Obraz ogrodu zamyka się wzmianką o 2 zwierzyńcach, jeleni i danieli; pierwszych było 60 drugich setka.

Czasy porozbiorowe odarły rezydencją białostocką z świetności. Zadatki jednak doby hetmańskiej żyją w Białymstoku, który się podniósł do rzędu miasta fabrycznego, chociaż mu towarzyszy wygląd nędznych w śródmieściu lepianek, jakiego niezniośliby wnuk Czarnieckiego, przedostatni hetman wielki koronny.

X. Zygmunt Dunin Kozicki.



P. S. Inwentarz zaczęto spisywać zaraz po śmierci hetmańskiej a skończono 3/10 w r. 1772. Wdowa go zaprzysięgła w grodzie brańskim 20/10 tegoż roku. Księga ta in folio liczy kart 604 i przechowuje się w Centralnem Archiwum wileńskim pod numerem 8904.

Wyrazy obce objaśniam z Amszelewicza, Czudynowa, Glogera, Gołębiowskiego, Karłowicza, Lindego, Łozinskiego i z «Prac filologicznych», warszawskich. Nie zdołałem zaś tym razem dotrzeć do słownika Kryńskiego, do szkicu o Branickich dr. A. Rollego ani do Kroniki rodzinnej z r. 1870, w której drukowano rzecz Glogera o gospodarce dawnej.

Gdzie dzisiaj spoczywają zwłoki hetmana J. K. Branickiego, nie wiem napewno. Może je przeniesiono do kościoła farnego po kasacji klasztoru Panien Miłosierdzia. Powiadają mi, iż klasztor ten przerobiono na hotel podobnie jak w Krakowie hotel zwany Saskim powstał ze sprofanowanej budowli kościelno-klasztornej.

Parafia białostocka liczy obecnie przeszło 20000 głów katolickich, czyli mniej więcej tylko trzecią część ludności tamtejszej. Należy jak i dawniej do dycezyi wileńskiej. Pomnik hetmana raczej *memoria* w kościele białostockim mają odnowić. Kto będzie łożył?... Czy będzie się poczuwało do tego obowiązku miasto samo wyrosłe dzięki Branickiemu? Lub czy nie dadzą się wyprzedzić rodziny Potockich, Zamoyskich i Lubomirskich?.. Zobaczmy i kiedyś to zarejestruje historia.



Luźne kartki z przeszłości.

Mozyrz.

Quantum mutatus ab illo....

Z Eneidy Wirgiliusza.

Mozyrz, Mozyr, Mosiria, w województwie niegdyś mińskim, teraz gubernii, miasto powiatowe nad Prypecią w bardzo malowniczej pozycji, leży pod stromą górą w niezmiernie pięknej miejscowości. Gród to starodawny słowiański, który nie raz był świadkiem różnych dziejowych wypadków, o czym tu nie mówimy, ponieważ nie mamy zamiaru kreślić jego tu historię, a chcemy tylko rozglądać się jak on dawniej wyglądał, co w nim było za dawnych wieków.

Naturalnie, wschodni niejednoczony obrządek jest tu najstarszy; ale też Unia w swoim czasie się rozszerzyła i umocniła, przetrwawszy do roku c. 1839. Wasyl Łuziński w znanych swoich Zapiskach, wydanych w Kazaniu 1885 r. (p. 144), powiada, że w powiecie mozyrskim 8 znajdowało się cerkwi¹⁾ unickich, z których jedna, pomonasterska, w Mozyrzu²⁾; kapłanów przy nich dziesięciu.

Obrządek łaciński dopiero na początku XVII w. otrzymał stałą farę w Mozyrzu fundowaną przez Zygmunta III staraniem Baltazara Strawińskiego, starosty mozyrskiego³⁾. W połowie tegoż wieku sprowadzono tutaj O.O. Bernardynów; zajął się tem Stefan Łoszka vel Łozka, ziemianin mozyrski. Po zniszczeniu miasta w czasie klęsk krajowych fundacya ta została odnowiona przez urzędników ziemskich i obywateli, a kościół i klasztor wymurowano na wzgórzu, co bardzo pięknie i okazałe wyglądało. Kościół ten następnie zupełnie odrestaurował

¹⁾ W Ludzieniewiczach, w Olgomlu, w Symoniczach, w Kolnie, Żytkowiczach w Łachwie, w Danidgródku i w Mozyrzu.

²⁾ Zapewne tu mowa o monasterze Piotra i Pawła, inaczej zwanym Świętógórskim, który de nova radice powołał do życia Ignacy Jelec, oficyał kijowski w drugiej połowie XVII w., a w następnym uposażyli Komorowscy, Jeleńscy, Korsakowie, Horwatowie i inni i oddali go Bazylianom, mającym potem klasztor w Suchowiczach w pow. rzeczyckim, w Mozyrzu była niejako filia jego. Cfr. Archm. Nikołaj, Minskaja epar. Peters. 1864.

³⁾ Starożytna Polska.

Rafał Oskierko ¹⁾, jeden ze znakomitych ziemian mózyrskich ²⁾. Jak byli tu O.O. Bernadyni uposażeni — nie wiemy, niestety, ale zdaje się, że rozporządzali funduszem niewielkim, parafii nie utrzymywali, bo to było przy farze; znamy zaledwo paru gwardyanów mozyrskich już w XIX wieku ³⁾: koło roku 1807—O. Maryan Parczewski, w parę lat potem O. Rejmund Staszewski, którego zastajemy jeszcze w 1812 roku. Kościół ich był pod wezwaniem Św. Michała; klasztor należał do prowincji litewskiej; skasowano go w 1832 roku, a potem kościół zabrano.

W drugiej zaraz połowie XVIII wieku, 1752 roku, sprowadził z Wilna do Mozyrza Maryawitki i do uposażenia ich przyeznił, Gedeon Jeleński, kasztelan nowogródzki ⁴⁾; zacne te i pobożne zakonnice były tu do r. 1856 ⁵⁾, Boga żarliwie chwalać i pensję dla dziewcząt utrzymując, dopóki można było. W roku 1806 uczyło się tutaj 12 panienek, a we trzy lata potem—18, z których 2 ukończyły nauki; nauczycielek trzy ⁶⁾. W późniejszych latach liczba uczących się znacznie wzrosła.— Około r. 1807 przełożoną Maryawitek była Magd. Nowicka, a w r. 1812-Serafina Szerejówna ⁷⁾.

Przy tej sposobności niech nam wolno będzie o Maryawitkach na Litwie słówko powiedzieć.

Pożyteczne to stowarzyszenie zakonne, *Mariae vitae*, założył X. J. S. Turczynowicz, kanonik Pilczyński, proboszcz ostatecznie w Wilnie u Św. Stefana w 1737 roku; pierwsza zaś siostra, niejako współzałożycielką — Aniela z Czyżów Potemkinowa, wdowa po majorze w. r., jakoby krewnym znanego księcia i feldmarszałka za Katarzyny II. Oprócz różnych praktyk religijnych, zajmowały się one wychowaniem i nauczaniem niewiast (też neofitek), położwszy wiele bardzo zasług w tym zakresie. Około roku 1820 liczyło to Zgromadzenie na Litwie i Rusi jakich 20 domów, w których uczyło się 465 dziewcząt pod okiem 90 zakonnice nauczycielek; nawróconych zaś do tego czasu neofitek było więcej niż 2,000; z tych 32, wykonawszy śluby, stały się ozdobą Zgromadzenia. Szkoły ich do roku 1811 były pod władzą Uniwersytetu potem do r. 1835—biskupów, a później w zależności od ministerium oświaty. W r. 1836 miały Maryawitki jeszcze 12 szkół, kształcących 237 panienek; ale już niedługo istniało ich bytowanie:

¹⁾ Słownik geograficzny, wyczerpująca praca p. Aleksandra Jelskiego z Zamościa, znanego historyografa Mińszczyzny.

²⁾ Rafał-Aloizy Oskierko h. Murdelio z odm., młodszy syn Antoniego, Kaszt. nowogród., ur. 1703—1768 r., marszałek mozyrski, poseł na sejmy zostawił 2 synów i córkę, linię strażnikowską tworzących. Cfr. Złota księga XIX p. 93.

³⁾ Wiadomości z kalendarzyków wileńskich wydziału uniwersyteckiego.

⁴⁾ Jeleńscy h. Korczak należą też do znakomitszych ziemian mozyrskich. Gedeon, syn Antoniego Dadziboga, podczaszego mozyrskiego, ostatnim był kasztelanem nowogródzkim, mianowany 1780, w lutym 1798 r.; niejednokrotnie posłował na sejmy z pow. morzyckiego; z Kazimiry Römerówny zostawił 2 córki. Złota Księga Szlach. polsk. XXVI p. 51; Senatr. i dygn. litew. Wolffa.

⁵⁾ Kartka z dziejów Kośc. Katolickiego, Biskupstwo miński Kraków 1889 p. 159.

⁶⁾ Materiały dla istorii prosw. t. III, Peters, 1898 p. 637 i papiery kuratora Czartoryskiego w Muzeum Czart.

⁷⁾ Z kalendarzyków wil.

po między rokiem 1842—1856 skasowano znaczną część ich domów, zabroniwszy nauczania; reszta zniesona po roku 1864. W 18 lat potem w Wilnie u Benedyktyniek było jeszcze 7 Marjawitek (najmłodsza Tekla Strumiłówna lat 59, a w zgrom. 41); w Słonimiu u Bernardynek 2, w Witebsku 3, tyleż w Mohylowie, z tych Matka Koleta Kolusowska wymieniona jeszcze w Rubryceli archiwa r. 1909 wydanej; śluby zakonne składała d. 10 list. 1830 roku ¹⁾.

Jeszcze przed Maryawitkami zawitali do Mozyrza Jezuici, co może być poczytywane za epokę w dziejach oświaty tego powiatu i nawet ościennych okolic, bo Jezuici otworzyli tam pierwsze szkoły ²⁾. Właściwie, niewiadomo, kto był fundatorem siedziby jezuickiej w Mozyrzu. O. Załęski tylko powiada, że fundowaną została zapisem (nie mówiąc przez kogo) 20,000 zł. w tym celu w r. 1722. Powstała tam misja tylko i zrazu ją połączono z misją w Jurewiczach. *Missio Juro-wicensis et Mozyrensis*. Czasem istniała osobno, czasem razem z Jurewiczami, które potem awansowały na rezydencję, ale w Mozyrzu do końca była tylko misja przy kościele farnym i dopiero przy końcu bytowania tam O.O. Jezuitów zaczęto budować kościół własny i rozszerzać budynki klasztorne, lecz ukończyć tego nie zdołano przed kasatą. Jest to zasługa Jezuitów wielka, że zaraz przy tej misji zaprowadzili szkoły, jedyne w tamtych okolicach, i zaczęli nauczanie; na początek była tam szkoła gramatykalna, a potem i humaniora tam wykładano z wielkim powodzeniem. Szerząc oświatę przyczynili się oni bardzo do wyniesienia i wzmocnienia Mozyrza. Poznajmy przynajmniej nazwiska tych zacnych i pożytecznych pracowników. O. Franciszek Kamiński od r. 1722—1723 superyorował nad obu temi misjami; w r. 1724 spotykamy na tem miejscu O. Wojciecha Janikowskiego (czasem go Jankowskim też nazywają), a O. Michał Belli nauczał już w Mozyrzu, O. zaś Samuel Dziewiński był tam misjonarzem. W roku następnym wszystko tam bez zmiany. Potem (1726 r.) zastajemy O. Bellego w Jurewiczach, a w Mozyrzu — O. Błażej Fimiński i Dziewiński, w roku zaś następnym O. Kazimierz Kacki profesorem mozyrskim. Od r. 1728 superyorem obu misji O. Urban Golsztyn, a O. Józef Fruszyński występuje jako profesor *Classium*, widocznie szkołę mozyrską powiększono. W r. 1730 obie te misje osobno zaznaczono: superyorem w Mozyrzu O. Belli, O. Kazimierz Piątkowski *Prefectus tam scholae*, a O. J. Truszyński prof. *Classium*; na jego miejscu w 1731 r.—O. Warzyniec Filichowski. Od r. 1732—1733 znowu obie misje razem pod rządami O. Adama Wielockiego; w Mozyrzu: O. Ad. Czernski misyon., O. M. Belli—*Praefectus Templi Mozyrienis*, Franciszek Szopik uczył w szkołach.

Od roku 1735—1736 superyorem O. Adam Gałęzowski, może już przedtem na tem stanowisku. W Mozyrzu: Kazimierz Kacki, Józef Wyszkowski i Magister Józef Grotowski uczył. Po między r. 1737—1740 (i potem powtórnie) był przełożonym obu tych misji O. Franciszek Kolert ³⁾; w tym czasie nauczali w Mozyrzu: Magister Ignacy Roykow-

¹⁾ Dzieje Dobroczynności r. 1820; Pamiętnik Religijno-moral. 1843; odnośne Directoria, Żurnal narod. pros. 1837 zeszyt XI.

²⁾ O. Stanisław Załęski, Jezuici w Polsce, Kraków 1905, t. IV p. 1549: Katalogi prowincji małopolskiej Jezuitów, do której Mozyrz należał.

³⁾ Jest on autorem niezmiernie rzadkiego dziełka (posiada je biblioteka jagiellońska) p. t. Krynice cudownych łask Maryi z Jurowickich gór wynikające na

ski, Michał Modzelewski i O. Leon Woyna. W roku 1754 w Jurewiczach utworzono rezydencję, daną w roku następnym do zarządu O. Janowi Karpowskiemu, a w Mozyrzu superyorował od r. 1754—1756 O. Antoni Kiełczewski; wtedy występują tu jako profesorowie humaniorów — O. Karol Berent i O. Józef Ruszkowski, zapewne szkoły tam na większą już były skalę; obok tego wspomniani są profesorowie Classium: Józef Leśniewski i Piotr Sieprowski. Znamy też skład misji mozyrskiej w 1764 roku: O. Michał Podgórski, przełożony, O. Wojciech Adamicki, prof. hum., O. Henryk Wacholz, kaznodzieja i misjonarz, magister Jakób Jastrzębski, Prof. Clas. Od roku 1770—1773 superyorował tutaj O. Józef Ruszkowski, O. Feliks Rościszewski nauczał, O.O. Fr. Ceyzberg, Leon Męciński i Mich. Gilawski misjonarzowali.

Po zniesieniu Zakonu Jezuitów, jak można ze wszystkiego sądzić, szkoły w Mozyrzu istnieć przestały; w Jurewiczach jednak, gdzie rezydencja jezuicka większe posiadała fundusze, lepsze i większe zabudowania¹⁾ nauczanie trwało dalej i ex-Jezuici te szkoły prowadzili. Tak było do roku 1781, w którym szkoły jurewickie przeniesiono do Mozyrza, a Kapucynów²⁾ powołano do Jurewicz i oddano im tam Kościół i budynki. O. O. Kapucyni próbowali nawet tam rozpocząć nauczanie, o czym wizytator od Kom. Edukacyjnej³⁾ tek referował w 1783 roku: Kapucyn uczył tu retoryki, poetyki, gramatyki i arytmetyki, ale na egzaminie okazała się wcale *niekczemna* z tych nauk korzyść; uczniów zastał wizytator 30, kazał jednak od wakacji zamknąć taką szkołę, a natomiast szkółkę zaprowadzić Parafialną⁴⁾.

Otóż wizytator jeneralny, X. Franc. Bienkowski, referował w 1782

honor JW. Jegomości Mościom Pana Bogusława Oskierki, kasztelana nowogródzkiego (kasztelanem jednak on nie był, a tylko chorażym mozyrskim, Antoni O. piastował ten urząd), sędziego pogranicznego, całym się morzem zlewające, przez W. X. Franciszka Kolerta S. J., niegdyś pracowitym piórem otworzona, a teraz drukarską prasą wyciśniona roku Pańskiego 1755 w Nieświeżu w drukarni Jego Książęcej Mości in Collegio Societatis Jesu. Ważny to bardzo przyczynek do działalności tej drukarni, wogóle niezbyt dotąd znanej i zbadanej. Tenże Ojciec Franciszek Kolert napisał pieśń O. N. P. M. Jurowickiej (O. Marcin Czerwiński S. J. znany autor i podróżnik ułożył do niej nutę) zacytujemy tu jej początek, bo już powoli zapominają o niej.

Zawitaj Monarchini Tronu niebieskiego,
Śliczna gwiazdo na wschodzie kraju polskiego;
Witaj z pereł syońskich Perło Boga nowa,
Światło cudów, łask morze, Matko Jezusowa!
Tyś sobie w siedmiu górach stolicę obrała,
W Jurowicach się światu rozślawić kazała,
Tobie światła i głosy z nieba applauz dały,
Huczne dzwony pod ziemią cudownie zabrzmiały...

O. Fr. Kolert miał umrzeć podług Browna przed 1753 rokiem.

¹⁾ O Jurowiczach Załęski l-e i śliczna praca O. Czermińskiego, Historia obrazu M. B. Jurowickiej, wyd. II, Kraków, w 16. str. 61, z rycinami.

²⁾ Zwykle powiadają, że po Jezuitach w Jurjewiczach byli Bernardyni, a potem Kapucyni. W archiw. kap. w Krakowie znaleźliśmy ślady, że Kapucyni mieszkali tam tylko od r. 1781 do 1788. Po nich Bernardyni zniesieni w 1832 r.

³⁾ Muz. Czartoryskich.

⁴⁾ Po roku 1832 jakiś czas był tu kościół zamknięty; potem oddany i urządzona tu parafia skasowana po r. 1864; kościół zabrano.

roku o Mozyrzu¹⁾: szkoły o 3 klasach, uczniów 65, przepisy nowe wprowadzają się; budowy przez Jezuitów zaczęte—niedokończone, kościół też; znacznych potrzeba kosztów, aby to wszystko do należytego doprowadzić porządku.

W pięć lat potem: prefektem X. Józef Korsak, X. Jędrzej Baraszkiewicz uczył matematyki, X. Reginald Sztenkien wymowy, a X. Jakób Wesecki—w kl. I; uczniów 95. Medale Królewskie, Diligentiae, otrzymali²⁾ Tomasz Suryn z II kl; Leon Jastrzębski z I; klas trzy.

W r. 1789 w czerwcu zjechał do Mozyrza generalny wizytator X. Jan Erdman, kanonik inflancki, który donosił, że nabożeństwo i praktyki religijne odbywają się podług ustaw Kom. Eduk.; nauczycielowie ciż sami, jak wyżej, (zdaje się, ex-Jezuici); kaznodzieją szkolnym O. Fabian Sabowicz, miejscowy Bernardyn; uczniów 100, na początku zaś roku szkolnego — 103. «Doświadczenie» każdej z osobna klasy trwało po godzin trzy.

Lepiej się uczący uczniowie z kl. I: Klemens Korzewski, Klemens Przewałkowski, Leopold Tejszerski, Michał Pancewicz, Sebastyan Szujski, Szymon Rackiewicz.

W kl. II: Cypryan Krecz, Feliks Jeleński, Rafał Obuchowicz, Tomasz Lenkiewicz, Wincenty Kruszewski.

W kl. III: Antoni Olewiński, Feliks Jastrzębski, Józef Kruszewski, Stanisław Kołakowski, Tomasz Szuryn i Tomasz Żołędź.

W niższej klasie ukazano «formowanie charakterów», w dwóch zaś wyższych—rysunki geometryczne, czytano też i na pamięć mówiono różne «retoryckie i poetyckie» ćwiczenia. Uczono z książek elementarnych komisji, których dostać było można. X. Sztenkien dawał lekcje języka niemieckiego i francuskiego; po niemiecku uczyło się czterech uczniów, a po francuzku dziesięciu. z «czego obojga znaczny pokazali postęp».

Stancje uczniów zwiedza prorektor, przestrzegając w nich oświadczenia i porządku, w czasie zaś wizyty był w niektórych wizytator. O «edukację fizyczną», miano tu staranie: «musztra i obroty żołnierskie» wprowadzono. Zdrowie uczniów w tym roku nie służyło; wielu uczniów podlegało różnym słabościom, a najwięcej febrze.

Dom nowy (nie wiadomo, kiedy go zbudowano) w dobrym był stanie; kościół, w którym porządek pięknie utrzymuje X. prefekt (więc chyba już dokończony?), co do dachu, potrzebował reperacji; budynki zaś, — w których szkoły, stajnia, wozownia, — koniecznego wymagają przedstawienia.

Stół wspólny, za zgodzeniem się zgromadzenia nauczycielskiego, utrzymywał X. prefekt.

Bez patentów z innych szkół nikogo nie przyjmowano.

Sprawa żadna «wejrzenia wizytatorskiego potrzebująca nie zaszła». Nagrody od N—P. w medalach dla pilniej się uczących godnymi uznano: Stanisława Kołakowskiego z kl. III, Wincentego z kl. II.

Wizyta zakończona temi słowy: «po roztrząśnieniu wyrażonych i innych materyi, tyczących się rządu szkół i zgromadzenia, sprosilem osoby, którym uczyniwszy niektóre przełożenia i dalsze Prześwietnej

¹⁾ O stanie szkół W. X. L., repartycji ruskiej podczas wizyty genrl., toż roku 1787 i 1789 w Muz. Czartoryskich.

²⁾ Druk współczesny, bez miejsca wydania.

Komisji ustaw pełnienie zaleciwszy, dałem do czytania ten akt wizyty, wciągnięty w protokół miejscowy, z którego wypis, aby podpisali, upraszałem. Dan w Mozyrzu dnia 21 czerwca roku 1789».

W takim stanie były tu szkoły do drugiego Kraju rozbioru; potem nieznacznie z początku zmiany wprowadzono i zaczęto uczyć języka rosyjskiego. Przy końcu XVIII wieku ¹⁾, znajdujemy tu uczniów 64, nauczycieli czterech, z tych nowy Rajmund Staszewski, wykładający wymowę i gramatykę; na utrzymanie szkoły dawał rząd rocznie 1275 rubli ²⁾, ale jakich?

Na początku XIX w. tak się te szkoły przedstawiały ³⁾. Zorganizowane w 1801 roku we dwa lata potem miały 4 klasy, około sta uczniów, na czele ich stał pretekt X. Jędrzej Baraszkiewicz, nauczający też razem z innymi 4 profesorami: z X. Michałem Karpowiczem, X. Jakóbem Weseckim, Marcinem Gościńskim i Mateuszem Sokółowem. Ale niedługo już był taki skład personelu pedagogicznego. Na początku 1804 roku zawyrokowano, że trudno X. Baraszkiewiczowi być razem prefektem i nauczycielem, postanowiono więc, dla przyspieszenia zaprowadzenia porządku w szkole mozyrskiej, zwolnić go z obowiązków przełożonego, powołując na to stanowisko Józefa Łomanowicza, nauczyciela ze Śnucka a wkrótce potem dano się z tem słyszeć, że X. Baraszkiewicz niezdatny do żadnych obowiązków szkolnych (nauczał tam jednak jakich lat 20!), więc go zupełnie oddalono i na wykład matematyki i fizyki sprowadzono z Berdyczowa Jana Lubieczankowskiego; jednocześnie też usunięto X. Michała Karpowicza od wykładu wymowy, X. J. Weseckiego, nauczyciela klasy II i Marcina Gościńskiego uczącego w I, Sokółów wkrótce zmarł.

W roku 1805 ⁴⁾ szkoły się mieściły w starym drewnianym domu, a obok zbudowano nowy; dawny drewniany kościółek stał tuż koło nich. Uczniów liczono 122. Dozorcą szkolnym był tenże Józef Łomanowicz, dr. filoz., Jan Lubieczankowski uczył fizyki i matematyki, Michał Swinecki — wymowy, Maciej Naruszewicz w kl. II, a X. Michał Karpowicz, czasowo, w I; Ferdynand Müller wykladał język niemiecki, a Swinecki — rosyjski. W 1807 uczyło się w tych szkołach 132 chłopców; nauczyciele ciż sami. W roku następnym zaznaczono, że stary drewniany kościółek przerobiono na mieszkania nauczycieli. Liczba uczniów 125. W personalie pedagogicznym zmiany: fizykę i matematykę dawał Jerzy Archimowicz, mag. filz., wymowę Wincenty Witkowski, też mag. filz., w kl. II uczył Felicyan Horain, w I — Jerzy Juskiewicz, kand. filz., po niemiecku Ferd. Müller, Witkowski po rosyjsku. Celujący uczniowie ⁵⁾:

Z klasy I i II: Feliks Kułakowski, Lewandowski (imienia nie podano), Bazyli Zawitniewicz i Karol Sołtan.

Z matematyki i fizyki: Józef Zudra, Antoni Radziejowski, Józef Bakinowski, Franciszek Zaruski, Kasper Klimaszewski i Jan Archimowicz.

W r. 1809 w czterech klasach uczyło się chłopców 91; nauczy-

ciele ciż sami. — W rok potem liczba uczniów do stu dochodziła; na czele szkoły stał ¹⁾ Jan Budziłowicz, dr. fil.; matematyki, fizyki i wymowy; uczyli ciż sami, jak też w kl. II i I; język niemiecki wykladał Jan Raufus, a rosyjski Piotr Marków, kapelanował X. Teofil Lebedowski.

Celowali w naukach w kl. I: Bazyli Robusz, Jan Nowakowski i Jan Wiernikowski (jeszcze się z nim spotkamy); z II: Mikołaj Łyszczyński, Tadeusz Nowakowski, Karol Sołtan i Piotr Stetkiewicz; z III: Bazyli Zawitniewicz, Piotr Grabowski i Wincenty Jeleński; z IV: Franciszek Zaruski i Franciszek Pielawski.

W r. 1812 tenże sam dozorca i nauczyciele; uczniów trochę mniej.

Więcej trochę mamy szczegółów o szkołach mozyrskich ze sprawozdania ²⁾ Jana Gwalberta Rudominy ³⁾, który tam zjeżdżał na wizytację szkół tych w początkach czerwca 1816 roku. Dowiadujemy się z tego, że od 1804 roku szkoły te zostały pod wyłączną zwierzchnością uniwersytetu wileńskiego (przedtem były w zależności od gubernatorów mińskich) i choć miano powiatowych nosiły, jednak program nauk w nich był prawie taki sam (do r. 1825 jednak tylko, zaznaczamy to od siebie), jak w gimnazyach, bo klasy III i IV były dwuletnie, uczono się więc razem lat sześć i ukończywszy taki kurs nauk, wstąpić można było do uniwersytetu; jak i z gimnazyów właściwych.

Dom szkolny, — drewniany na podmurowaniu, — składał się z 4 «salek lekcyjnych» i 3 pokoi przez nauczycieli zajmowanych. W bibliotece 300 tomów; w ostatnim roku kilkanaście nowych przybyło. Machin fizycznych — żadnych, ale kilka narzędzi matematycznych. Utrzymanie szkół rocznie wynosiło 2,545 rubli. Uczniów w kl. I—41, w II—22, w III pierwszoletniej 6, drugoletniej 4, razem 10, do pierwszej klasy się przygotowujących 17=100. Prawie wszyscy z powiatu rzeczyckiego i niewiele z mozyrskiego, ponieważ na prawym Prypeci brzegu były tu tylko ogromne pańskie posiadłości, mało uczniów dostarczyć mogące. Zgromadzenie pedagogiczne tworzyli: X. Grzegorz Witkowski, ur. 1762 r. w Wielkopolsce, uczył się u Pijarów w Warszawie, a potem był tam nauczycielem, nauczał także czas jakiś w Berdyczowie; później kapelanował w Żytomierzu, a od początku r. 1816 — w Mozyrzu; o zdolności i zdatności jego wizytator powziął korzystną opinię. Jerzy Juskiewicz przyszedł na świat na Żmudzi około 1783 roku, uczył się w Krozach, a potem w Uniw. wileń., gdzie otrzymał stopień kand. filz. i do Mozyrza przybył na nauczyciela arytmetyki, geografii i nauki moralnej; taką otrzymał od wizytatora atestację. zdolny, pilny, odznaczający się obyczajnem sprawowaniem się; postępy uczniów w jego przedmiotach znaczne. Felicyan Horain w Oszmianskiem się urodził c. 1763 roku, synem był Antoniego, uczył się w Połocku u Jezuitów; nauczanie rozpoczął już w 1799 roku, po zdaniu egzaminu w Mińsku; uczył gram. polsko-łacińskiej. «Lubo jest pilny

¹⁾ Kalendarzyk wileński na rok 1811.

²⁾ Oryginał tej wizyty, z której właśnie korzystaliśmy, był w zbiorach Gejztorza w Warszawie.

³⁾ Rudominowie Dusiaczy h. Trąby, senatorska rodzina litewska, bardzo jest znana i głośna była w swoim czasie, Jan Gwalbert, podług Żychlińskiego, IV p. 239, miał pochodzić z bocznej gałązki, był synem Stanisława, stolnika brasławskiego. Wizytator, dr. filz., literat, † bezdzietnie w 1849 roku.

¹⁾ Sbornik materjałów dla istorii prosw. t. I. p. 339, 387, 482, 657.

²⁾ Za czasów dawnego woj. mińskiego na szkoły mozyrskie przeznaczala Kom. Eduk. 7,300 zł.

³⁾ Sbornik materjałów dla istorii prosw. t. II p. 561, 675, 757 et 399.

⁴⁾ Wiadomości z Muzeum Czartr.

⁵⁾ Z kalendarzyka wileńsk. wydziału naukowego na rok 1809.

i zdaje się być zdolnym, jednak postępy jego uczniów nie były zupełne», tak Rudomin o nim referował. Wincenty Witakowski, syn Józefa, ujrzał światło dzienne w Wilnie c. 1782 r.; nauki pobierał w szkołach wileńskich, a potem w uniwersytecie, gdzie stopień magistra otrzymał filozofii, wykładał wymowę i historię, tudzież język rosyjski. «Postępy uczniów w tych przedmiotach nie były wielkie». Jerzy Archimowicz, syn Onufrego, żołnierza, rodem z powiatu brzeskiego, urodził się r. 1782, uczył się w szkołach grodzieńskich i brzeskich, do uniwer. wileńsk. wstąpił i do sem. nauczycielskiego przyjęty w 1803 roku, magister filozofii, uczył fizyki i matematyki; «pilny, jednak postępy uczniów nie odpowiadały jego usilnościom».

Jan Raufus, nauczyciel języka niemieckiego, uczył się w Lipsku; «pomimo podeszłego wieku, pracuje pilnie». Dozorcą szkolnym był Michał Swinecki, rodem z Kaliskiego, urodził się w 1758 r., uczył się naprzód w Kaliszu, potem w uniwersytecie krakowskim dr. filozofii; rozpoczął nauczanie w 1792 roku, a od r. 1799 zostawał jakiś czas rektorem w Winnicy; potem znowu w różnych nauczał szkołach, nakoniec — przełożonym w Mozyrzu, «roztropność, łagodność charakteru, pilność w odbywanin obowiązków, a nadewszystko szlachetny sposób myślenia, oto są przymioty, które mu wszyscy przyznają». (Czacki, podobno, inaczej się zapatrywał...) Dozorców szkolnych 14, średnia ich płaca — 10 rs., konwiktu żadnego niema; niektórzy nauczyciele uczniów utrzymują na własnym stole i pod szczególnym swoim dozorem dzieci majątniejszych rodziców; opłata u nich roczna rs. 50. Nauki były tam dawane jak w innych szkołach tego rodzaju; historię polską przechodzono podług Wagi. Kurs nauk szkolny ukończyli: Mikołaj Łuszczyński, Kazimierz Chrzczonowicz i Feliks Kułakowski. Celujący uczniowie kl. I: Jan Terlecki, Mateusz Mancewicz, kl. II: Wacław Reutt, Jan i Wincenty Monkiewiczowie i Piotr Orlicki; kl. III: Aleksy Płyszewski, Antoni Sokołowski, Daniel Spasowicz, Adam Aleksandrowicz i Bazyli Andrzejewski; kl. IV: Jan Wiernikowski i Jan Nowakowski.

Jan Nepomucen Wiernikowski urodził się w 1800 roku w Kosijsku¹⁾, gdzie ojciec jego, Antoni h. Janina z przydomkiem Zoleszna (tak słyszałem od znających tę rodzinę) trzymał tam dzierżawę od Jeleńskich, ale młodo umarł, syna zostawiając w niemowlęctwie, żona zaś Antoniego Wiernikowskiego, de domo Marta Arciszewska, matka Jana Nepomucena, wyszła powtórnie za mąż za Jana Tuhana-Trośnickiego, który się zajął serdecznie wychowaniem pasierba, oddawszy go w 1810 roku do Mozyrza, gdzie się on uczył do roku 1817 i następnie udał się na studia filologiczne do Wilna, należąc do najlepszych Grodka uczniów; greka i łacina były najulubieńszymi przedmiotami, którym się oddawał gorliwie Wiernikowski w Uniwersytecie, gdzie też uczony otrzymał stopień. Znany proces filaretów wyrwał go z Wilna i oparł się on, jak twierdzi D. J. Bieliński, znakomity historyograf uniwersytecki, w Simbirsku, gdzie go nauczycielem mianowano gimnazjalnym języków starożytnych. Potem w Petersburgu uczył się Wierni-

¹⁾ Ten Kosijsk, w pow. mozyrskim, razem z innemi wsiami stanowił klucz kopitkiewiczowski, dawany Jeleńskim w 1775, «póki miecza stanie». Dobra ta skonfiskowano po r. 1863, a potem darowano generałowi Cyłowski, znanemu działaczowi rosyjskiemu.

kowski języków wschodnich i powołano go później na ich katedrę w Kazaniu, a stamtąd w Charkowie i tam, w 1877 roku, rozstał się z tym światem. Wiernikowski wiele bardzo umiał, a w druku z tego wyszło mało: w Wilnie u Zawadzkiego 1824, Niektóre celniejsze ody Pindara, z objaśnieniami, tekstem i tłumaczeniem; a jeszcze przedtem przetłumaczył ode Sarbiewskiego z powodu założenia w Krozach Kościoła, jednocześnie z tem przetłumaczył z hebrajskiego psalm XLII; w Birucie wyszły Pytania morskiego ducha, legenda indyjska i krótka wiadomość o Hafizie i jego dziełach z perskiego; w Wilnie 1842 r. Aksel, romans Tegnera; i inne jeszcze prace.

Niektórzy utrzymują, że wyżej wzmiankowany Feliks Kułakowski, vel. Kólatowski, też uczeń Grodka potem, w Kazaniu dalej studiował języki wschodnie i odznaczył się w tym kierunku. Nic więcej o nim, niestety, powiedzieć nie możemy!

Daniel Spasowicz, po ukończeniu nauk w Mozyrzu, też się do Wilna udał i tam medycyny się uczył. W r. 1823 został doktorem; wydał w Wilnie rozprawę, De labrorophia, w tymże roku (D-r. Bieliński), dedykując ją Wacławowi Pelikanowi. Potem, przez lat kilkadziesiąt, był on lekarzem rządowym, inspektorem w Mińsku, umarł na Podolu w Lemieszowie w 1882 roku; liczone mu wtedy lat 85; jest to ojciec Włodzimierza, znanego literata, profesora i głośnego w swoim czasie adwokata w Petersburgu.

We 3 lata potem (1819) wizytował tu szkoły Józef Twardowski¹⁾. O pomieszczeniu nauczycieli powiada: Nauczyciele mieszczą się w domach drewnianych rządowych. W domu dużym, z kościoła przerobionym, piętrowym, na dole mieszka dozorca szkolny, na górze znajduje się sala popisowa i biblioteka; w domu najbliższym, dużym, drewnianym, o dwóch skrzydłach, 4 są nauczycielskie mieszkania, niezbyt obszerne; w trzecim domu jedno większe mieszkanie, kuchnie i składy, należące do tamtych kwater; w czwartym domu — cztery sale lekcyjne i gabinety. Domy te wszystkie nie były ani zapełnione, ani wygodne; Katecheta otrzymywał 50 rs. na mieszkanie i najmował je u Bernardynów. Pomieszczenie uczniów podróżowało przez te trzy lata (od wizyty Rudominy): u nauczycieli płacono po sto rubli, lub mało mniej rocznie; na mieście bardzo błotnistem i niezdrowem, u osób prywatnych od 30 do 45 rs.; dozorcą domowym od 3—8 rs. od ucznia. Wszelkie produkty do życia potrzebne w Mozyrzu były droższe niż gdzieindziej (bo tam się zajmowano przeważnie wypędzaniem smoły i dziegciu, zaniedbując rolnictwo i ogrodnictwo nawet): w tym czasie [za ośmiu — ale czego? — płacono p 1½ rubla, a w Pińsku kosztowało to zaledwo pół rubla; brak też był wielki rzemieślników: żadnego stolarza, nawet dobrego kołodzieja w mieście znaleźć nie można: do tego dobrej wody nie było; najlepsza studnia u O.O. Bernardynów nie starczyła zapotrzebowaniom. Lekarz powiatowy stale mieszkał w mieście, mający kilku felcerów; była też apteka. — O bibliotece szkolnej tak orzekł wizytator: chociaż nie zawiera ona wszystkich dzieł pomocniczych, jest jednak dość liczna i przy cięgłym staraniu i dopełnianiu może się coraz zwiększać i przyjść do zupełności; dawały się czuć braki w dobrych wydaniach autorów klasycznych i dziełach w przedmiocie fizyki i ma-

¹⁾ Szczegóły o tej wizycie obszernej wydrukowane w Archiwum do dziejów liter. i oświaty, t. X, Kraków 1904. Uwzględniamy tu tylko niektóre rubryki.

tematyki; map geograficznych miano dość, lecz narzędzi fizycznych i matematycznych — mało. Z pism peryodycznych zapisywano: *Kuryera Litw.*, *Wiadomości Brukowe*, *Dziennik*, *Pamiętnik Warszawski*, *Lwowski* i czasopismo historyczne w języku rosyjskim. Nabożeństwo szkolne odprawiano w kościele parafialnym. Uczniów w roku ubiegłym liczono 161; ukończyło szkoły 5, z tych 3 udało się do uniwersytetu, a 2 do domu. W tym roku 187: kl. I 98 (większość poczynających, nie umiejących jeszcze czytać), w II—33, w III obuletnich 38, w IV obuletnich 22, dwaj z nich uczęszczali tylko na niektóre obrane przez siebie przedmioty, zapewne po ukończeniu tej klasy.

Dozorcą szkolnym był od r. 1817 Jan Lubiczankowski (i tak go pisał), który przyszedł na świat w 1772 r. w wojew. bractawskim; uczył się naprzód w Niemirowie, a potem w Wilnie; został ostatecznie dr. filozof.; zaczął nauczać od r. 1797; był profesorem w Berdyczowie, Mozyrzu, pomocnikiem dyrektora w Mohylowie, na koniec przełożonym mozyrskim. Wizytator taką o nim wydał opinię: dobrze jest usposobiony i, przechodząc przeróżne stopnie działalności, zna doskonale swoje obowiązki; ale może być cokolwiek za ociężałym i w postępowaniu z nauczycielami nie dla wszystkich zachowujący przystojną uprzejmość; i to nie mało przyczyniło się do niezgody, jaka między osobami zgromadzenia trwała...

X. Grzegorz Witkowski, podług zdania Twardowskiego, był dość «usposobionym», miał do tego «piękny dar czystego się tłumaczenia po polsku¹⁾, nieco za prędki i to bywało powodem, że w zdarzonych wypadkach zanadto wrażliwy i dlatego właśnie z dozorcą szkoły w niezgodzie».

W wykładach religii trzymał się dzieła Fleurego i Golańskiego i miał do pomocy Nowy Testament, edycyi towarzystwa biblijnego (!!!). Jerzy Juskiewicz używał podręczników (do artm., geografii i nauki moralnej) przez Kom. Eduk. nakazanych, wykładając, wszystko podług przepisów z dobrą metodą. Felicjan Horain, od 20 prawie lat w Mozyrzu uczący, też szedł drogą przez Kom. Eduk. wskazaną, z łaciny przechodził nawet więcej; uczył dobrze i pilnie. Józef Breyer, odbywający nauki w Wiedniu, zdał egzamin w Mińsku na nauczyciela jęz. niemieck. i francusk., wykladał język. niemiecki, ale znał lepiej francuski i do tego młodzień bardziej się garneł. Wincenty Witkowski dawał wymowę z Piramowicza i Golańskiego, a historię podług Goldschmidta i Wagi, prawo na podstawie Stroynowskiego, na klasyków łacińskich zwracał szczególną uwagę; uczniowie jego robili wielkie postępy w naukach. Jerzy Archimowicz «trochę za żywy i do dysput skłonny, co się niemało przyczyniło do niezgody pomiędzy nauczycielami», dobrze uczył matematyki, w wykładzie fizyki «nie widać pożądanego systematu». W r. 1824 nauczali ciż sami nauczyciele, był ten sam dozorca. Uczniów w klasie I — 45, II — 42, III — 55, w IV, — 26 razem 168²⁾.

We cztery lat potem (1828) na czele szkół stał, pełniąc obowiązki dozorcę³⁾, Franciszek Ossoliński, radca tyt., kand. obojga praw,

¹⁾ Pan wizytator zaś szpecił, swoją mowę obcemi naleciałościami, jak to widać z jego sprawozdania.

²⁾ Muz. Czartr.

³⁾ Kalendarzyk Wileński wydaw. naukow. — Lubiczankowski zaznaczony dozorcą w kalend. jeszcze na rok 1825, odkąd tu już tylko zwyczajna szkoła powiatowa.

katechetą był X. Kossakowski, Mag. teolog., gramatyki polsko-łacińskiej uczył Ignacy Legatowicz, mag. fil., (przed nim był Justyn Chrucki, Kand. filz.), język francuski wykladał Karol Delatre, niemiecki — Jan Krassowski, geografją i historję (w zastępstwie) Michał Krakówka, Kand. obj. praw, fizykę (w zastępstwie) Michał Ławicki, arytmetykę i geometryę Juskiewicz nasz dawny znajomy. Uczyło się w I kl.—44, w II—38, III—21, IV—30=133¹⁾.

Znani zaś nam uczniowie w tym roku odznaczeni na popisach publicznych, które zaszczycił swoją obecnością Osztorp, marszałek gubern. mińskiej²⁾.

Nagrodę I stopnia, medal srebrny, otrzymał Jan Frankowski, uczeń klasy IV; nagrodę II stopnia, książkę, przyznano Jakubowi Łukaszewiczowi z klasy I; nagrodę III stopnia, pochwałę publiczną, udzielono: z klasy I Wincentemu Jastrzębskiemu i Stanisławowi Lenkiewiczowi—Iphorskiemu, synowi ziemianina mozyrskiego, z kl.: II Jerzemu Kosowskiemu, Michałowi Suchockiemu, Hieronimowi Szujskiemu, Erazmowi Ossolińskiemu; z kl.: III Cypryanowi Rygielskiemu, Julianowi Romaszkanowi; z kl.: IV Józefowi Fiedorowiczowi. Do nagrody IV stopnia, ogłoszenia w gazetach, zaliczeni z kl.: I, Józef Bietowicz, Józef Jastrzębski, Józef Lubiński; z kl.: II, Henryk Allinger, Konstant. Bądzkiewicz, Jan Gulbiński, Teofil Żukowski. Joachim Lebedziejański, Ant. Morawski, Wład. Frankowski, Wacław Ossoliński, Teodor Czabanowski; z kl.: III Mateusz Lisiecki i Jan; z kl.: IV Wład. Allinger, Floryan Pieszko i Hipolit Krasowski.

Z roku 1829 wiemy tylko³⁾, że w kl.: I uczniów 4, w II—37, w III—20, w IV—29—129, a nadto znani celujący uczniowie na popisach publicznych⁴⁾, które tak opisane: Szkoła powiatowa mozyrska d. 29 czerw. (1829 r.) odbyła publiczny egzamin uczniów z nauk w obecności Jerzego Iphorskiego-Lenkiewicza marszałka tego powiatu, zaproszonych urzędników, przybyłych rodziców, opiekunów i t. d. Po egzaminie odczytano listą uczniów, którym za postępy w naukach i wzorowe obyczaje przyznane zostały nagrody; 1° medal srebrny otrzymał Władysław Allinger, z kl.: 2° «pisma pochwalne» z klasy I Dominik Wasilewski, Erazm Wasilewski, Jan Łukaszewicz, Ludwik Orłowski, Jerzy Piasecki, Karol Stachowski, Cypryan Sosonko, Felicjan Raczyński i Karol Tułowski; z kl.: II Józef Butowicz, Aleksander Gulbiński, Jakób Łukaszewicz, Adolf Odiber, Karol Rozewski, i Wincenty Jastrzębski; z kl.: III Jan Gulbiński, Robert Męczyński, Antoni Morawski, Michał Suchocki, Erazm Ossoliński, Wacław Ossoliński, Hieronim Szujski, Leopold Jejszewski i Wład. Frankowski; kl.: IV, Mieczysław Giekowicz, Otton Lubiczankowski, Witalis Przestański i Julian Romaszkan; 3° pochwałę publiczną z kl.: I Samuel Niesłuchowski, Ignacy Szczesnowicz, Mikołaj Całujko, Karol Pieszko, Stanisław Konsencyusz (!), Romuald Klimowicz, Mikołaj Janson i Izidor Późniak; z kl.: II Kazm. Nowosielski, Aleksander Godecki, Bazyli Nieroński, Mikołaj Florow, Grzegorz Wołotowski, Stanisław Lenkiewicz i Ryszard Obuchowicz; z kl.: III Adam Męczyński, Kajetan Ma-

¹⁾ Muz. Czartr.

²⁾ Kuryer Litewski, 1828, № 92.

³⁾ Muz. Czartr.

⁴⁾ Kuryer Litewski, 1829, W. 96, dodatek.

tusewicz i Joachim Lebedziejowski; z skl.: IV Cyprian Rygielski i Lucyan Jastrzębski. Takowe «pisma» marszałek każdemu z uczniów rozdał; poczem dozorca szkoły do uczniów wyjeżdżających na wakacje stosownie przemówił, a uczniom kończącym nauki w szkole dał krótką przestrożę, aby się ćwicząc w bojaźni Boga, wypełniali ściśle obowiązki stanu, służąc wiernie Monarsze i Krajowi; nakoniec wszyscy zgromadzeni goście i uczniowie z nauczycielami na podziękowanie Bogu za łaskawe panowanie Cesarza i za szczęśliwe ukończenie roku szkolnego udali się do parafialnego kościoła dla odśpiewania hymnu. Te Deum laudamus.

Po roku 1831 już takich szkół w Mozyrzu nie było...

Ze wszystkich kościołów mozyrskich pozostał dotąd tylko parafialny, owa Zygmunta III fundacya. Na początku XIX w. proboszczował tutaj X. Reginald Sztenken, kanonik inflancki, może ten jeszcze ex-Jezuita, co tu kiedyś w szkołach nauczał, którego tu jeszcze zastajemy w 1812 roku ¹⁾, ale około roku 1815 na tem stanowisku widzimy X. Justyna Chodykiewicza, znanego nam skądinąd ²⁾, którego też nazywają Chodzkiewiczem. Urodził się on w Witebskiem i uczył się u Jezuitów w Dynaburgu i Połocku i wstąpił do ich zgromadzenia; pomiędzy rokiem 1800—1801 był magistrem w Witebsku, ucząc tam w infimie i po rosyjsku i znowu we Mścisławiu 1802—1803, na takim samym stanowisku, a od roku 1803—1804 tamże działał jako nauczyciel retoryki, poetyki i języka rosyjskiego; wykładał też język rosyjski w Połocku przed rokiem 1810; w 1809 r. już jako kapłan do roku następnego był prefektem szkoły w Orszy, ale potem prędko opuścił Zgromadzenie i został proboszczem w Mozyrzu i kanonikiem mińskim; nad naukami dalej pracował i 1820 r. został magistrem teologii, a w 1834 r. powołano go na profesora teologii dla Katolików w uniwersytecie Kijowskim; był tam dwa lata tylko i, niestety, nie zostawił dobrego po sobie wspomnienia... Nawet Szulgin, urzędowy historyograf wszechnicy Kijowskiej, niebardzo go chwali i robi zarzuty z powodu niezręcznej lojalności. W swoich wykładach trzymał się, pomiędzy innymi, Engelberta i — Klüpfela, może ci autorowie na taką go popchnęli drogą... Dalsze jego losy nieznane nam wcale.

Do roku 1893 był osobny dekanat mozyrski ³⁾, składający się z 4 parafialnych kościołów: Mozyrz, Petryków, Kopatkiewiczze i Kimbarówka. W r. 1860 był proboszczem mozyrskim X. Franciszek Rymsza, mający wikarego, filialistę i pięć kaplic. W r. 1864 utworzono dekanat mozyrsko-rzeczycki, w którym 5 kościołów parafialnych. W r. 1865 proboszczem w Mozyrzu i razem dziekanem, X. Adolf Morzecki, kapłanem gimnazjalnym Aleksander Kopciechawicz, tyle smutnego rozgłosu potem mający; wikaryuszami dwaj Sęczykowscy; jeden z nich Ferdynand!.. Po skasowaniu dyecezyi mińskiej w 1869 r., Żyliński, nie troszcząc się o prawo kanoniczne, począł zarządzać tamtejszymi Kościołami. W r. 1870 w Mozyrzu proboszczem X. Józef Radziwończyk, razem dziekan, parafian 4,459, wikarych 2, Kopciechowicz ka-

¹⁾ Kalendarzyki Wileńskie.

²⁾ Ikonnikow, Biograficzesskij Słowar prof. uniwersytetu. Sw. Władimira 1834—1884. Materyały do dziej. Akad. Połockiej, Kraków 1905.

³⁾ Na podstawie Dyrektorjów dyecezalnych.

pelanuje. We 3 lata potem parafian 5,539, proboszczem X. Aleksander Jankowski, wikaryusz jeden. W r. 1881 parafian 5,202, trzy kaplice, proboszcz ten sam; we dwa lata później — 5382, jeszcze tam X. Jankowski. W tym czasie na mocy rozporządzenia Stolicy Apostolskiej przyłączono kościoły mińskie do archidyecezyi mohylowskiej. W roku 1882 r. w parafii w Mozyrzu, — gdzie jest cudowny obraz Zbawiciela, jak wiadomo, — liczono parafian 5,520, proboszczem był wtedy X. Władysław Isajewicz, dziekan, mający wikarego i sześć kaplic, bez kapłanów, naturalnie. W r. 1887 wiernych prawie sześć tysięcy i taki stan trwał jakich lat kilka prawie bez zmiany. Na początku tego wieku (1902) parafian 8106, proboszcz i dziekan tenże X. Isajewicz bez wikarego, ale jest tam katecheta gimnazjalny. Nakoniec w Directorium na rok 1909 zaznaczono w Mozyrzu parafian 8,274, proboszczem X. Henryk Humnicki.

Kończąc mówić o naszej prastarej «Mozyri», niech nam wolno będzie jeszcze raz rzucić okiem na przeszłość tych miejscowości.

Jak wiadomo, na początku 1793 r. powołano do życia nową kasztelanję mozyrską ¹⁾ która z końcem tego roku przestała istnieć. Pierwszym (i ostatnim) kasztelanem mozyrskim był Kazimierz-Maciej Oskierko hrb. Murdelio z marszałka mozyrskiego wyniesiony na tę godność w styczniu owego roku. Był on najmłodszym synem ²⁾ Antoniego, kasztelana nowogródzkiego, ożenił się z Karoliną Stecką hrb. Radwan, kasztelaną kijowską, miał dwoje dzieci: Antoninę za Aloizem Sulistrowskim i Ignacego, szambelana, zmarłego w stanie bezzennym. Oskierkowie niegdyś posiadali ogromne dobra w tym powiecie, ale teraz, o ile wiemy, nic już tam nie mają ³⁾ i ich majątki w inne poprzeczodziły ręce oddawna. Już to wygląd całego powiatu zmieniał się kilkakrotnie: po roku 1832 naprzód, we 30 lat potem znowu, a były przewroty jeszcze później. Chociaż niedawno rozpoczęło się nowe stulecie, jednak przy końcu XIX w. powiat mozyrski inaczej niż teraz okazywał się oczom naszym ⁴⁾. Tak np. część dóbr poradziwiłłowickich, potem Wittgensteinów-Hohenlohe, obecnie w tym powiecie leżące, jeszcze do nich należała, a obszar to ogromny: Dziakowicze, Horodziatycze, Łachwa, Lubaczyn, Lenin reprezentują c. 11,000 włók; jezioro Kniaz prawie włókę obejmuje. Posiadłości Radziwiłłów, klucz dawidgródzki z atynencyami, tworzą jakich włók 1160 (jeszcze to w ich ręku). Chodkiewiczowie posiadali sławny Petryków, więcej niż 725 włók, ale już tego nie mają.

W owym czasie na schyłku XIX w., spotykamy w tym powiecie: Adamowiczów herb Leliwa, spadkobierców Henryka i Gerarda, w Skorodnem i Niedzwiednem, jakich włók 500 dziedziczących. Sylwan Biskupski, syn Wiktora, w Michodawiczach miał 130 włók. Urban Bohusz, syn Rafała, z Nowosiótek, posiadał włók 315. Oton Węc-

¹⁾ Senatorowie i Dygnitarze W. X, L. przez Wolffa, Kraków 1885, p. 114.

²⁾ Złota księga Szlach. Polskiej, XIX p. 96,

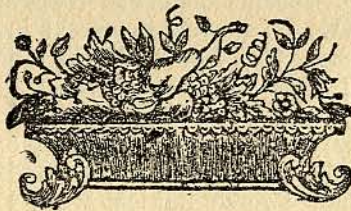
³⁾ O ile nam wiadomo, to do Oskierków należało do niedawna w pow. rzeczyckim: Mutyraż, Hliniszcz, Makanowicze, Derewiszcz etc, razem jakich włók 400.

⁴⁾ Spisok ziemlewiadatelcew minskoj gub., Minsk, 1889; w Słow. geograf. wiadomości o gub. Mińskiej podane przez znakomitego historyografa Mińszczyzny p. A. Jelskiego na Zamościu.

ławowicz, syn Aleksandra, w Waniuzycach—160. Pani Romania Lewandowska w Czystej Łuży — 1150. Obuchowicze, Bohdan i Olgerd, w Grabowie, Trościenicy, Sedelnikach, jakich 187 włók. Lenkiewicz—Ipohorscy h. własnego ¹⁾, Bolesław, Władysław, Sabin, Michał, Stanisław, w Rudni, Saniukach, Michałkach, Kopcewiczach, Zapolu, Małym Bokowie, Olgomlu, Prudku, włók 765. Malwina Wańkiewiczówna, córka Antoniego, wychodząc za Mamerta Gordziałkowskiego-Gorkańskiego h. Leliwa, wniosła mu Kormę i Waławsk, włók jakich 900; z tego małżeństwa trzech synów, od dwóch zostało potomstwo.

Kieniowiczowie, v. Kiniewiczownie, też dawny ród mozyrski; z tych Hieronim, syn Antoniego, 1796—1884, chorąży mozyrski, żonaty z Katarzyną Horwatówną, zostawił kilka córek i syna, także Hieronima, ożenionego również z Horwatówną Jadwigą; ten posiadał Doroszewicze, Łobezę i Bryniów, jakich włók 1760; nadto Antoni Kiniewicz z bratem Feliksem władali Wielkim Maleszewem, a Julian—Horodcem i Uholcem, razem z 50 włók. Kazmierz Sniadecki, syn Józefa,—który znowu był synem Jędrzeja, głośnego prof. uniw. wileńskiego,—miał Kościukowicze i Skryhałowską Słobodę, po matce, Antoninie Sulistrowskiej (przedtem Oskierków) około 270 włók. Do Józefa Tyszkiewicza, z Landwarowa, w Pawlinowie, Sniadyniu, Osowcu, Ostrożance, Leleczkach, Wysokiem, jakich włók 4,730 należało. Ale oprócz tego byli tu też inni bogaci i zasobni obywatele; w obecnych czasach znaczne w tem wszystkim zmiany zaszły...

Marek Gozdawa.



¹⁾ Szczegóły o tym rodzie w-Z przeszłości Hoszczy na Wołyniu, Kraków 1909.



Nasze dwory wiejskie.

Strzeżcie się jak grzechu śmiertelnego najdować że, dom ojca zaciasny.

Z rozmów mędrca chińskiego Lao-Tse z Konfucjuszem.

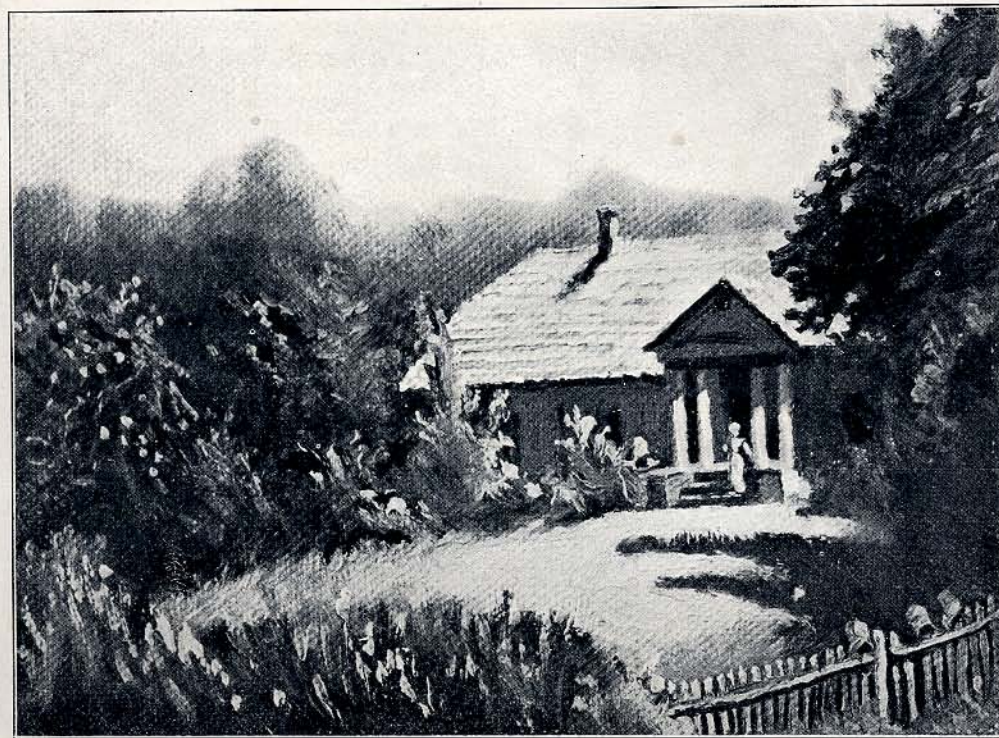
Mowa nasza posiada wyrazy, podobne do kwiatów zasuszonych, które czasem znajdujemy między pośliskami kartkami w imionniczku babuni. Życie dawno z nich wyszło, spłowiły kolory, pozostał niezmiernie subtelny aromat, przystępny tylko bardzo czułym nerwom. Do takich wyrazów wypadłoby dziś już zaliczyć „dom rodzinny“. Nie będzie przesadą twierdzenie, że z naszego pokolenia bardzo nieliczne jednostki wyrosły pod rodzinną strzechą, a z tych niewielu, znikoma częśćka zaledwo zdolna sercem kochającym odczuć i ocenić jej czar niewysłowny.

Urodziłem się w dużym mieście, przy jednej z tych ulic szerokich, prostych i równoległych, wytkniętych ręką miejskiego geometry na wzór i podobieństwo linjowanego kajetu. Domu niepoznał bym zapewne, tak są podobne do siebie; całą różnicę stanowi blaszka z numerem przybita nad bramą. W tych dużych domach świecących nieskończonemi szeregami okien mieszkają krocie tysięcy ludzi — rodzą się, umierają, wprowadzają się i wynoszą, zmieniają się jak te obicia papierowe, które oklejają szary, chłodny mur. Życie tam płynie szeroką, mętną falą: ciche tragedje, radość wyuzdana często w najbliższym sąsiedztwie, o ścianę. Tu—chrapliwe tony gramofonu, wyżej—klótnia zawzięta miejskich kumoszek, obok — może jęki konania, a środkiem monotennie dudni ulica, wiecznie obojętna, i obojętnie ze swej wysokości na ludzkie mrowisko spoglądają domy oczyma swych okien, błyszczących w ciemności, jak wilcze źrenice, ślepych we dnie jak sowy. Jak rzeka ujęta w granitowe zręby płynie przyspieszo-

na falą, nie zraszając brzegów, nie pojąc kwiatów i traw akşamitnych życiodajną rosą, tak ludzie pośród tych kolosów kamiennych pędzą dni swoje obcy sobie na wzajem. Nic tu zgoła nie łączy człowieka z temi ścianami, które zamieszkuje; lża jego nie wsiąka w twardy mur, a śmiech odbity brutalnie kona w głuchym rozjęku. Budowniczy, który wzniósł te gmachy, dał im mocne fundamenty, spiętrzył miliony cegieł, spoił je doskonale wapnem i cementem, żelaznemi związał belkami, włożył w dzieło swe mnóstwo wiedzy i potu ludzkiego i złota — lecz nie włożył tu serca.

Czyja kolebka stała w takim środowisku nowoczesnego miasta wielkiego, kto się tu wychował, ten zaiste nie miał „domu rodzinnego“

A teraz od zgiełku miejskiego przenieśmy się w zaciszne, wiejskie ustronie: tu bowiem przede wszystkim szukać należy tego idealnego typu staropolskiej siedziby, która w mowie naszej, w pojęciach ustalonych tradycją, w poezji nosi od dawna miano „gniazda rodzinnego“. Było niegdyś dogmatem szlachty polskiej nie puszczać ziemi w obce ręce. Ztąd po 300 i 400 lat dwory takie bywały w posiadaniu jednej rodziny. Jako przykład przytoczyć możemy, iż w najbliższym czasie jeden z największych rodów litewskich obchodzić będzie 400 lecie posiadania zamku i dóbr familijnych; doniedawna podobne fakty dość były pospolite nawet wśród szlachty pomniejszej. Burze polityczne i wyjątkowo ciężkie warunki ekonomiczne wyrwały z rąk naszych niejedną starą siedzibę. Trudno zaiste odpowiedzialnem za to czynić społeczeństwo, przeciwnie, przyznać należy, że ci którzy w chwilach najkrytyczniejszych zdołali uniknąć przymusowego wywłaszczenia, następnie oburącz trzymali się własności swej, walcząc często z najcięższymi przeciwnościami, a to przeważnie w imię wspomnianego, tradycyjnego dogmatu. Wypadki dobrowolnego wyzbywania się ojcowizny, jakkolwiek zdarzały się, były jednak stosunkowo rzadkie. Dopiero w latach ostatnich pod tym względem zaszła dziwna, niewytłómaczona zmiana. Datuje się ona równo od chwili wydania ustawy pozwalającej nam w tak zw. „Kraju Zachodnim“ nabywać własność ziemską. Ustawa ta miała wręcz przeciwny skutek niż by ktokolwiek mógł się spodziewać i przewidzieć. Zamiast powiększenia się, lub przynajmniej wzmocnienia naszej własności, obywatelstwo nasze, jak gdyby wyczerpane długoletnią walką, naraz uczuło się zwolnionem od obowiązku moralnego utrzymania ziemi. Jeżeli w tych latach nie wyzbyliśmy się co najmniej połowy naszej własności ziemskiej, to tylko dzięki tej szczęśliwej okoliczności, iż popyt bynajmniej nie odpowiadał podaży. W każdym razie jednak facit tych kilku lat ostatnich jest dla nas bardzo



Tadeusz Dmochowski: Dworek wiejski na Inflantach (z obrazu olejnego).

niepomysłny, gdyż, jakkolwiek nie posiadamy dokładnej statystyki, przecie nie podlega kwestji, iż wypadki sprzedaży ziemi w kraju naszym znacznie były liczniejsze, niżeli wypadki kupna przez Polaków. Z przerażeniem widzimy w tem nowy objaw instynktów samobójczych rasy naszej: Walczyliśmy oto w ciągu wielu lat o wolność wyznania, poto — by wydać Marjawityzm. Domagaliśmy się zniesienia zakazu kupna ziemi, a kiedy krzywdzące to prawo (częściowo) zostało cofnięte, skorzystaliśmy z ulgi tej w ten sposób, iż poczęliśmy na gwałt wyzbywać się ojcowizny.

Odstąpiłem nieco od tematu, a to w celu wykazania jak stopniowo, nieubłagane rozluźniają się u nas więzy łączące naszą warstwę ziemiańską z jej naturalną, dziedziczną podstawą — ziemią. Podobny objaw daje się także zauważyć i w innych krajach dzielnicach, pod tym względem podlegamy zresztą tym samym prądom, które od dawna już i w znacznej mierze objawiły się w innych krajach — na zachodzie i na wschód — gdzie posiadłość ziemską jest dziś w pierwszej linii kwestją materialną, kwestją lokaty kapitału. Różnica zasadnicza jednak na tem polega, że gdzieindziej przejście ziemi od jednego właściciela do drugiego, parcelacja większej własności, jest kwestją dość obojętną dla narodu i państwa, najwyżej cierpią na tem ambicje i tradycje poszczególnych rodów, podczas gdy u nas byt narodowy, kulturalny i materialny opiera się przedewszystkiem na własności ziemskiej.

Jeżeli spytamy co właściwie spowoduje u nas upadek większej i średniej własności, co skłania młodsze pokolenie naszych ziemian do stopniowego wyzbywania się ojcowizny, to w pierwszym rzędzie niewątpliwie należałoby postawić przyczyny natury ekonomicznej. Nie będziemy takowych wyliczać, gdyż to przekroczyłoby nietylko ramy niniejszego artykułu, lecz i wydawnictwa naszego, poświęconego wyłącznie sprawom kulturalnym. Natomiast pragniemy zwrócić uwagę czytelników na czynnik odmienny, w skutkach swych nie mniej zgubny, jakim jest nowoczesne wychowanie młodzieży naszej. Dawniej kwestja wychowania młodzieży ziemiańskiej nie przedstawiała trudności, dzięki tak gęsto rozsiانym doskonałym szkołom klasztorным, że wspomnę przedewszystkiem o niezrównanych szkołach pijarskich. Dziś wobec całkowitego braku mniej więcej zadawalniających zakładów naukowych w kraju, oraz drożyzny wychowania domowego, zmuszeni jesteśmy dźwiatę wysyłać do miast dużych, zwykle bardzo odległych. Z tąd młodzież ta od lat najwcześniejszych bywa tylko gościem pod dachem rodzicielskim, wyrasta bez opieki ojcowskiej, wśród otoczenia i pod wpływem wrogim wszelkiej tradycji. Nie dziw więc, że młodzian, w takich warunkach wychowany, gdy

wróci do zagrody rodzinnej, przede wszystkim znajduje „że dom ojca za ciasny“, nie odpowiada nowoczesnym wymaganiom życia, higieny i komfortu. To też pierwszym czynem młodego dziedzica bywa zazwyczaj zburzenie starego dworu. Nie przeczuwa nawet, że ta sama siekiera, która świętokradzko rozrywa ściany starego domostwa, jednocześnie podcina korzenie, które jego samego i ród jego łączyły z tą ziemią, która ich wydała i wykarmiła. Nie jest bowiem ani przesadą gminnym, ani płodem wyobraźni poetów, że w starych dworach żyje duch opiekuńczy, duch „matki rodu“, który czuwa nad losem najdalszych potomków. Tu, gdzie — mówiąc słowami poety:

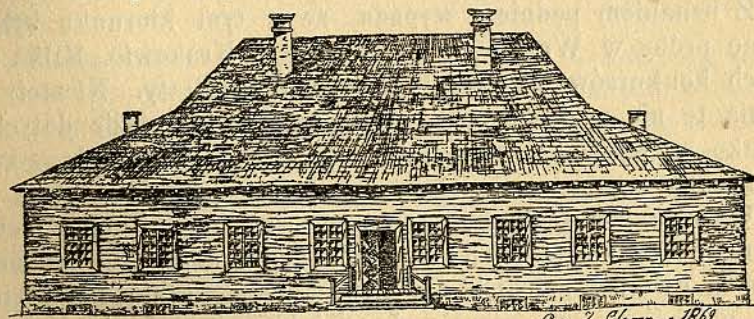
„Ojciec z dziady, krewnych gromady
I mali wnukowie
Dzieciństwa doszli, gdzie w zgodzie rośli
Przy swej starszej głowie“,

każde z tych pokoleń zostawiło ślad namacalny. Trzeba znać i kochać przeszłość swoją: przeszłość rodu i kraju i trzeba umieć patrzeć i czuć, a wtedy niewątpliwie zarówno w całości jak w częściach, w ogólnej sylwecie dworu, w rozkładzie pokoi, w drobnych szczegółach budowlanych, w prymitywnych często ozdobach ciesielskich, odnajdziemy tego ducha, ducha przeszłości, który tu żył, działał, pracował, tworzył podwaliny pod wielki gmach kultury narodowej, z którego dziś niestety gruzy pozostały.

Dom rodzinny, nasz dwór staropolski, to świadek żyjący a wymowny wieków ubiegłych, tych burz, które przeszły nad krajem naszym i potężnych czynników kulturalnych, które normowały życie ojców naszych i dziadów. Kto lekkomyślnie burzy te cenne zabytki, rozrywa łańcuch święty, łączący nas z przeszłością narodu naszego i kraju, niszczy dobrowolnie najdroższy skarb, który w spóściźnie otrzymał po przodkach — tradycję. Bez tradycji nie może być u nas silnego i zdrowego stanu ziemiańskiego, wieś nasza, odarta z pamiątek, będzie tylko warsztatem, który w każdej chwili odstąpić można pierwszemu lepszemu — skoro dostatecznie nie procentuje się.

Na tem miejscu nie jeden mógłby zrobić uwagę: jak należy postąpić, jeżeli dwór stary bądź to stał się łupem płomieni, bądź też do tego stopnia podupadły i zmurszały, że dłużej w nim mieszkać nie sposób. Życie ma swe wymogi praktyczne, z którymi się liczyć należy; mimo największej czci dla zabytków przeszłości, niemaż człowieka, który by się zgodził żyć pod dachem, grożącym lada chwila runięciem. Uwaga nader słuszna, przyznać też należy, że nasze dwory wiejskie, (przeważnie drewniane) na ogół długim nie cieszyły się żywotem. Takie, które przetrwały lat 200 są bardzo rzadkie, zaś większa część tak zw. „starych“

dworów pochodzi z końca XVIII lub początku XIX wieku; mimo to, nawet późniejsze jeszcze, powstałe w pierwszej połowie wieku ubiegłego, mają zarówno wygląd typowy, jako też urok specjalny, właściwy budynkom archaicznym. Pochodzi to z tego, iż ówczesny cieśla, zarówno jak i dziedzic, kierujący budową, jakkolwiek specjalnie nie obeznani z architekturą, mieli niejako we krwi poczucie tradycji, to też hołdując nawet modzie chwilowej, umieli nawiązać ją do form przeszłości, takim sposobem dwory powstałe w tej epoce były niejako tylko dalszym ogniwem łańcucha, którego początek sięga zamierzchłych czasów. Dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku, pod naporem prądów obcych, zalewających kraj nasz, następuje przełom w naszym budownictwie wiejskim i zupełne zerwanie z tradycją. Do tak zgubnego dla



Dwór z wieku XVII w Kowalewszczyźnie na Podlasiu tykocińskim. (Z „Budown. drzewnego“ Z. Glozera).

naszej rodzimej kultury przewrotu przyczynili się niestety w wysokim stopniu nasi młodzi inżynierowie, którzy z zapalem godnym lepszej sprawy pośpieszyli wiedzę, zdobytą w szkole „dróg i komunikacji“ i następnie na robotach rządowych żywcem przenieść do naszej wsi litewskiej. Niestety umiejętność budowania mostów żelaznych tyle ma wspólnego ze sztuką budowniczą ile np. rysunek geometryczny z obrazem Matejki, to też szkaradne koszary, wybudowane przez pp. inżynierów, tak są podobne do starych dworów, jak protokół policyjny do „Pana Tadeusza“. Co zaś najgorsze, że pod kierownictwem takich „fachowych“ mistrzów, nasz skromny cieśla wioskowy zatracił całkowicie odziedziczony instynkt artystyczny i dzisiaj również uważa za wzór najpiękniejszy — „wagzał“ z jego ohydnyimi formami, pomalowany olejno na kolor kawy z mlekiem.

Nie o wiele lepiej wyglądają dwory zbudowane pod kierownictwem fachowych budowniczych. Architekci nasi, wykształceni na wzorach obcych, z małymi wyjątkami również zatracili poczucie form swojskich, to też w rezultacie mamy: albo typową „daczę“ petersburską, albo szalas szwajcarski, albo nareszcie (jeżeli

ma być pałac) marną karykaturę zamku gotyckiego. Robiono też próby przeszczepienia u nas tak zw. zakopiańszczyzny, i te jednak uważać należy za całkiem chybione. Styl zakopiański ma może pewną rację bytu w Karpatach, przeniesiony na nasze równiny litewskie jest obcy i śmieszny, dodać jeszcze wypada, że jest to styl zupełnie nowy, sztucznie wytworzony na podstawie kilku motywów ludowych górali karpaccich i nigdy przy budowie dworów szlacheckich nie miał zastosowania. Nam trzeba budownictwa wyrosłego na naszym gruncie, rodzinnego, tylko takie nawiąże przerwana nić tradycji, łączących nas z przeszłością, zadowolni najwybredniejsze nawet wymagania estetyczne, jednocześnie zaś odpowiadać będzie praktycznym warunkom klimatu, materiału budowlanego, zwyczajom.

Z uznaniem podnieść wypada, że w tym kierunku były już robione próby w Warszawie i zwłaszcza w Krakowie. Kilka ogłoszonych konkursów dało wcale pomyślne rezultaty. Niestety usiłowania te nie znalazły echa u nas na Litwie, gdzie dotychczas wszystko co wychodzi poza zakres potrzeb codziennych — kołdunów i winta — zbywa się typowem: „et głupstwo!“

W celu zainteresowania naszym rodzimem budownictwem zamierzam dać szereg widoków istniejących dotychczas najbardziej typowych dworów polskich na Litwie, jednocześnie zaś postaram się w najogólniejszym zarysie skreślić historję rozwoju budownictwa wiejskiego w naszym kraju.

* * *

Zaraz na wstępie zaznaczam, iż dwór polski na Litwie pod względem form niczem zgoła nie różni się od dworów wiejskich w innych kraju dzielnicach, nie wyłączając najdalszych kresów, co świadczy wymownie o jedności kultury naszej w wiekach ubiegłych. Jedyne różnice, jakie zachodzą, dotyczą tylko materiału budowlanego. Podobnie zaś jak cała kultura nasza pozostawała zawsze w najściślejszym związku z kulturami zachodu (tworząc li tylko jedną gałąź wyrosłą ze wspólnego pnia kultury klasycznej) tak budownictwo nasze wiejskie podlegało stale wpływom zachodnim, to też z łatwością w całości jak i w szczegółach wykazać możemy motywy zapożyczone z architektury zachodniej różnych epok i stylów, jako to gotyku, renesansu, barokko i empiru. Nieznaczy to jednak, abyśmy byli tylko naśladowcami wzorów zagranicznych. Przeciwnie, nasz przemysł domowy potrafił na swój sposób (często naiwnie) zużytkować motywy architektoniczne zachodu, odpowiednio do materiału naszego oraz innych warunków lokalnych, z tąd powstał typ dworu wiejskiego nowy, oryginalny, odmienny od tych, jakie znajdujemy poza granicami

naszego kraju, na zachód i na wschód, gdzie niesieł wpływ kultury naszej.

Zasłużony badacz budownictwa drzewnego Kazimierz Mokłowski w kapitalnej z kąd inąd pracy swej p. t. „Sztuka ludowa w Polsce“ stara się udowodnić, jakoby całe nasze budownictwo drzewne i nawet kamienne(!) rozwinęło się na podstawie budownictwa ludowego. Między innemi czytamy w rozdziale poświęconym „dworom i dworkom szlacheckim“ co następuje:

„Mieszkania ludowe były owemi długie wieki niewysychającym źródłem form zdobniczych i układów, istotne zrozumienie budownictwa znamiennego naszych klas wyższych, drobnomieszczaństwa, mieszczaństwa i szlachty, zawisłe jest w pierwszym rzędzie od dokładnego rozbioru dziejów tych niepozornych często ludowych budowli...”

„Trzeba bowiem zważyć, że tak jak w naszym społeczeństwie nie było gwałtownego skoku między magnatem i chłopem, a pomiędzy formacją chłopską i magnacką ciągnął się długi łańcuch stanowisk społecznych pośrednich, na władaniu ziemi opartych, który w drobnej szlachcie, dalej w dzierżawcach, szlachcie jednowioskowej i więcej wioskowej swoje ogniwa społeczne znajdował...”

„Stosownie do położenia gospodarczego i społecznego kształtowała się ta najbliższa funkcja życiowa ziemianina, jego dom rodzinny. Pomiedzy chatą zamożniejszego kmiecia a drobnego półchłopa szlachcica niezbyt wielka była różnica. Pokrewieństwo jest w każdym calu widoczne i silne. Dwór dzierżawcy lub dawnego właściciela kilka dymów znowu nie wielką odmianą odbijał od dworu p. Maćka nad Maćkami. Wyżej szedł dwór szlachecki Sopliców, aby wreszcie zakwitnąć murowanym zamkiem Heresków i na nim zakończyć swoją wędrówkę form.”

Mojem zdaniem w twierdzeniu powyższem kryje się błąd zasadniczy, wszelkie bowiem objawy kulturalne, a do takich w pierwszym rzędzie należy budownictwo, nie wychodziły od ludu, lecz przeciwnie od warstw najwyższych (duchowieństwa i szlachty) i stopniowo udzielały się warstwom niższym. Podobnie rzeki z dolin nie płyną ku wyżynom, lecz przeciwnie, w górach biorąc początek, ożywcza strugą spływają na niziny.

Nie znaczy to bynajmniej, aby między dworem szlacheckim a chatą wieśniaczą nic zgoła wspólnego nie było. Przeciwnie — cech wspólnych jest bardzo dużo i podobieństwo jest niezaprzeczane. Wspólne przedewszystkiem jest ich pochodzenie z czasów pierwotnych, kiedy nie było jeszcze różnic stanowych. Lecz dla tego właśnie, iż w owych odległych czasach przodkowie szlachty i kmieci stanowili jedną całość, mowy być nie może o spe-

cjalnie „chłopskiem” pochodzeniu budownictwa naszego, mieszkania swe wytwarzał jak umiał lud cały, a były to zresztą mieszkania niezmiernie prymitywne, bardzo podobne do mieszkań innych ludów, żyjących w podobnych warunkach klimatycznych i na tym samym niskim stopniu kultury. O jakimkolwiek „stylu” tych pierwotnych jaskiń czy szałasów oczywiście mowy być nie może.

Dalej tożsamość materiału — drzewa — zbliża znacznie chatę z dworem, jako i ta okoliczność, że obydwie — dwór i chata — wyszły z pod ręki tego samego cieśli wioskowego. Jednakże materiał i jednakowa nawet technika nie oznaczają jeszcze jednego stylu.

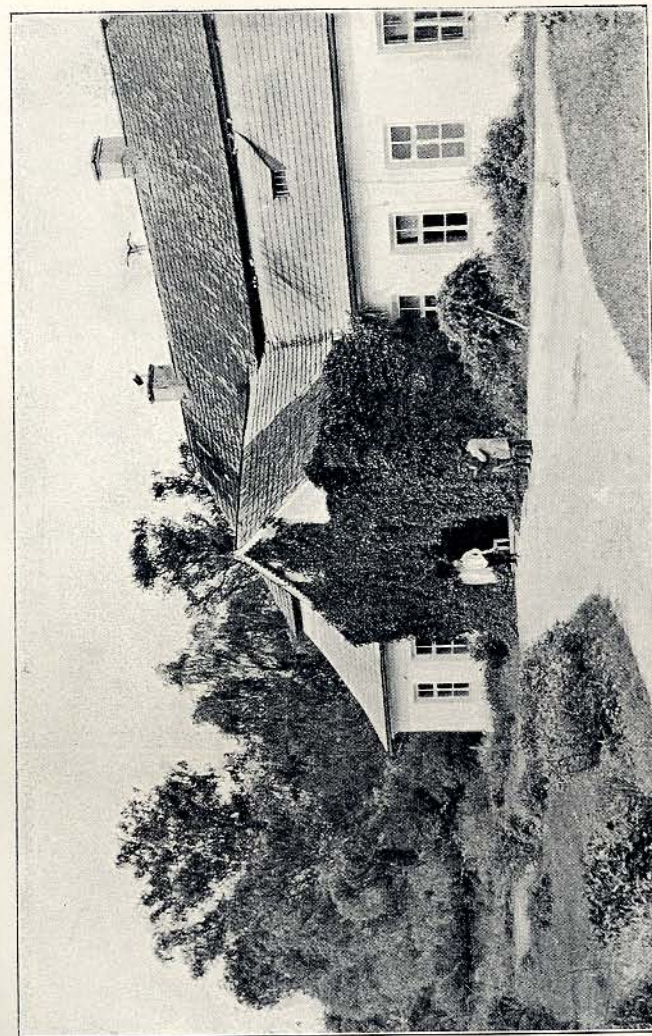
Z chwilą jak chata staje się dworem, podlega ona całkowicie wpływom idącym z góry, które nadają właściwy styl. Cieśla, aczkolwiek sam pochodzi z ludu, skoro buduje dwór, z umysłu unika motywów ludowych, przeciwnie stara się kopjować architekturę sąsiednich większych jeszcze dworów, pałaców lub zamków. Ztąd to pochodzi, że chata włościańska zachowała u nas dotychczas wygląd i typ pierwotny, niewiele odmienny od tego, jaki miała w czasach przedhistorycznych, podczas gdy dwór szlachecki rozwijał się stale i zmieniał swój charakter równoległe z rozwojem sztuki budowlanej na zachodzie. Jeżeli zaś mimo to znajdziemy czasem pod strzechą wieśniaczą motyw zdobniczy, podobny do tego, jaki widzieliśmy we dworze, w domu mieszczańskim lub w kościele, nie dowodzi to bynajmniej jego pochodzenia ludowego, przeciwnie, ten sam cieśla, który pracował przy budowie dworu, następnie budując chatę wieśniakowi, na własną rękę mniej lub więcej dokładnie powtórzył którąkolwiek ozdobę, jaką widział we dworze.

Natem spolega też błąd, jaki popełniają niektórzy artyści, starając się stworzyć styl „nowy” na podstawie zdobnictwa ludowego. Nieświadomie biorą oni od ludu te same motywy, które lud przed wiekami zapożyczył od stylów kulturalnych, na swój sposób po barbarzyńsku je przerobiwszy.

* * *

Na początku już zaznaczyłem, że żywot dworu wiejskiego u nas był krótkotrwały, rzadko przetrwał on więcej nad 200 — 300 lat. Przyczyną tego był zarówno materiał nietrwały jako też liczne wojny, zwłaszcza najazdy tatarskie, na jakie kraj nasz jako przedmurze chrześcijaństwa i kultury zachodniej narażony był.

Jak wyglądał dwór szlachecki w wiekach średnich o tem nie donosi nam żadne źródło. W każdym razie musiało się budownictwo wiejskie rozwinąć u nas bardzo wcześnie. Lud rolniczy, brzydzący się koczownictwem, jakim byli Polacy, bardzo wcześnie



Dwór w Ostaszynie pow. Nowogrodzkiego. Fot. amat. p. J. Bułhaka.

musiał odczuć potrzebę wygodnego, stałego mieszkania. W następstwie też wszystko sprzyjało rozwojowi dworu szlacheckiego, wiejskiego, w pierwszym zaś rzędzie to wielkie znaczenie, jakie życie wiejskie miało na rozwój naszego życia społecznego i politycznego, które też kulturze naszej nadało jej odrębny charakter.

We Włoszech n. p. zkaład tak pokrewnych nam kulturalnie, życie społeczne i polityczne rozwijało się i płynęło szeroką falą wyłącznie w miastach. Tu przedstawiciele rodów szlacheckich mieli swoje wspaniałe pałace, tu koncentrowały się: polityka, oświata, handel. Siedziba wiejska była tylko owem *tusculum*, gdzie po wyczerpującej pracy szukano chwilowego spoczynku i samotności.

U nas przeciwnie miasta zamieszkałe były przeważnie przez ludność napływową, niemiecką i żydowską. Wieś, oddzielona od miasta długimi i złymi drogami, prowadziła żywot odrębny. Tutaj, we dworze szlacheckim, wytworzył się nasz ustrój państwowy, tu zjeżdżali się sąsiedzi na sejmiki i narady, tu gotowano się na wyprawy wojenne. Musiał więc być dwór szlachecki dość obszerny by pomieścić licznych krewnych, powinowatych i sąsiadów z ich rodzinami i czeladzią. Musiał też być w miarę warownym by mógł chronić swych mieszkańców w razie niespodziewanego napadu. Na ogół co prawda przodkowie nasi niezbyt ufali swym drewnianym przeważnie basztom i ostrokołom, to też, o ile można, woleli w otwartym polu stawić czoło wrogom, kiedy zaś — jak w czasie najazdów tatarskich — opór był niemożliwy, chronili się z rodzinami w niedostępnych lasach, bagnach i uroczyskach. Gdy fala najeźdźcza cofnęła się, na zgliszczach dawnej osady prędko powstawała nowa, co wobec obfitości budulcabyło stosunkowo łatwe.

Przysłowie powiada, że Kazimierz Wielki „zastał Polskę drewnianą, zostawił ją murowaną”. Niewątpliwie jest w tem wielka przesada. Budownictwo nasze, zwłaszcza zaś wiejskie zarówno przed Kazimierzem jak później zawsze było drewniane, pod tym względem pozostaliśmy wierni tradycji aż do dni dzisiejszych. Złożyły się na to przyczyny rozmaite: w pierwszym rzędzie taniłość materiału drzewnego jako też obeznanych z ciesiołką rąk robotnych, gdyż każdy wieśniak od biedy umiał posługiwać się siekierą, nie brakowało też na miejscu majstrów, którzy byli artystami w swym zawodzie, podczas gdy kamieniarzy trzeba było przeważnie sprowadzać z zagranicy, z Niemiec.

W wyższym jeszcze stopniu niż te względy materialne wpływać musiała na budownictwo wiejskie tradycyna niechęć szlachty do murów kamiennych. Polak, zrodzony i wychowany na swobodzie, przywykły do szerokiego oddechu swych pól i łąnów zbożnych, do szumu swych lasów, nie lubił miast ówczesnych z ich

wązkami, krętymi uliczkami, stronił od zamków warownych, swym ponurym wyglądem przypominających więzienie. Ogólnie podzielano też obawę co do rzekonej szkodliwości domów murowanych dla zdrowia. Pogląd taki dotychczas dużo ma zwolenników wśród mieszkańców wsi, nie sposób też odmówić mu wszelkiej racji, zwłaszcza gdy się uwzględni wadliwą technikę naszego domorosłego kunsztu murarskiego, która jest przyczyną nieznośnej wilgoci w domach.

Mimo to, że drzewo było u nas zawsze uprzywilejowanym materiałem budowlanym, usiłowania Kazimierza Wielkiego, który szeroko otworzył wrota kulturalnym prądom zachodu, wywarły wpływ stanowczy na nasze budownictwo. Polska jest jedynym bodaj krajem, który posługując się przeważnie drzewem, nie wyrobił swego stylu drzewnego. Gdzie indziej, np. w Norwegii, widzimy swojski styl drzewny, nawskroś oryginalny i na wysokim stopniu rozwoju artystycznego, posiadają również swój oryginalny styl drzewny Szwajcaria, Węgry, Kroatja, osobno wymieniam Rosję, która w swym budownictwie drzewnym wykazuje przeważny wpływ wschodu, zmieszany z niektórymi pierwiastkami fińskimi.

Czy posiadała Polska kiedykolwiek swój narodowy styl drzewny? Dowodów na to nie mamy, przypuszczać jednak należy, że tak było istotnie, jeżeli nie był to styl wyrobiony, to przynajmniej były tego pewne zadatki. Mieli przecie przodkowie nasi za czasów pogańskich swoje świątynie, świątynie te były z drzewa i niewątpliwie bogato rzeźbami ozdobione. Świadczy o tem między innymi kronikarz niemiecki Ditmar, opisujący w następujący sposób świątynię Lutyków:

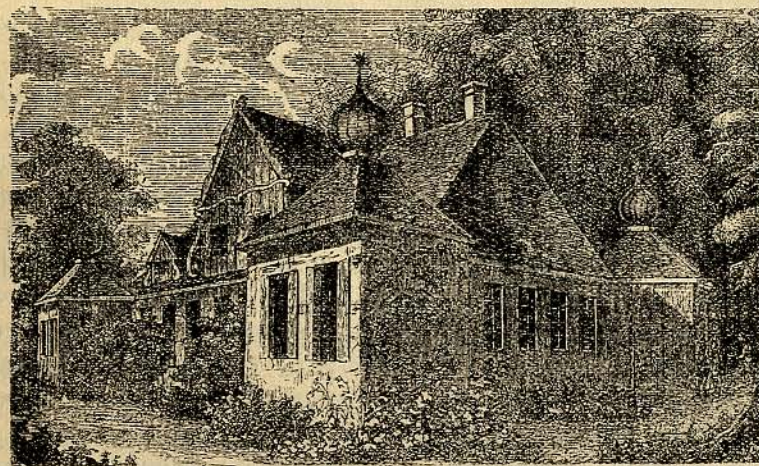
„Stoi tam świątynia, z drzewa artystycznie wyciosana, której zewnętrzne ściany są cudownymi wycinanymi obrazami bogów i bogiń ozdobione“.

Pierwotne to narodowe zdobnictwo drzewne musiało jednak ustąpić przemożnym wpływom zachodnim, zwłaszcza że jako sztuka par excellence pogańska i barbarzyńska zwalczane było energicznie przez ówczesne duchowieństwo. Niektóre pierwiastki owej „sztuki“ pierwotnej przechowały się dotychczas w naszym zdobnictwie ludowym, są to jednak wzory tak pierwotne, mało różniące się od ornamentacji ludów stojących na najniższym szczeblu kultury, że zaiste dużo trzeba fantazji aby z tych barbarzyńskich pozostałości wytworzyć „styl ludowy“, więcej jeszcze czelności aby na tem zasadzać dumę narodową.

W budownictwie kulturalnem naszych warstw szlacheckich i mieszczańskich owe pierwiastki narodowo-pogańskie zniknęły od dawna, jedno tylko co zachowało nasze budownictwo drzewne z czasów najdawniejszych, to sposób budowania „na zrąb“. Pod

tym względem tradycja miejscowa zwyciężyła, nie ustępując wpływom niemieckim, gdzie również często posługiwano się drzewem jako budulcem, gdzie jednak znano wyłącznie system ramowy.

Obydwa systemy zbyt ważne są w budownictwie drzewnem, aby im nie poświęcić kilka słów wyjaśnienia: System ramowy czyli tak zw. „des pans de bois“ składa się z ram i krzyżowań, przy czem miejsca puste wypełniano bądź to gliną, ceglami lub deskami. System taki umożliwia architektowi wszelkie urozmaïcenia, na ogół jest bardzo malowniczy i niewątpliwie pod względem artystycznym przewyższa nasz system wiankowy. Musiały być jednak ważne przyczyny, dla których budownictwo nasze, chętnie pod każdym innym względem naśladowujące wzory zagraniczne, na tym jedynie punkcie uporczywie trzymało się tradycji. Do tych przyczyn



Dwór stary, modrzewiowy w Czarnożyłach (z „Tygodnika Ilustrowanego“ r. 1863).

zaliczę przedewszystkiem warunki klimatyczne; domy budowane na zrąb niewątpliwie bardziej są ciepłe od ramowych, dalej w niektórych przynajmniej okolicach stać musiał na przeszkodzie brak odpowiedniego materiału. System ramowy bowiem wymaga drzewa twardego, dębu, podczas gdy u nas przeważa sosna i modrzew. Najważniejszą jednak przyczyną był brak odpowiednio wykształconych cieśli. Szlachta bogata, którą stać było na to, by z zagranicy sprowadzać majstrów, wolała budować pałace kamienne, podczas gdy szlachta uboższa wyłącznie liczyć mogła na siły krajowe, miejscowy zaś cieśla prawdopodobnie nie mógł dać rady z konstrukcją ramową, tembardziej, że i wzorów odpowiednich nie miał pod ręką.

Pozostał więc u nas system tak zw. blockhausowy, czyli wieńcówka, pierwotnie z pniów, później z kłoców ogładzonych, pozio-

mo leżących na sobie i wiązanych w zrąb przez zacięcia na węglach. Ten sposób układania belek wzdłuż, poziomo, sprzeciwia się wszelkiej strzelistości, on też nadał dworom naszym charakterystyczną sylwetę wydłużoną i przysadzistą.

To wszystko, co się rzekło, dotyczy jedynie ścian domóstwa, a te nie stanowią jeszcze stylu budowy. Nie wspomniałem jeszcze o trzech tak ważnych czynnikach jakimi są: ornamenta i wogóle wszelkiego rodzaju ozdoby, dach, oraz rozkład wewnętrzny. O dachu i rozkładach pomówimy niżej. Co się tyczy wszelkich ozdób stylowych, to na tem polu budownictwo nasze nic oryginalnego nie stworzyło, przeciwnie, stosowało się ściśle do kierunków panujących na zachodzie. Królowie i możni panowie sprowadzali z Włoch architektów a z Niemiec kamieniarzy, którzy kuli w granicie i w marmurze lub wyprowadzali z cegły i tynku ozdoby odpowiednio do wieku: gotyckie, renesansowe lub barokowe, cieśla miejscowy pilnie podpatrywał i budując dom szlachcicowi, te same ozdoby naśladował z drzewa. Jakkolwiek naśladownictwo było sumienne, jednak dzięki odmiennemu materiałowi i odmiennej technice i rezultat wypaść musiał nieco odmienny, i to był jeden z czynników, który naszym dworkom nadał charakter oryginalny, na wskroś swojski. Stało się to jednak nie z umysłu, przeciwnie, zarówno cieśla jak właściciel dokładali wszelkich sił, by jak można najdokładniej naśladować budownictwo kamienne. Wpływ zgóry tak był potężny, że budując z drzewa, szlachcic niemal się tego wstydził i wszelkimi sposobami starał się ukryć; w tym celu do budowy zamiast okraglaków poczęto używać kłoców, by nadać ścianom wygląd równy, jak gdyby były z cegły lub kamienia, dalej pobielano ściany na zewnątrz wapnem, nawet tynkowano je, to też rzeczywiście te „białe dworki“ robiły wrażenie murowanych, tylko nie zawsze udatnie z drzewa naśladowane ozdoby: gzymsy, kapitele, obramowanie okien, kolumnienki ganku, nawet sklepienia drewniane(!) zdradzały, że całość była z drzewa.

* * *

Jak wyglądał pierwotny dworek szlachecki za ostatniego z Piastów oraz za Jagiellonów — niewiemy. Z całą pewnością przypuszczać jednak możemy, że naśladował on (o ile pozwalał na to materiał — drzewo) ogólnie rozpowszechniony na onczas na zachodzie gotyk. Wobec niemożliwości naśladowania z drzewa sufitów sklepionych, ostrołukowych, powszechnie układano strop izby z belek podłużnych i poprzecznych desek. Podobne sufity znane były w budownictwie gotyckiem na całym zachodzie, u nas przetrwały do dni dzisiejszych pod nazwą „sufitów polskich“

Drewniany zrąb domóstwa nie pozwalał wprawdzie wyprowadzać ścian wysokich, natomiast dachy były wysokie i bardzo spadziste. Takie dachy przechowały się do tychczas w budownictwie ludu naszego na Podhalu i w niektórych bożnicach żydowskich (Bożnica w Zabługowie, gub. grodzieńskiej). Świadczy to o konserwatyzmie dwóch najbardziej zachowawczych u nas żywiołów: chłopa górala, żyjącego w odosobnieniu wśród swych gór niedostępnych, oraz żyda.

Spadziste gotyckie dachy przechowały się dotychczas w Niemczech w budownictwie wiejskiem i małomiasteczkowem. U nas mimo takiego sąsiedztwa daleko silniejszym był jednak kulturalny wpływ Włoch, który miarodajnym był dla nas zarówno w dziedzinie religii jak nauki i sztuki.

Z rozkwitem renesansu, którego potężną rzeczniką była u nas królowa Bona, znikają motywy gotyckie w budownictwie wiejskiem, znikają dachy spadziste, dwór wiejski stara się przystosować do nowych form architektonicznych. Niestety, ani w naturze ani też na rycinie nie przechował się do czasów naszych wzór dworu wiejskiego z XVI wieku, wszelkie zaś opisy, jakie podają inwentarze ówczesne, zbyt są ogólnikowe, zbyt mało plastyczne, abyśmy mogli mniej więcej dokładnie odtworzyć widok siedziby wiejskiej króla poetów w Czarnolasiu.

Najstarsze dworki jakie znamy pochodzą z wieku XVII, od nich też rozpoczniemy właściwy opis szlacheckiego gniazda wiejskiego.

Przedewszystkiem zwraca uwagę naszą dach — jest to ogromnie charakterystyczna i najważniejsza część dworku wiejskiego. Nie dziw; przy niskich, wydłużonych ścianach, dach wynosi co najmniej połowę, a nawet dwie trzecie ogólnej wysokości dworu i przykuwa oko swą szeroką płaszczyzną, podczas gdy ściany tonąc do połowy w cieniu okapu stanowią niejako tylko podstawę dachu.

Jako materiał do krycia używano od najdawniejszych czasów słomy, w niektórych zaś okolicach trzciny. Jak malownicze były takie dachy, zwłaszcza gdy się pokryły aksamitnym mchem zielonym — to dziś dopiero zaczynamy oceniać, gdy słoma całkiem wyszła z użycia, przynajmniej przy budowie dworów, gdyż właścianie na tym punkcie bardziej są konserwatywni. Co do trwałości, dachy takie nic nie pozostawiały do życzenia... o ile przedwcześnie nie stały się łupem płomieni. Ten właśnie wzgląd na bezpieczeństwo kazał z czasem całkowicie zaniechać dachów słomianych. O dachach dranicowych i gontowych wspominają już inwentarze XVI wieku, prawdopodobnie były one wcześniej jeszcze znane, dziś zaś w budownictwie wiejskiem pierwsze zajmują miejsce.

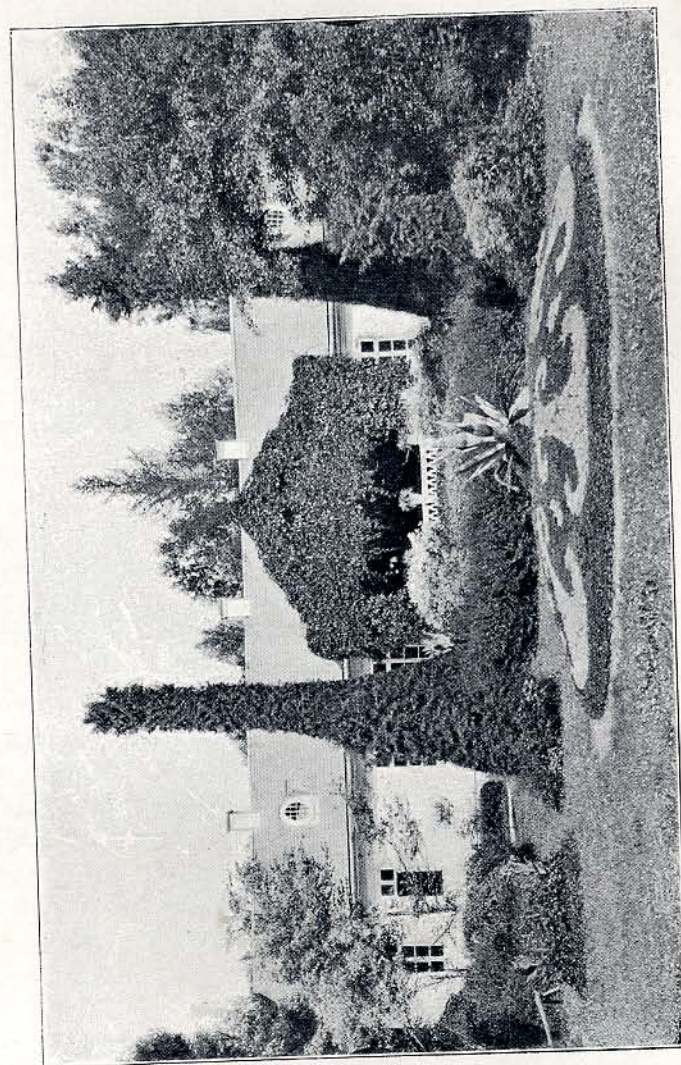
Najpiękniejsze niewątpliwie i najtrwalsze są dachówki, których również używano od bardzo dawnych czasów, przeważnie jednak do dworów murowanych i pałaców możniejszej szlachty. Dachy kryte blachą (żelazną), malowane olejno, dopiero w najnowszych czasach zaczęły się rozpowszechniać na Litwie pod wpływem „kultury” inżynierskiej; wyglądają ohydnie i nawet nie są praktyczne.

Formy dachu różnemi czasy różne bywały. Wspomnieliśmy już, że po bardzo spadzistych dachach gotyckich nastąpiły pod wpływem kultury włoskiej dachy płaskie. Widocznie jednak dopuszczano się pod tym względem przesady. Zbyt płaski dach nie odpowiadał klimatowi naszemu, obfitującemu w osady. Poczęto sarkać na nową modę, między innymi pisze Łukasz Górnicki w XVI wieku w swoim „Dworzaninie”:

„Kiedy naprzód ludzie budować poczęli, wywiedli na domiech wysokie dachy, nie dla tego, aby się dom zdał ozdobniejszy, ale iżby łatwiej deszczowa woda ściekać mogła a dach się nie kaził, a wszakoż ku temu pożytkowi i ozdoba przystąpiła, tak iż owe dachy, co je włoskimi zowią, a nie są i nie stoją by kominy, abo studnie nie pokryte, nigdy tej piękności, tego kształtu, ani pożytku nie mają...”

Stopniowo wrócono znowu do dachów spadzistych. Chociaż wysokości, jaką odznaczały się w wieku XIV i XV później nie dosięgły, przecie typowy dwór raczej wysoki niż płaski dach winien mieć. W wieku XVII, gdy wpływ włoski począł ustępować francuszczyźnie, pojawiają się dachy tak zw. „francuskie” czyli „mansardowe”, łamane o dwóch kondygnacjach. Dachy te stały się powszechne za czasów saskich i przetrwały do końca XVIII wieku, są bardzo malownicze i dla dworku polskiego wielce charakterystyczne. Na początku w. XIX ustąpiły znowu zwykłemu dachom; dziś widzimy je tylko na starych budynkach. Powrót do tego rodzaju dachów byłby bardzo pożądanym również ze względów estetycznych jak i praktycznych, gdyż pozostawiają znacznie więcej miejsca na poddaszu, które z korzyścią może być zużytkowane zarówno pod składy, jako też na pokoiki mieszkalne, zwłaszcza latem, dla gości, młodzieży przybywającej na wakacje i t.p.

Osobną uwagę poświęcić wypada szczytowi. Szczyt całkiem pionowy, z tarcic, niekiedy w ozdobnym układzie przybijanych, spotykamy wyłącznie w chatach włościańskich, dwór szlachecki nigdy podobnego szczytu nie posiadał, jeżeli nie liczyć najnowszych naleciałości. Dość rozpowszechnione były szczyty łamane, które nazywano też „pruskiemi”, dolna część ich pionowa, z tarcic, podczas gdy górna ścięta ukośnie, przykryta dachem. Najczęściej dwór nie posiadał wcale pionowych boków szczytowych, podobny był do wydłużonej piramidy, jak to widzimy na załączo-



Dwór w Rajcy pow. nowogródzkiego. Fot amat. p. J. Bułhaka.

nych rycinach. Nawiasem mówiąc, podobne dachy należą do najstarszych jakie ludzkość знаła, gdyż wywodzą się w prostej linii od namiotów i szałasów plemion koczowniczych. Obydwa opisane rodzaje szczytów równie są dla dworu polskiego charakterystyczne. Wszystko co się rzekło dotyczy tylko dwóch końcowych szczytów, gdyż pozatem miewał dwór szczyty mniejsze z przodu i z tyłu: po nad gankiem, facjatą, alkierzami, w ilości często pięciu lub więcej.

Kominów bywało zwykle dwa lub cztery, równoległe wzdłuż stropu rozstawionych, kilka okienek znakomicie ożywiało monotonną nieco płaszczyznę dachu.

Dwory bywały przeważnie jednopiętrowe, co jest zrozumiałem, jeżeli się zważy, że materiał drzewny, zwłaszcza przy naszym systemie wieńcowym, nie nadawał się do wyprowadzania zbyt wysokich ścian. Dalej względy oszczędnościowe bywały zwykle miarodajne przy budowie dworków, budowa drugiego piętra wymaga większych wydatków i bardziej wprawnych cieśli, podczas gdy kilkadziesiąt łokci więcej gruntu zajętego pod budowlę nie stanowiło żadnej różnicy. Zamiast więc aby się w górę pięć, rozszerzał się dworek wiejski poziomo. Nareszcie tradycje szlacheckie widocznie nie bardzo sprzyjały mieszkaniom kilkupiętrowym, skoro anonimowy autor „Krótkiej nauki budowniczey dworów, pałaców, zamków, podług nieba i zwyczaju polskiego“ z r. 1549 w ten sposób poglądy swe wyklada:

„O jednym pięttrze budynki mają swój wczas osobliwy z wielu przyczyn. Naprzód z tąd, że gdy ani nademną ani podemną nikt nie mieszka, żaden mi nie kołace i pod nos nie kurzy. Druga, że przestronne być mają takie budynki, bo cobym miał na drugie piętrołożyć materyi, dam na przestronność. Zwłaszcza, że ścian nie potrzeba tak mięjszych, jak dla drugiego piętra. Trzecia, że trwałe i do ruiny nie tak prędkie. Czwarte że łącznej inwencji nie trzeba wschodów wymyślać, które wielką trudność zwykły czynić, ani się po nich chodząc mordować. Nakoniec wiatrom nie tak podległe, a zatym i zimnu, na które w naszym septentrionie największy ma być respekt. Więc pozór swój przecie mieć mogą, zwłaszcza, gdy na wyniosłym miejscu dla prospektu i gdy dach do wysokości ścian proporcjonalny“.

Nie znaczy to jednak, aby wszystkie dwory wiejskie były jednopiętrowe. Zwłaszcza murowane zamożnej szlachty i magnatów przeważnie były dwópiętrowe, zaś średnio-zamożny szlachcic, naśladowując „pałacową“ architekturę bogatych, często z drzewa wznosił drugie piętro. Bardzo rozpowszechnione były też wszelkiego rodzaju facjaty, mansardy, piąterka i narożniki piętrowe, które znakomicie przyczyniły się do urozmaicenia ogólnej sylwety dworu.

Jądro dworu stanowił czworobok, bądź to znacznie wydłużony, bądź też do kwadratu przybliżony formy. Taki budynek niewątpliwie prostotą swych kształtów przypominał by stodołę, gdyby nie liczne przybudówki, alkierze, skrzydła. Charakterystyczną cechą dworu polskiego jest, że powstawał on i rozwijał się niejako odśrodkowo, często w ciągu kilku pokoleń, w miarę tego jak wzrastał ród, podnosił się dobrobyt, mnożyły potrzeby i wymagania. Dziad pobudował korpus środkowy, ojciec dodał narożne alkierze, wnuk rozszerzył je, dodał piętra, facjaty. Każda z tych części składowych nosiła cechy charakterystyczne zarówno epoki, w której powstała, jako też gustu oraz zamożności swego fundatora. Tym sposobem dwór był niejako kroniką żyjącą danego rodu, odmiennych losu kolei, jakie przechodził w ciągu stu lat lub więcej, a także wymownym świadectwem rozwoju ekonomicznego i umysłowego, kierunków architektonicznych oraz prądów kulturalnych, którym podlegał kraj i jego obywatele. Całość zaś była nader urozmaicona i w wysokim stopniu malownicza.

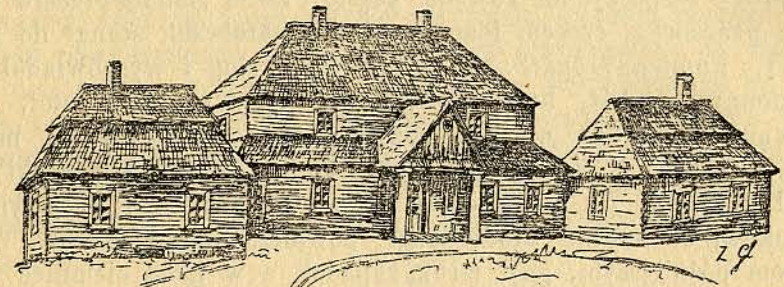
Najpospolitszym dodatkiem były alkierze narożne, jakie widzimy na załączonym rysunku dworu modrzewiowego w Czarnozylach, lub starego dworu w Kowalewsczyźnie (Rysunek nasz niezbyt wyraźnie uwypatnia te alkierze). Takich narożników miewał dwór cztery, częściej zaś dwa. Były one niewątpliwie pozostałością dawnych baszt, gdy dwory dla częstych napadów wznoszono warowne. Z czasem straciły całkiem znaczenie obronne, mimo to powtarzają się stale nawet w XIX wieku, co świadczy wymownie o wielkiem znaczeniu tradycji w naszym budownictwie wiejskiem.

W miarę potrzeby rozszerzano alkierze, wtedy tworzą one osobne skrzydła, jak to widzimy na rysunku przedstawiającym stary dwór polski w Jackowszczyźnie, w ziemi Grodzieńskiej. Nie na tem jeszcze koniec: ilość, rozmaitość tych przybudówek jest wielka a charakter ich nader różnorodny. Nie pośmiał by szlachcic, jeżeli nawet znacznej dochrapał się fortunki i urząd wysoki piastował w powiecie, zburzyć zbyt ciasny dworek ojcowski, — gdy ten niewystarczał zwiększonym potrzebom bardziej wystawnego życia i warunkom szerokiej gościnności — a na jego miejsce nowy, obszerniejszy wystawić. Do takiego kroku zmuszała go chyba ostateczność, gdy stary dworek stał się łupem płomieni, lub do tego stopnia podupadł i spróchniał, że naprawa była niemożliwą. Na ogół zaś zaradzano w ten sposób, że dorabiano bez końca alkierze, skrzydła, do skrzydeł nowe alkierze, przejścia, facjaty, galerje, krużganki, często gęsto bardzo dowolnie, bez planu i symetrii, jak chwilowa potrzeba, moda i fantazja właściciela dyktowały, jak pozwalały warunki terenu. W taki sposób

powstawał kompleks budynków połączonych z sobą, bynajmniej nie jednolity, lecz mimo pewną ekcentryczność wielce malowniczy i typowy, jak o tem świadczy np. piękny dwór w Rusinowiczach gub. mińskiej, którego podobiznę załączamy.

Scian dworu, póki były nowe, niczem na zewnątrz nie pokrywano, dopiero gdy postarzały, „kożuchowano“ je tynkiem i bielono.

Niezmierzennie typową częścią każdego dworu polskiego jest ganek. Początkowo, t. j. do XVI wieku dwory, zwłaszcza szlachty uboższej, obchodziły się bez tego dodatku, natomiast już w XVII wieku staje się on powszechnym do tego stopnia, iż dziś wystawić sobie dworek wiejskiego bez tego upiększenia niepodobna. Ganki zwykle bywały drewniane, nawet w tych razach, gdy dwór był murowany. Również jak sam dwór raczej oryginalnym, na



Stary dwór w Jackowszczyźnie w ziemi Grodzieńskiej (Z „Budownictwa drzewnego”. Z. Glozera).

wskroś swojskim kształtem nas zachwyca, niż bogactwem ozdób, tak ganek odznaczał się skromną prostotą, mimo to posiadał dużo wdzięku. Lekki daszek, oparty na dwóch lub czterech kolumnkach, ze szczytem prostym, jak np. w „Mazurach“ w mińskiem lub w Jackowszczyźnie, w ziemi grodzieńskiej, lub też ze szczytem barokowym, jak np. w Paplinie na Mazowszu. Dodać wypada, że podobne szczyty barokowe rzadkie są na Litwie, natomiast pospolicie trafiają się w innych kraju dzielnicach. Niezbędnym dodatkiem, bez którego nie obchodzi się żaden ganek, jest to okap, umieszczony od czoła, poniżej szczytu, przykryty zwykle gontami lub dranicą. Bez tego okapu ganek traci swój polski charakter. Okienko w szczycie jest zarazem ozdobą i służy dla oświetlenia poddasza. Słupki, na których opiera się daszek, bywały ozdobne, przeważnie graniaste, rzeźbione, od początku XIX wieku, pod wpływem empiru poczęto robić okrągłe, równe, zwykle wybielone, naśladujące naiwnie klasyczne kolumny marmurowe świątyń greckich. Ganki oszkłone pojawiają się w czasach saskich, nosząc przeważnie wyraźne cechy boroku.

Znaczenie, jakie miewał ganek, po mistrzowsku opisał J. I. Kraszewski, niezrównany znawca życia wiejskiego, w swej powieści „Komedjanci“:

„Ganek dawniej u szlachcica w ciepłą roku porę był najulubieńszem jego schronieniem; nie było tu duszno jak w izbie; widać z niego całą gospodarę, bo często i łany, a zawsze drogi i ścieżki, całe obejście gospodarskie, gumna, obory i folwarczne budowle. W ganku łatwiej znalazł pana wieśniak, rozmówił się z jegomością przechodzący ekonom; sam jeden siedząc, nie był samotnym, wzrok jego czuli wszyscy. Bocian mu klekotał na starej olsze, rżały w stajence koniki, gruchały gołębie, a z sąsiedniego kościoła dzwonek godziny dnia przypominał. U nóg dziedzića legiwał stary Rozbój, towarzysz jego ilekroć pieszo za próg domu się ruszył. Często Brzozosia wyszła z przeciwka i stanąwszy na progu rozpoczynała gawędę, często Frania siadała przeciw niego z pończochą, czasem idący ze stajni parobczak stanął do rozmowy, gumieny sparł się na chwilę o słóp i wypowiadał się z dziennych robót, których doglądał. Tu wyniósłszy stół, nakrywano nieraz do obiadu, podwieczorku, wieczery; tu miały miejsce obrady wiejskie, którychby ciasny domek szlachecki nie objął, gdy cała na nie stoczyła się ze wsi gromada; tu przyjęcie wianków, odbieranie włóczębnego, powinszowania i prośby... Wieczorem późniejszym, gdy mrok zapadał, a w izbie ciemnieć poczynało, stary Sodalis marianus z książeczki mógł czytać jeszcze w ganku i domówić resztę pacierzy — a tak dzień w ganku upływał wesoło...”

Jakkolwiek dwór szlachecki odpowiadał przeważnie potrzebom praktycznym, jakkolwiek prostota życia i obyczajów przodków naszych nie pozwalała na zbytnią ozdobność, przecież nie brakowało już w XVII wieku dworów wspanialszych, o bogatej artykulacji, z „wystawami“, galerjami, „loggiami“ lub wykuszami, z podcieniami misternej, chociaż ciesielskiej roboty, z wieżyczkami, kopułami, pod dachem kunsztownej czasem struktury z „czterema wierzchami“ z „gwiazdami“ i „karczochami“ zdobąciami szczyty i przyczółki. Dwory takie swym oryginalnym i prawdziwie artystycznym wyglądem budziły zachwyt nawet u podróżnych cudzoziemców, francuzów, którzy w pamiętnikach swych szeroko rozpisują się o „wspaniałej polskiej sztuce ciesielskiej“.

Do szczytu rozwoju swego dochodzi dwór nasz w wieku XVIII, to też mówiąc na ogół o „storopolskim dworku“ zwykle ma się na myśli borokowy typ jego. Na początku wieku XIX empir obdziera dworek nasz z malowniczych ozdób barokowych, pozostawia natomiast charakterystyczne proporcje, rozszerza ganek, nadając mu charakter greckiego portyku.

Następująca doba romantyzmu nie minęła, nie pozostawiwszy pewnych śladów na budownictwie wiejskiem. Gdy po burzliwych latach epopei napoleońskiej nastąpiło głuche zaciśnięcie pod wpływem reakcji, która zapanowała nad całą Europą, umysł ludzki, nieznajdując zwykłego ujścia w życiu społecznym i politycznym, zwrócił się ku przedmiotom fantastycznym i odległym, szczególnie pociągały ku sobie wieki średnie, owa epoka ciemna, zmała zbadana, nęcąca czarem tajemniczym przeczulone zwłaszcza natory. Kult średniowiecza nie pozostał w ramach literatury nadobnej, romanów rycerskich i balad, niebawem miał on przybrać kształty bardziej realne, chociaż niewątpliwie nieco butaforskie. W romantycznych zakątkach parku poczęto wznosić sztuczne ruiny gotyckie, nawet budynkom gospodarczym, śpichrzom, stajniom i t. p. starano się nadać wygląd zamków niby-gotyckich. Oczywiście tylko bogatsi mogli sobie pozwolić na taki zbytek. Fałszywie pojęty romantyzm najmniej może dał się we znaki dworom naszym, a to dzięki powszechnemu na on czas jeszcze przywiązaniu do tradycji, do ustalonych wiekami form. Nie obeszło się wprowadzić tu i ówdzie bez arkad i ostrołuków gotyckich, naiwnie z drzewa naśladowanych i najniepotrzebniej przyłatanych bądź to wewnątrz bądź na zewnątrz dworku wiejskiego, na ogół jednak moda minęła dość prędko, nie zmieniawszy jego ogólnego charakteru.

* * *

Zanim przekroczymy próg domostwa szlacheckiego, warto na chwilę rozejrzeć się wkoło, nieco uwagi poświęcić jego pozycji:

„Najwcześniejsza tedy — czytamy w „Nauce budowniczej“ — albo równina, albo niewielki pagórek z prospektem wesołym“.

Decydująco na wybór placu pod nowy dwór wpływały za zwyczaj trzy względy: po pierwszą: obronność miejsca. Jakkolwiek warunek ten dość dawno stracił rację bytu, przecie tradycyjnie niewątpliwie starano się zachowywać go, jeżeli nie dla obrony przed tatarami i szwedami, to przynajmniej w obawie przed szlacheckim zajazdem sąsiada. Do naszych czasów przechowały się jeszcze niektóre stare dworki opasane w koło jakim takim wałem, ostrokołem i fosą. Wzgląd drugi był estetyczny, aby dwór z daleka był widoczny i malowniczo się przedstawiał. Wobec niskich rozmiarów dworu tylko naturalna wyniosłość gruntu mogła mu nadać pewien pozór. Trzeci nareszcie wzgląd, najważniejszy pono, natury praktycznej: aby z okien dworu lub z ganku można było okiem objąć całe gospodarskie obejście, budynki folwarczne a także, o ile można, jak największą część pól przynależnych do dworu. Nie rzadko stawiano jednak dwory w dolinie, zwłaszcza jeżeli zatem przemawiała bliskość rzeki lub jeziora.

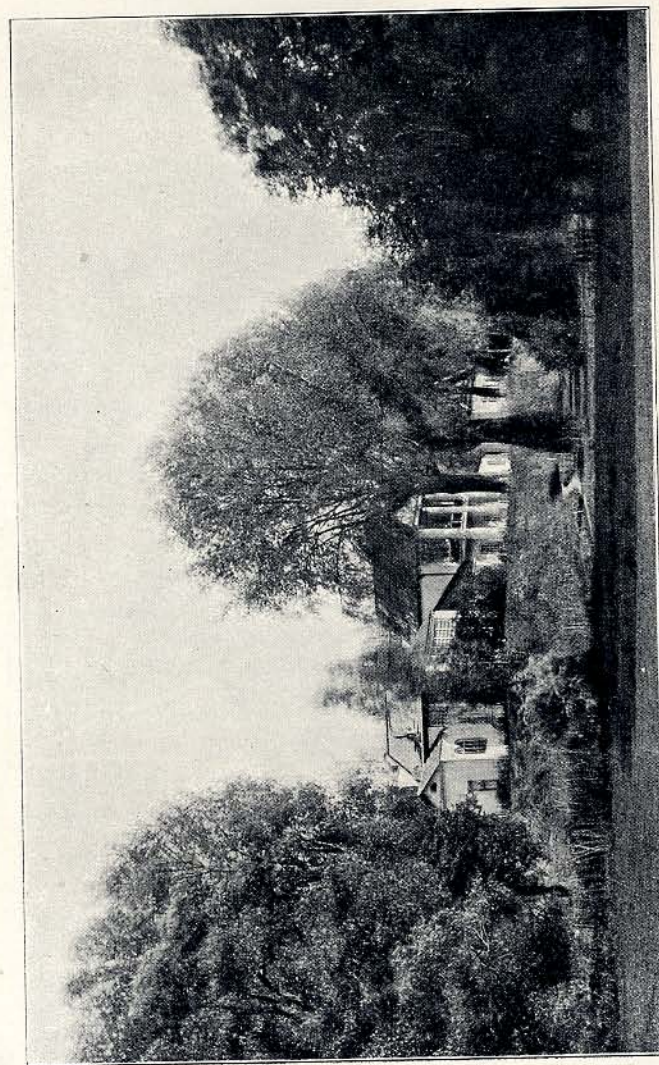
Zwyczajem staropolskim przestrzegano pilnie, aby dwór był budowany „na jedenastą godzinę”, t. j. aby jego fasada frontowa miała pełne słońce w tej porze dnia, gdy ono nie dobiega jeszcze południa. Tym sposobem wszystkie strony domu miały słońce o pewnej porze dnia.

Zasadnicza różnica zachodzi co do położenia chaty chłopskiej i dworu: podczas, gdy chata przeważnie szczytem obrócona jest ku drodze, dworek wiejski, najbiedniejszego nawet szlachcica zaściankowego, obraca się frontem ku bramie wjazdowej.

Za domem z reguły bywał owocowy ogródek, gąszcz wiśniowy, nieduża pasieka, słowem to wszystko, co służy ku miłemu wczasowi, natomiast przed domem było typowe gospodarcze podwórze. Rozłożysta lipa, dając cień latem, nie zasłaniała jednak „prospektu”; moda zasadzania podwórza gęstymi klombami drzew i krzewów na wzór niby parku angielskiego w zmniejszeniu, zapanowała dopiero w pierwszej połowie zeszłego wieku, również pod wpływem romantyzmu i bajronizmu. Gorzko narzekali na te nowinki praktyczni gospodarze starej daty, co nader wymownie potwierdził Ignacy Chodźko ustami swego „Kwestarza”:

„Na dziedzińcach przedtem równych, czystych i zielonych, teraz zasadzają krzaki rozmaite, gęsto a w nieładzie, tak że choć tam budy staw na cietrzewie. Gdybyż to tylko u możnych panów, to z Panem Bogiem, oni mają komu dopatrzeć ich gospodarstwa, ale brat szlachcic stroi swój dziedzińczyk w pląby czy kłąby (bo dalibóg niewiem dobrze jak tam te zarośłe po modnemu nazywają) i widzieć nie można z domóstwa swojego ani swej czeładki, ani swej stodoły ani swojego spichrza; a imość dobrodziejka jakby zrzekła się widoku swych krówek, swych gęsi, kaczek i indyków, na które wszakże dobrze patrzeć by powinna, zasłania je lasem, wązkie tylko w nim wycinając ścieżki, które jeszcze z pańszczyzny wyczyszczać i piaskiem żółtym wysypywać po trzeba”.

Moda taka przetrwała znacznie dobie romantyzmu, w wielu majątkach na Litwie dziś jeszcze widzimy w środku dziedzińca przed dworem krąg z drzew liściastych i krzewów, które z biegiem lat rozrosły się i tworzą często gąszcz nieprzenikniony, kędy nawet promień słońca z trudem może się prześlizgnąć, mimo to posiadają one swój wdzięk niewątpliwie, to też ze wszechmiar chwalebnym jest konserwatyzm tych właścicieli, którzy wbrew nowej modzie nie decydują się wyciąć drzew sadzonych ongi może ręką ich dziadka-„bajronisty”. Na ogół atoli uznano dziś, że nie należy zasłaniać widoku dworku, to też gąszcza romantyczne ustępują stopniowo bądź to równym, kobiercowym trawnikom, bądź kłębom kwiatów. I w danym razie motywem jest raczej mo-



Dwór w Rusinowiczach pow. Mińskiego. Fot. anat. p. Janusza Unichowskiego.

da chwilowa i chęć naśladownictwa, niżeli praktyczno-gospodarskie względy.

* * *

A teraz: „niech będzie Imię Chrystusa Pana pochwalone“ — przestąpmy próg szlacheckiej siedziby.

Zaraz na wstępie wita nas napis wycięty na belku:

„Boże, ci ludzie, którzy tu bywają

Czego nam życzą, niech to sami mają“.

Z wdzięcznością przyjmujemy takie życzenia, gdyż i nasze nawzajem chęci dla tego domu i dla jego mieszkańców są jak najszersze. Sądzę, że nie odmówią nam tu gościny, nie pusta bowiem ciekawość przywiodła nas pod tę strzechę, ale cześć głęboką dla tego staropolskiego gniazda, dla jego przeszłości i tradycji, dla obyczaju, który tu panował. Warto się rozgościć i przyjrzeć wszystkiemu po trochu: i ścianom i kątom i sprzętom... Podobno jak człowieka nie należy sądzić wyłącznie z ubrania, tak szata zewnętrzna dworku naszego ulegając też stale wpływom zewnętrznym, nie jest w tym stopniu charakterystyczna jak jego wnętrze. „Bliższa koszula ciała, niż kaftan“ najbliższe zaś człowieka są te ściany, które zamieszkuje, tu na każdym kroku stawia ślady swych upodobań, rozwoju umysłowego, trybu życia, nawyknień. Tym sposobem mieszkanie nasze ze wszystkimi dodatkami, meblami i sprzętami począwszy od biurka pana domu, kończąc na szczoteczce od zębów, jest niejako summa naszych potrzeb życiowych, towarzyskich, umysłowych i estetycznych. Badając wnętrze dworku szlacheckiego, poznajemy życie domowe, zwyczaje i obyczaje tych pokoleń, które tu żyły, a zatem obraz rozwoju kulturalnego tej warstwy szlacheckiej, tak licznej u nas, której wpływ na cały rozwój historii naszej był decydujący.

Dwie były charakterystyczne cechy umysłu szlacheckiego: poczucie korporacyjne a jednocześnie wybitny indywidualizm. Cechy niby wręcz przeciwne, mimo to umiano je znakomicie godzić. Dzięki temu właśnie instyktowi korporacyjnemu, czyli stadnemu, cały stan szlachecki tworzył niejako jedną rodzinę; tytuł „panie bracie“ niebył czczym frazesem, fałszem towarzyskim, gdyż braterstwo z krwi i ducha, z wyglądu, wierzeń i obyczaju łączyło całą szlachtę ze wszystkich kraju dzielnic. Jednakże był typ, strój, jednaki sposób życia i otoczenie.

Jeżeli wspomnieliśmy o indywidualności szlacheckiej, to była to również indywidualność zbiorowa, czyli kastowa, która oddzielała cały stan szlachecki od reszty kraju mieszkańców.

Dzięki tym właśnie przymiotom szlachty, nasze dworki ziemiańskie, zwłaszcza co do wewnętrznego ich urządzenia były niez-

miernie podobne do siebie, jednocześnie zaś różniły się zasadniczo zarówno od chat wieśniaczych jako też od domów zamożniejszych mieszczan. Nieznaczy to, że wszystkie dwory podług jednego planu były budowane, przeciwnie, różnaitość na tym punkcie panowała wielka, wszystkie jednak co do cech zasadniowych mają charakter wspólny, gdyż wspólna myśl, jednakie potrzeby miarodajne były przy budowie.

Przedewszystkiem należy nam zwrócić uwagę na rozkład pokoiów dworku szlacheckiego. Przekroczywszy próg domóstwa, na wstępie znajdujemy się w sieni, jest to najobszerniejsza z izb, zarazem najbardziej typowa. Sień dzieliła całe domóstwo na dwie części, zajmując cały jego środek. Od przodu miała wejście z dziedzińca, naprzeciwko zaś wyjście do ogrodu, po obu stronach na lewo i na prawo drzwi do dalszych apartamentów. Ściany sieni pokrywały zbroje, rozwieszone na kołkach, przyrządy łowieckie, siecie, trofea wojenne i myśliwskie, często wisiały tu portrety antenatów, wzdłuż ścian biegły ławy malowane, komin potężnych rozmiarów oświecał i ogrzewał.

Wspomnieliśmy już na wstępie, że całe nasze życie społeczne rozwinęło się na wsi, do tego więc musiał być dostosowany dwór szlachecki. Sień była niejako częścią reprezentacyjną tego dworu. Tu więc przedewszystkiem odbywały się sejmiki, tu w razie niespodzianego napadu na alarm gromadziła się czeladź, chwytając za broń i pod dowództwem pana domu gotowała się do odparcia najeźdźców. Lecz mimo częstych niebezpieczeństw, mimo napadów szwedzkich, tatarskich, kozackich, kronika dworu szlacheckiego nie składa się wyłącznie jeno z kart krwawych, przeciwnie, po niebezpieczeństwach następowały lata całe słonecznego spokoju. Wtedy bujnie rozwijało się życie towarzyskie: odwiedzinom, zabawom, kuligom nie było końca. Grunt zaś, że dobrą i złą dolę, chwile największego niebezpieczeństwa i szalonej zabawy spotykano z tym samym niezrównanym animuszem. Szlachta szła na bitwę jak w tan, ale też tańczyła ogniście, jak gdyby zamiast domorosłej kapeli sto armat im grało... a wiory leciały z dębowej posadzki. Jako najprzystrojnniejsza ze wszystkich komnat dworu — sień najbardziej nadawała się do tanecznej zabawy. Tu stawały pary do „polskiego“, z wolna a posuwicie przy szeleście robron i kręceniu wąsów rozwijał się wąż taneczny, drzwiami w lewo, w prawo, przez wszystkie dworu komnaty i sale, pokoje, izby, izdebki, galerje, komory, alkierze, znowu z powrotem do sieni. Następnie, gdy starsi zasiedli do kielichów, tu młodzież bardziej skocznym oddawała się tanom, prowadziła wdzięczne reje i firleje, tańczyła „galarde“ i „gonionego“.

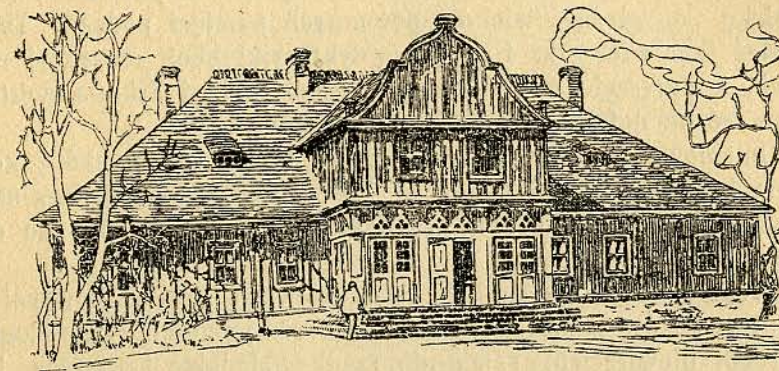
Gdy zaś wśród zabawy świątecznej nagle gruchnęła wieść, że

kraj w niebezpieczeństwie, nigdzie indziej jeno tu do wojennej szykowano się wyprawy, ze ścian zdejmowano zbroje, czyszczono i przymierzano, ostrzono szable, lano kule z ołowiu.

W czasach pokoju tu młodzież wprawiała się do szabli lub czyniła przygotowania do łowów.

Sień była miejscem wszystkich uroczystości rodzinnych i festynów: tu odbywały się zrzękowiny, wesela, chrzciny. A kiedy szlachcic dokonał pocziwego żywota, tu w pośród sieni, gdzie dzieckiem igrał, gdzie jako młodzian w płas prowadził swą bohdankę, gdzie jako dojrzały mąż z sąsiadami sejmikował — spoczął na katafalku. Gdy pochowano zwłoki na pobliskim cmentarzu, krewni, domownicy i przyjaciele tu w sieni wyprawiali stypę.

Bywała w prawdzie w każdym większym zwłaszcza dworze osobna jadalnia, gdy ta jednak licznych gości pomieścić nie mo-



Dwór w Paplinie na Mazowszu. Rys. Szyski-Bohusza. (Z „Budown. drzewn.“ Z. Glogera).

gła, ustawiano w obszerniejszej sieni rzędami stoły i tu ucztowano. Na noc zaś, sprzątnawszy stoły i zydle, zaścielano sień całą sianem wonnem i podczas gdy dostojniejsi goście udawali się na spoczynek do pokoiów „przyjacielskich“, młodzież spała tu pokotem.

Z czasem, w miarę jak się zmieniały obyczaje, rozdzielono sień na dwie części. Pierwsza od podwórza, była tak z włoska nazwana „anticamera“ czyli przedpokój, gdzie szeregiem wzdłuż ścian siedzieli hajdacy, gwarząc z cicha lub drzemiąc w oczekiwaniu swych panów. Druga zaś połowa dawnej sieni, większa, położona od strony ogrodu, przekształciła się na „salon“ i tu się odtąd koncentrowało życie towarzyskie.

Sień dawna, jak wspomnieliśmy, dzieliła całe domóstwo na dwie połowy, jedna była męzka i czeladna, druga zaś przeważnie „białogłowska“. Na lewo zaraz wchodziło się do „kancelarii“, tu niepodzielnie panował gospodarz, zaś jejmość rzadko tylko przys-

tęp miała do tego sanktuarjum. Przy drzwiach wisiała tu ampulka z wodą święconą, a na sarnich rogach klucze od śpichrza, wozowni, lamusa i piwnic. Tuż szafka z półkami do zachowania regestrów gospodarskich, przy oknie kantorek, na nim oprócz przyborów piśmiennych pierwsze miejsce zajmował kalendarz oraz sporych rozmiarów księga „dyarjuszem“ zwana. Tu bez różnicy zapisywano najważniejsze wypadki tak z życia publicznego jako też prywatnego, więc daty zwycięstw, koronacyj, sejmów, jako też dni urodzin, wesela lub śmierci bliższych lub dalszych krewnych i przyjaciół. Tu zapisywano mowy sejmowe a także „mowy aktom weselnym i pogrzebowym i różnym powinszowaniom służące“ jako też kazania głośnych w swoim czasie złotoustych „których ozdobnej wymowie ten cud przyznawano, że sławę Ciceronów i Scipjonów wskrzeszoną w osobach swoich wystawili“, a to aby „celniejszych polskich Krasomówców od zguby windykować“ i swadę polską „do głośnej wieków potomnych pamięci podać“. Dalej znalazłeś tam wierszyki i zabawne dykteryjki obok sentencji moralnych, a nareszcie spostrzeżenia gospodarskie i arkana doktorskie na różne defekta tak ludzkie jak końskie.

Umebłowania kancelarji dopełniało proste łóżko, skórą końską przykryte; tu sypiał jegomość wtedy, gdy nie dzielił łoża małżeńskiego. Na tej połowie dworu były pokoje synów, a także domowej, męskiej czeladzi.

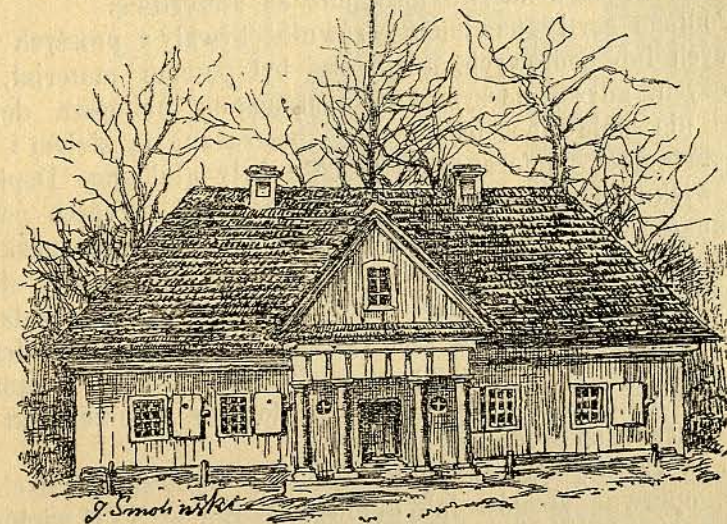
Druga połowa dworu była „białogłowska“, tu obok wspólnej sypialni rodziców mieścił się „fracymier“ jejmości, gdzie doglądała robót niewieścich, sama nie rzadko siadając za krosna lub trudniąc się przędziwem. Dalej tradycyjna „apteczka“, sanktuarjum pani, gdzie obok najrozmaitszych smakołyków, owoców, pierniczków i nalewek znalazłeś też moc dryakwi i ziółek leczniczych od wszelkich słabości. Panieński alkierzyk córek wypełniał tę połowę dworu.

Dalsze apartamenta mieściły się zwykle w skrzydłach. Więc przedewszystkiem pokoje gościnne, które ze względu na rozwinięte życie towarzyskie na wsi były niezbędne i stanowią charakterystyczną cechę dworu polskiego. Toć już w „nauce budowniczej“ czytamy: „Pod tymże dachem ma być apartamencik przynajmniej o paru pokojach i komorą z ustępem dla gościa zacnego gdy się trafi. Bo prowadzić go pod inszy dach, przez podwórze nie kształt i nie polityczna dyskrecja. Samemu zaś z izb swych ustępować i rumować się ze wszystkim, niewczas srogi.“ Niemniej charakterystyczną cechą życia wiejskiego szlachty w wiekach ubiegłych stanowili tak zw. rezydenci i rezydentki, tem liczniejsi im dwór był bogatszy. I ci zwykle mieszcili się na skrzydłach lub na piąterku. Kuchnia tworzyła zazwyczaj osobny budynek i pod

osobnym dachem, połączony z głównym dworu korpusem jeno wąską galerją lub kurytarzem, a to dla nieznośnego faetoru, który tam panował. „Bo w Polsce kuchnia być nie może ochędożna, dla tego, że w niej siła warzą, siła pieką, siła smażą kur, gęsi prosiat, carnificina sroga.“

Wszystko to są typowo polskie cechy, które też wpłynęły na ukształtowanie się dworu wiejskiego. Jeżeli dodamy, że przy pobożności przodków naszych, nierzadko szlachcic, zwłaszcza bogatszy, w osobnym skrzydle miewał domową kapliczkę, a przy kaplicy zakrystję oraz apartamencik dla ks. kapelana, łatwo w umyśle odtworzymy całość takiej siedziby, wielce urozmaiconej a zarazem na wskroś swojskiej, staropolskiej.

* * *



Dwór stary w Mazurach pod Lachowiczami gub. Mińskiej.
(Z „Budown. drzewn.“ Z. Glogera).

Podobnie jak ściany i dach, tak też i części wewnętrzne dworu były wyłącznie roboty ciesielskiej. O sufitach wspomniałem już, że znano tego rodzaju tylko, które dziś powszechnie „polskimi“ nazywamy i które stosunkowo dość często jeszcze spotkać można na Litwie. Jest to właściwie powała z desek ułożonych na belkach poprzecznych, belki zaś z kolei oparte na potężnym balu wyciosanym z olbrzymiego modrzewia, który nazywają siostrzanenem, w innych zaś okolicach sosrębem. Na tym siostrzanie cieśla zwykle wyrzynał rok budowy, krzyż, Imię Zbawiciela i Bogarodzicy, czasem jaką moralną sentencję, niekiedy zaś, chcąc kunszt swój wykazać, majster wyciosał herb dziedzica. Nieznaczy to, aby w Polsce jedynie ten rodzaj pułapów był znany,

bynajmniej, zwłaszcza za Sasów rozpowszechniły się sufity z bogatymi sztukaterjami, a nawet zwierciadlane, ale to tylko w pałacach wielkopańskich, dworki szlacheckie pozostały wiernie tradycji i dopiero w XIX wieku spotykamy sufity t. zw. „podrzućcane”, t. j. tynkowane wapnem.

Mojem zdaniem atoli stare „polskie” sufity niewątpliwie piękniejsze, zapewne też tańsze i praktyczniejsze, przeto jaknajbardziej zasługują na rozpowszechnienie. Dodać jeszcze wypada, że belki pułapu w dawnym dworze odgrywały nieraz rolę w tradycjach rodzinnych. Były albowiem między nimi szczęśliwe i złe. Pod którą w sypialni rodziła się zdrowo i pomyślnie dziatwa lub młoda córka odebrała wyznanie od pożądanego konkurenta, pod którą pan domu otrzymał pomyślną wiadomość o walnem zwycięstwie — ta belka uchodziła następnie za szczęśliwą.

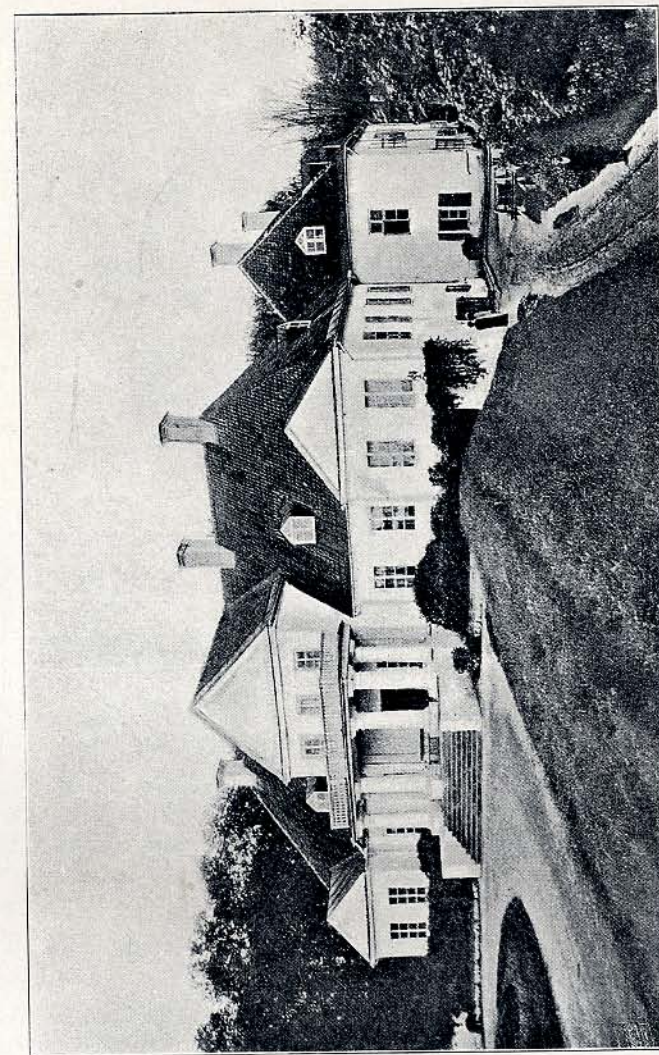
Podłoga czyli „pawiment” również bywały z prostych tarcic, sosnowych lub jodłowych, gdzie zaś był potemu materiał, więc i dębowych, gdyż „naszym kowanym nogom najlepsza dębina”. Podłogi nie malowano, lecz w lecie potrzęsano ją zieleń i kwiatami, zwłaszcza majeranek i goździki były ulubione. Dopiero w XVIII wieku rozpowszechniły się w bogatszych dworach posadzki „w arkusze” lub „tabulatury”, odpowiadające naszym parkietom.

Grubej, ciesielskiej roboty były też drzwi, obracały się one przeważnie na drewnianych wieszach, zamykały na wrzeciędz również drewniany, zawiasy i zasuwę żelazne, chociażby wiejskiej, kowalskiej roboty spotykamy w większych dworach i zamkach. I pod tym względem wykwinny, rozmiłowany w przepychu wiek XVIII znaczne spowodował zmiany.

Okna czyli „wyglądy” miały szyby wyłącznie małych rozmiarów, oprawne w oków lub drzewo, jeszcze w XVII wieku bardzo rozpowszechnione były zamiast szkła błony pęcherzowe lub papierowe, napojone tłuszczem. Dziś niektórzy właściciele, chcąc widocznie wykazać zamożność domu, zastępują dawne, drobne szyby, szybami wielkich rozmiarów. Uważają nawet za oznakę szczególnej elegancji i postępu mieć okna o jednej tylko lustrzanej szybie. Otóż podobne szyby stosowne są może dla wystaw sklepowych, natomiast zwykłym oknom nadają wygląd ślepych oczodołów i nieharmonizują ze staroświekim wyglądem dworu. Przeciwnie: im mniejsze są szyby, tem bardziej stylowo wygląda całość. W każdym razie zwykłych rozmiarów okno powinno składać się nie mniej jak z ośmiu szyb, jeżeli zaś dwór ma charakter XVIII wieku, szyby powinny być jeszcze mniejsze, natomiast liczba ich większa, 12—20 na każde okno.

Okiennice z tradycyjnem „serduszkim” znacznie podwyższają nastrój swojski.

* * *



Dwór w Johaniskielach dawnej siedzibie Karpiów pow. poniewieżskiego.

Z powyższego opisu możnaby wnosić iż dwory średnio i mniej zamożnej szlachty do końca XVII wieku miały wygląd bardzo prosty i niemal ubogi. Taki sąd był by jednak błędnym. Proście zewnętrznej towarzyszyło bowiem wewnątrz często takie bogactwo dekoracyj, które by dziś w zachwyt wprowadziło każdego zbieracza i pochłonęło by całą fortuną. W owych czasach na podobny zbytek mógł sobie pozwolić byle szlachcic, to wszystko bowiem „nic“ nie kosztowało, gdyż płaciło się jedynie krwią własną i narażeniem życia. Grosz był na ogół rzadki, dla szlachcica zaś, któremu pod utratą szlachectwa niewolno było „łokciem“, t. j. kupiectwem zarabiać, jedynym sposobem zbogacenia się była wojna. Ziemia dawała mu bez trudu obfite utrzymanie: chleba i mięsa, mleka i miodu w bród, dochody natomiast były mierne, w obee małej ilości konsumentów, zły komunikacji. Zwłaszcza zaś po wojnach szwedzkich dobrobyt krajowy podupadł znacznie. Nie dziw więc, że budując nowe gniazdo, szlachcic zmuszony był liczyć się z każdym groszem, robić oszczędności nawet na żelaznych zawiasach lub szybach okien. Tradycyjna na onczas jeszcze oszczędność nie mało też ze swej strony wpływała. Natomiast lubiano popisać się bogactwy zdobytymi na wojnie, świadczyły bowiem równie o zamożności domu jak i cnotach osobistych, waleczności, gospodarza i jego synów przytem znakomicie umilały pobyt i zaspakajały potrzeby estetyczne. Ponieważ zaś wojny toczono przeważnie na wschodzie—z turkiem i tatarem, więc i łupy były wschodnie. Przeważnie była to broń, siodła, rzędy, często bardzo kosztowne, nabijane złotem i srebrnymi blachami, wysadzone drogiemi kamieniami i nie mniej cenne tkaniny: wschodnie kilimy, kobierce perskie, adamaszki, makaty. Jak widać z ówczesnych inwentarzów średnio-zamożny dwór posiadał często kikaset kobierców, makat i t. p. Przykrywano niemi ławy, stoły i łóżka, zawieszano całe ściany. Nadawło to mieszkaniu wprawdzie charakter wschodni, któremu jednak nie sposób odmówić własnego uroku. Bogactwo barw dodawało wnętrzu ciepła blasku i okazałości, zaś miękkość materji, zasłaniających surowe ściany, czyniły tu pobyt rozkosznym. Ten egzotyczny wygląd był jednak raczej przypadkowym, nie wpływał z wewnętrznych upodobań szlachty. Dowodem tego, że wszelkie sprzęty, które nie pochodziły z łupów wojennych, kupowane za grosz gotowy bądź w kraju bądź sprowadzane z zagranicy, miały charakter najzupełniej zachodni, tak samo jak zachodnią była architektura całego dworu. Sprzętów domowych liczba i różnorodność nie były duże. Pominąwszy bowiem stoły, ławy i zydle, które były miejscowej, najprostszej roboty, posiadał dwór zaledwo kilka sprzętów, lecz były to często rzeczy prawdziwie kapitalne. Więc, „almarja“, czyli szafa (gdańskie były zwłaszcza cenione) „służba“, czyli

kredens, często bogato rzeźbiony, bardzo rozpowszechnione były wszelkiego rodzaju „sepety“, kufry, szkatuły, puzdra, czasem kunsztownie okowane, czasem misternej sztukwarkowej roboty, t. j. ozdobione intarsjami z różnokolorowego drzewa.

Arcydzieł sztuki malarskiej nieznalazłeś pod strzechą szlachecką, lecz były tam konterfekty przodków, nie tyle artystyczne jak wielce charakterystyczne i dokładnie odtwarzające epokę. Nie brakowało też obrazu świętego nad łóżkiem oraz ampulki z wodą święconą przy drzwiach.

W XVIII wieku wnętrze dworu ulega znacznym zmianom, stopniowo traci ono swój wygląd wschodni, wojny szwedzkie i domowe niesnaski niejednym starym dworowi z dymem puściły, poniszczyły wiele starych, cennych zabytków. Pojedyncze okazy: szabla turecka, czy rząd wschodni, zdobyte przez ojca lub dziada bądź to pod Wiedniem lub wcześniej, są to tylko drogie pamiątki i nie nadają wnętrzu ogólnego charakteru.

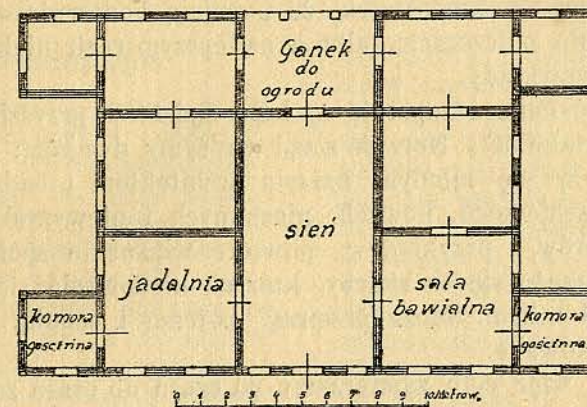
W prawdzie pan ojciec nie inaczej jeszcze jak na perskim kobierczyku wyliczał synalkom „po ćwierciach bolesne dziesiątki“, taki kobierczyk zdobi też łóżko, kanapę, lecz nie zawieszano już niemi całych ścian, ustąpiły tańszemu „brokatelowym“ obiciom. Kolor obicia bywał czworaki: karmazynowy, zielony, żółty i błękitny. Jakiego koloru były obicia, takiego były firanki, krzesła, kanapy, odpowiednio też nosił pokój nazwę: „żółtego, zielonego i t. p.“

Po „adamaszkowych“ i „brokatelowych“ obiciach nastąpiły płócienne, malowane w kwiaty, które następnie zamieniono papierowymi. W pałacach możnych panów malowano ściany al fresco, zdobiono sztukaterjami i złożonemi lisztwami, wykładano zwierciadłami, podczas gdy ubogi szlachcic, którego niestać było bodaj na najtańsze obicia pobielał swe kąty wapnem z kredą.

Wpływ francuski coraz bardziej był widoczny, ławy i zydle ciesielskiej roboty ustąpiły bardziej wytwornym krzesłom, fotelom, szeslongom, kanapom i taboretom, podczas gdy ciężkie renesansowe i barokowe „almarje“ i kredensy zamienione zostały lekkimi serwantkami, kantorkami, girydonami, berżerkami, tru-moarami, nie wyłączając pozłacanych... kroszoarów (do plucia). Nie potrzebuję dodawać, że takie zbytki dostępne były tylko majątniejszym. Szlachcic ubogi z konieczności musiał być — konserwatystą.

Mody się zmieniają prędko pod wpływem potężnych wstrząśnień politycznych, zwłaszcza gdy te mają podkład ideowy. Tak było po rewolucji francuskiej, po której bezpośrednio rozegrał się wielki dramat Napoleoński. Blichtr wieku XVIII znikł bez śladu, już na początku XIX wieku widzimy w dworach naszych meble t. zw. empirowe, przeważnie z mahoniem, z czeczotki lub z je-

sionu. Domowej, stolarskiej roboty, kształtów prostych, zbyt może suchych, oprócz trwałości niezmierniej i innych przymiotów praktycznych posiadają jedną jeszcze zaletę niepospolitą — styl. Tej właśnie stylowości przypisać należy, że się te meble niejako organicznie zrosły z dworkiem naszym z początku wieku ubiegłego. Do twarzy było naszemu dworowi z takimi meblami, im też było w pokoju babuni dobrze i zacisznie, stały wzdłuż ścian nieco sztywne a takie kochane, takie swojskie jak weteran-napoleonista... a że sumiennej były, mocnej roboty, z najlepszego drzewa, stałyby tak wieki, służyłyby wnukom i prawnukom — gdyby nie wandalizm i nieuctwo, co je wyrzuciły na strych, oddały na zniszczenie żydkom-pachciarzom. Dziś stołeczni antykwariusze



Rozkład starożytnego dworu w Kowalewsczyźnie na Podlasiu.
(Z „Budownictwa drzewnego“ Z. Glogera).

skupują skrzętnie połamane szczątki, by je, wyreperowawszy o ile można, za bajeczne ceny sprzedawać zagranicznym amatorom. My zaś zapełniamy nasze dworki najpośledniejszego gatunku tandetą fabryczną, i co najsmutniejsze — dumni jesteśmy z tego.

Widzieliśmy, że szlacheckie dwory nasze w swoim rozwoju umiały łączyć tradycje z kulturalnymi prądami swego czasu, tym sposobem były skarbnicą najświętszych wspomnień a zarazem wernym obrazem swojej epoki. Jeżeli nasze „nowoczesne“ dwory i pałace przetrwają wieki, jakież świadectwo dadzą o naszych czasach, naszej kulturze, rozwoju umysłowym i gustach? Przypuszczam, że sąd, który na tej podstawie wyda o nas potomność, niezbyt będzie pochlebny: „Starego nie chcieli uszanować, nowego nie umieli stworzyć“.

Nakreśliwszy w powyższym artykule pobieżny obrazek dworku wiejskiego w różnych stadiach jego rozwoju, bynajmniej nie

wyczerpałem przedmiotu — o tem możnaby tomy pisać. Jakoż istnieją na ten temat w literaturze naszej nieliczne wprawdzie, lecz poważne prace. W pierwszym rzędzie wymieniam doskonałe „Budownictwo drzewne i wyroby z drzewa w dawnej Polsce” Zygmunta Glogera, zmarłego przed niedawnym czasem niezrównanego znawcy popularyzatora i miłośnika naszych drogich zabytków ojczystych. Nadmieniam, że pisząc artykuł powyższy korzystałem z materiałów zawartych w tym dziele, na co ś. p. Z. Gloger za życia jeszcze przysłał mi upoważnienie, dodawszy jeszcze kilka nader cennych wskazówek, za co niech mi wolno będzie na tem miejscu pamięci Jego złożyć hołd należny.

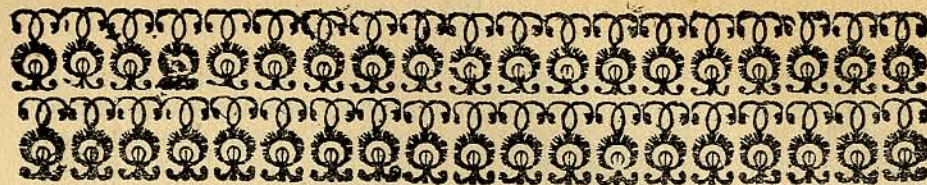
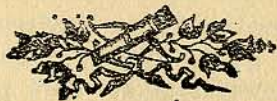
Niestety wszystkie prace z zakresu budownictwa wiejskiego, mają dla nas ten niedostatek, że pomijają budownictwo na Litwie albo zgoła milczeniem, albo w najlepszym razie nieliczne tylko przytaczają przykłady.

Zaradzić temu i zapłacić tę lukę będzie w przyszłości zadaniem „Kwartalnika”. Korzyść z tąd wróżyśmy dwójaką: po pierwsze przysporzy się młodym naszym architektom i badaczom budownictwa krajowego nowych, nieznanych i niewyzyskanych dotychczas wzorów i przykładów, powtórę własnemu społeczeństwu na Litwie pokaże się te skarby, których niedomyśla się nawet — mając je pod nosem. Może przejrzą, uwierzą i oceniają, gdy zobaczą... wydrukowane.

W tym więc celu zamierzamy od czasu do czasu zamieszczać serje widoczków, przedstawiających najbardziej typowe dwory nasze na Litwie, z objaśniającym tekstem. Zwracamy się więc do wszystkich przyjaciół wydawnictwa naszego jako też do wszystkich światłych ziemian z gorącą prośbą o nadsyłanie nam jak największej ilości materiałów: fotografii, rysunków, przedstawiających całość jako też charakterystyczne szczegóły oraz rys poziomy. Szczegółowy opis jest pożądanym a nawet niezbędnym. Nadmieniamy jeszcze, że najskromniejsze, ku ruinie chylące się, stare dworki często z punktu etnograficznego i artystycznego większą mają wartość, niż nowe i okazałe.

Wszelkie materiały i wskazówki z wdzięcznością będą przyjęte i w swoim czasie odpowiednio wykorzystane.

Jan Obst.



SILWA RERUM.

Sprostowanie.

W artykule o obrazie N. P. Maryi ostrobramskiej, umieszczonym w № 1 Kwartalnika Litewskiego, na str. 26. przy nazwisku autorki cennej pracy o tym obrazie p. Heleny Bielińskiej zostało dodano w nawiasie «pseudonim». Najmocniej przepraszam szanowną autorkę za ten błąd w który zostałem wprowadzony i niniejszym protestuję, iż nazwisko umieszczone na karcie tytułowej wspomnianej pracy wcale nie jest pseudonimem, lecz rzeczywistym nazwiskiem autorki.

Dr. Władysław Zahorski

Wilno d. 10 (23) września 1910 r.

W sprawie wzmianki o przewodniku «Wilno»

List do Redakcji.

W krótkiej wzmiance w «Silva Rerum» 2-go tomu «Kwartalnika Litewskiego» p. J. O. pisząc o «Przewodniku po Wilnie» wyraził się:

«Podczas, gdy dziełko d-ra Zahorskiego niewątpliwie wyższe jest pod względem poważnej treści historycznej, p. Gizbert potrafił lepiej zachować typowy układ «Przewodnika» na wzór

najlepszych podobnych wydawnictw zagranicznych».

Swoją bezapelacyjną i nieuzasadnioną ocenę p. J. O. obniża wartość mej pracy. Przewodnik mój, jak wszystkie tego rodzaju podręczniki, niewątpliwie należy do kategorii prac popularnych, w znacznym stopniu kompilacyjnych, daje jednak samodzielnie opracowany wstęp «z Przeszości Wilna», uwypukla wzorowanie się samorządu i wewnętrznych urzędów miasta Wilna na samorządzie krakowskim, czerpie wiele materiału nieogłoszonego dotychczas drukiem z archiwum miejskiego.

Żałuję, że do tak poważnego wydawnictwa, jak «Kwartalnik Litewski» zakradła się taka bezapelacyjna ocena mego «Przewodnika» przytem zupełnie nieuzasadniona, gołosłowna.

Mam nadzieję, że Redakcja zechce uzasadnić powiedzenie p. J. O. lub da mi moralną satysfakcję ogłaszając w imię bezstronności tych słów kilka.

Pominał bym milczeniem ten nieszcześliwy, jak sędzę, *lapsus linguae* p. J. O. gdybym przez to nie szkodził interesom swoich wydawców, osób trzecich.

Z poważaniem

W. Gizbert.

Zamieszczając w imię bezstronności powyższy list autora «Przewodnika po Wilnie», szczerze przyznajemy, że ani celu ani znaczenia jego nie rozumiemy. Nie śniło nam się nawet odmawiać wartości naukowej tak pożytecznemu dziełku jakim niewątpliwie jest «Przewodnik». Każdy nam przyzna, że w notatce p. J. O. wydrukowanej w N-rze II «Kwartalnika» niema ani słowa, które by skierowywane było przeciwko pracy p. Gizberta i w jakimkolwiek kierunku zmniejszało jego zasługę. Że zaś autor notatki, chwalać dziełko p. G. jednocześnie z najwyższem uznaniem odzywa się o podobnej pracy p. Zahorskiego — słusznie lub nie? — o tem najmniej chyba przystało decydować p. Gizbertowi, który oczywiście w danej sprawie nie może być sędzią bezstronnym. W końcu zaznaczamy, iż całą tę sprawę uważamy stanowczo za wyczerpaną, pod żadnym pozorem do niej powracać nie zamierzamy, i dalszych sprostowań, odpowiedzi i t. p. drukować nie będziemy. Red.

Autograf Towiańskiego.

Czem homeopatja względem medycyny, anarchizm względem polityki, tem względem całokształtu wiedzy są tak zwane nauki tajemne, czyli okultyzm. Wyszadzane przez naukę ścisłą, zakazane przez kościół — magja, alchemja, astrologja, psychurgja, i. t. d. miały zawsze i mają dotąd swoich adeptów. Tworzą oni kółka potajemne i związki, przyjmujące do swego grona neofitów bardzo ostrożnie i nie inaczej, jak poddając ich różnym próbom i doświadczeniom.

Okultyści twierdzą, że istnieje klucz do poznania najgłębszych tajników świata przyrodzonego i nadprzyrodzonego, że posiadłszy

go, człowiek się staje wszechpo-
tężnym i nieśmiertelnym magiem
magów ale droga prowadząca do
tego celu jest długa, zmu-
dna, trudna. Należy pozyskać zaufanie
magów, przejść przez wszyst-
kie stopnie poświęcenia.

Tylko najelementarniejsze wiadomości okultyczne są wyłożone w różnych księgach, główne zaś zasady nauk nie są nigdzie napisane. Komunikują je poświęceniu swoim uczniom, a w tak wielkiej tajemnicy i pod takimi przysięgami, że treść ich nauk nigdy nie będzie znana profanom.

Wobec takich warunków nie wiadomo, kto jest magiem, kto był poświęcony w tajniki podania: Magowie babilońscy, egipscy, indyjscy oto przedewszystkiem doktorzy wiedzy tajemnej, Pitagoras, Platon, Paracelsus — oto niektórzy ich następcy. Nazwiska innych są nieznane.

Wiadomo jeszcze, że masoni, martyniści i kawalerowie krzyża i róży to pierwsze stopnie, przez które przejść trzeba zazwyczaj, chcąc być wtajemniczonym w dalsze zasady nauk tajemnych. Nowicjaci mają właściwie tylko martyniści, gdy masoni są heretykami i wśród okultystów i, zapożyczwszy u nich niektóre wiadomości, idą dalej swoją drogą, mając cele polityczne.

I wśród polaków nauki tajemne miały swych adeptów, których szczególnie wiele było w Wilnie na początku zeszłego wieku. Były tam loże masonskie, byli i prawowierni martyniści.

Dzięki ogłoszonym już obecnie pamiętnikom i papierom Przesławskiego (redaktora «Tygodnika Petersburskiego») wiemy napewno, że Oleszkiewicz był generałem martynistów na cały wschód i posiadał wyższe święcenia tego związku. Należał doń również i bodaj czy nie w wyższej randze Hoene Wroński, są zaś pewne

Widnie Ukochany Bracie
Mio Panie Ciesnika Witkowski
Otrzymując słowa mego
zona omijajacy sy nie ten data
Klinie, Ktoz naterat do fikatuty
dy te sprawy byt, aboli iednak eli
Keride stowa musiatem, tu par
mek Wierkatut, adobraci kich spraw
ktore poz tam Wmami Penie, a
opowia Wraicenie Wpraszam ioko
brata abis oddeje po Pani Holni
Kowj odjekac kaczut z kacie zacka
zicor oddat, orbaie Tajim Ziclinij
Goz Panu Wmami Penie
Holnikowis Brat i powolnij
ko ktaniam
Jowianski
Stoga

wskazówki i poszlaki, że m arty-
nistami byli: Towiański, Mickie-
wicz, Słowacki...

Nasza historia jest skłonna do
uważania Towiańskiego za szar-
latana, czy warjata, a wpływ
jego na Mickiewicza uważa za
zgubny. Negować tego ostatniego
nie można, ale pomimo to nie
należy uważać historii Towiań-
skiego i jego roli w dziejach u-
mysłowości naszej za wyjaśnioną.
Przedewszystkiem nie można i nie
należy zapatrywać się nań, jak na
zjawisko odosobnione, pojedyncze.

Nie można badać rośliny, nie
uwzględniając gruntu, na jakim
wzrosła, a dla tego należy wy-
świetlić związek towianizmu z
masonerją i martynizmem wileń-
skim, z których wyrósł niezawod-
nie. Wogóle związki tajemne i
łże wileńskie czekają jeszcze na
swego historyka, który ich rolę
i tendencje wyświetli.

W. C.

Załączamy autograf Towiań-
skiego, otrzymany dzięki uprzej-
mości znanego zbieracza kijow-
skiego p. Karola Bołsunowskiego.
Jakkolwiek list ten adresowany
do Cześnika Wilkomirskiego, do-
tyczy spraw obojętnych, przecie
charakterystyczny krzyżyk na
wstępie jego, jako też stale uży-
wany zwrot «serdecznie ukochany
Bracie» etc. zdają się świadczyć
że zarówno autor listu—Towiań-
ski, jako i odbiorca—pan cześnik
wilkomirski należeli do rozpo-
wszechnionego na on czas na Lit-
wie związku Martynistów.

Red.

Notatka o pałacu Kiszczyń- skim w Markuciach *).

Markucie były niegdyś pod-
miejskim folwarkiem Wielkich

* Notatkę niniejszą, której autorem
był ś. p. M. Homolicki, zawdzięczamy
uprzejmości p. Ludw. Zasztowta.

Xiaząt Litewskich. W archiwum
kapitulnem napotyka się wy-
raźne ślady, że król Władysław
Jagiełło część gruntów Mar-
kuckich nadał był na proboszcza
kościółka ś. Marcina, który, jak
wiadomo, zaraz po przyjęciu,
Chrzstu wybudował w zamku
górnym Wileńskim ¹⁾.

Wielki Xiaże Litewski Alek-
sander podarował Markucie żonie
swojej Helenie, córce Iwana III
Wasilewicza, która tu latem w
jakimś domu, zapewne drewnia-
nym, mieszkała.

Królowa Helena, owdowiawszy,
darowała, czy też zapisała Mar-
kucie dworzaninowi swemu nie-
jakiemś Unkowskiemu Moskwici-
nowi, który niewiadomo z ja-
kiej przyczyny wielce był niena-
widzonym od Litwinów.

Po Unkowskim otrzymała lub
nabyła Markucie pani Kiszczy-
na ²⁾. Dokument jeden ruszczyzną
litewską pisany, który widziałem
u ś. p. Sowieńnika Józefa Eysy-
monta, przedostatniego właścici-
ela Markuc, wyraźnie opiewa,
że folwarek ten dostał się Kisz-
czynej po «nehidnom Moskwitinie
Unkowskiom».

Pani Kiszczyna miała gust
przewyborny, kiedy na wysta-
wienie pałacyku wiejskiego wy-
brała najstosowniejsze i najpięk-
niejsze miejsce. Okna jego po
jednej stronie wychodziły na ma-

¹⁾ Praeposito altaris Sancti Martini
in arce superiori Vilnensi. Dla czego
tu powiedziano altaris zamiast eccle-
siae, odgadnąć nie umiem. Ale widocz-
nie mowa jest o kościółku ś. Marcina.
I późniejszy dokument jeden miejscowy
przyświadcza, że Markucie właściwe
pewną stroną graniczyły już tylko z
owym gruntem, należącym do ołtarza
ś. Marcina, cum terra, quae pertinet ad
altare Sancti Martini.

²⁾ Czy nie będzie to Pani Anna Pio-
trowa Wojewodzina Trocka, żyjąca za
Zygmunta Augusta?

lowniczy, drzewami odziany i
dość głęboki wąwóz, kręto spa-
dający ku rzece Wilence. Po
drugiej stronie rozlegał się z nich
otwarty widok na miasto Wilno,
które z Markuc, jak i z gór Pa-
cowskich, mianowicie przy wscho-
dzie słońca najładniej się i w
całej obszerności wydaje.

Zdaje się, że bezpośrednio po
Kiszczynej Markucie, drogą na-
bytku lub związków rodzinnych,
dostały się Chodkiewiczom. To
pewna, że w ich ręku zostawały
aż do pierwszych lat wieku XIX.

Kiedy sławny Jan Karol Chod-
kiewicz zbudował w Wilnie pa-
łac (później Pusłowskich, a obec-
nie Kuratora Wydziału Nauko-
wego Wileńskiego) jednym obo-
wiązkiem nielicznych zawsze wło-
ścian Markuckich było posyłać
do pałacu Wileńskiego kilku lu-
dzi, którzyby w nim koleją stró-
żą i niższe posługi domowe speł-
niali.

Aleksander hrabia Chodkiewicz,
znany chemik i pułkownik wojsk
polskich, w r. 1808 czy też 1809,
będąc w Karlsbadzie i potrzebu-
jąc nagle pieniędzy, sprzedał Mar-
kucie obecnemu tamże Sowieńni-
kowi Józefowi Eysymontowi po-
dobno za pięć, czy za sześć ty-
sięcy rs. Od Eysymonta w r. 1838
nabył je doktor Godlewski za
9000 rs.

Kiedym przybył do Wilna w r.
1809, znalazłem jeszcze na posa-
dzie byłego pałacu Kiszczyńskiego
w Markuciach sterczący nie-
wielki kawał pobielanego muru,
czy też podmurowania. Szczałek
ten znacznie uszkodzonym i w
części rozebranym został przez
jednego szynkarza Jerolimskie-
go, czy też Betlejemskiego ³⁾ na
poprawę rozwalonego komina. O

³⁾ Miana albo uroczyska dwóch do-
mów gościnnych, przez ówczesnego wła-
ściciela Markuc Eysymonta wybudowa-
nych.

sklepach, ukrywających się pod
posadą zniesionego już oddawna
pałacu Kiszczyńskiego, sam So-
wietnik Eysymont nie nie wie-
dział.

Większą część spisanych tu
szczegółów zebrałem, a raczej
spamiętałem, przepędzając daw-
niej letnie miesiące wakacyjne u
zaczynego właściciela Markuc, ś. p.
przyjaciela mego Józefa Eysy-
monta, kiedy właśnie toczył się
i kończył proces graniczny tego
majątku z miastem Wilnem.

Dnia 10 Sierpnia 1853.

M (ichał) H (omolicki).

Cmentarz litewski na wystawie sztuki cmentarnej w Królewcu.

Bez przesady powiedzieć można,
że ruch ku wznowieniu form
artystycznych całej naszej sztuki
stosowanej, którego staliśmy się
świadkami w przeciągu ostatnie-
go ćwierćwieku, najszersze ko-
rzenie puścił w Niemczech. Nie
miejsce tu dla rozpatrzenia przy-
czyn tego zjawiska, ale dla
znawcy sztuki nowoczesnej wą-
pliwości nie ulega, że budo-
wnictwo, meblarstwo, tkactwo i
pokrewne dziedziny sztuki deko-
racyjnej w Niemczech wieku XX,
bardziej niż w innych krajach,
noszą na sobie wyraźne piętno
tak zwanego stylu modernistycz-
nego z jego wybrykami i dodatnie-
mi stronami. Dążenia swe do
przepojenia wszystkich gałęzi ży-
cia materialnego twórczością ar-
tystyczną w ostatnich latach
objęły jeszcze jedną dziedzinę,
zachęwaszczoną duchem fabrycz-
nym—sztukę cmentarną. Wszyscy
czujemy, że cmentarze teraźniej-
sze utraciły dawny nastrój ci-
chego, skromnego piękna, że
wszędzie prawie w pomnikach
nadgrobnych panuje pretensjonal-
ność w połączeniu z brakiem
gustu, lub szablonowość wyrobu

fabrycznego. Otóż w Niemczech ostatnio muzea, a nawet specjalne stowarzyszenia, drogą odpowiednich wydawnictw i wystaw starają się o krzewienie pojęć i wzorów bardziej estetycznych na polu sztuki cmentarnej.

Wystawa tego rodzaju odbyła się świeżo w Królewcu w warunkach wielce sprzyjających. Terenem dla wystawy służyła bowiem nie sala muzealna, lecz prawdziwy cmentarz dawniejszy, na którym wkrótce ma stanąć gmach muzeum miejskiego. Poza tym osobliwością wystawy, szczególnie dla nas zajmującą, był — wiejski cmentarz litewski.

Nie chodziło tu o specjalny charakter etnograficzny, gdyż wystawa miała cel wyłącznie estetyczny, chciano jedynie, obok typu bogatego cmentarza miejskiego, stworzyć wzór ujmującego cmentarza wiejskiego, dający najprostszymi środkami wrażenie pewnego piękna, właściwego szczerem utworom sztuki ludowej. A że ludność wiejska w okolicach Królewca jest przeważnie pochodzenia litewskiego, więc z natury rzeczy cmentarzyk wiejski stał się charakterystycznie litewskim.*)

Cmentarz ten urządzony był na dość rozległej polanie, i wszystkie nagrobki zapożyczone były z wsi wschodnio-pruskie. Pocho-

dziły wszystkie z czasów najnowszych; najdawniejsze nosiły datę r. 1850. Wyłącznie litewskie nadpisy były w mniejszości, przeważały zaś nadpisy w dwóch językach t. j. niemieckim i litewskim, a były i wyłącznie niemieckie. Co do typów tych oczywiście tylko drewnianych nagrobków, to rozróżnić można trzy zasadnicze. Typ najbardziej skromny i ubogi stanowi wazka, ku górze zaokrąglona deska wysokości około metra, z nadpisem. Stosunkowo rzadko trafiają się krzyże, najbardziej zaś rozpowszechnione są nagrobki w kształcie czworokątnych słupów, zakończonych przyplaszczonym daszkiem czworograniastym. Mają zwykle wysokość od 2 do 2½ metrów, pomalowane są na kolor zielony, niebieski lub czerwony, a w pewnych odstępach przepasane bywają wazkim szlakiem białym lub żółtym. Strona główna, na której się mieści nadpis, w dodatku ozdobiona jest rzeźbą prymitywną, jaskrawo pomalowaną. Powtarzają się tu składowe części ludowego ornamentu drewnianego — kółeczka, wcięcia proste, owalne i kanciaste, w całości zaś rzeźba powtarza motywy zdobnicze, spotykane w wyrobach garncearskich i tkackich litwinów pruskiech.

P. Ettinger



*) Autor niniejszego artykułu miał oczywiście na względzie wyłącznie Litwinów pruskie. Cmentarze u nas na Litwie mają wygląd całkiem odmienny od tego, którego opis znajdujemy poniżej. Podczas, gdy u nas Krzyż jest najbardziej umiłowana i niezbędną ozdobą każdej mogiły, tutaj nie spotykamy Go prawie. Ciekawem byłoby porównać sztukę ludową, jako też ludowe wierzenia i t. d. tych dwóch odłamów jednego narodu żyjących od dawna w odrębnych warunkach politycznych, podlegających odmiennym wpływom religijnym, i kulturalnym.

(Przyp. Red.)

Leon hr. Potocki
(*Bonaventura z Kochanowa*).

Wspomnienia o Świsłoczy Tyszkiewiczowskiej, Dereczynie i Różanie.

Świsłocz.

(Ciąg dalszy).

— Matka moja była córką Józefa Sołłohuba, starosty Ejszyskiego, urodzona z Potockiej; pani Sołłohubowa po śmierci męża swojego poszła powtórnie za mąż za Aloizego Hrabiego Brühla, jenerała artylerii, syna Henryka Brühla, pierwszego ministra Augusta III.

W lat kilka później umarła, zostawiwszy z drugiego małżeństwa córkę, Amelję Brühlównę, którą wzięła na wychowanie pani Wielopolska starościna krakowska, stryjeczna siostra jej matki. Józefa Sołłohubówna poszła za mąż za Stanisława Potockiego, Starościca halickiego. Z tego małżeństwa pozostałem jedynym potomkiem, utraciwszy dwie siostry i brata.

Matka moja była aniołem dobroci. Ojciec mój najszlachetniejszy z ludzi, stworzeni byli dla siebie, pobrali się z miłości, i czemuż po latach kilkunastu wzorowego pożycia rozstali się z sobą? Nie przyczyniłyż się do tego owe światowe pochlebstwa, wciskające się do serca, jak ostrze zabójczego żelaza? Może niebezpieczne zapatrywanie się na drugich, może ostatki zarażonego powietrza, wiejącego jeszcze z pustego ośmnastego wieku?... Matka moja przepędziła większą część lata w 1816 roku w Wilnie, z powodu słabości zdrowia. Przyjechałem do niej w czasie wakacji.

Przebiegając okolice tego miasta, unosiła się nad niemi żywa wyobraźnia moja, a wspomnienia świetnej przeszłości, jakże przemawiały do duszy! Ten gród Gedymina, sterczący jak pomnik grobowy, ta góra poświęcona pierwszem męczeństwem za wiarę na litewskiej ziemi, ten kościół Katedralny, kędy spoczywają popioły Witolda, Aleksandra, Barbary, stojący na miejscu, gdzie przed czterema wiekami palił się ogień Znicza wśród dębów, poświęconych pogańskim bogom; ta Wilja, okrażająca jakby modrą

wstęgą ukochane przez siebie miasto! To, co wtedy uczulem, zostało przechowane na zawsze w pamięci mojej i dla tego dziś jeszcze, miejsca te mają dla mnie tenże sam urok, będący odbiciem pierwszych wrażeń mojej młodości!

Po kilkotygodniowym pobycie w Wilnie, pojechaliśmy do Świsłoczy, a ztamąd wróciłem nazad do Warszawy; matka moja pozostała na miejscu. Rzecz dziwna, jak mogła w tak krótkim czasie przyzwyczaić się do nieznanego jej dotąd wiejskiego życia, a jeżeli czasami westchnęła za wielkim światem, do którego więcej zajrzeć nie miała, jeżeli zatęskniła za osobami, z którymi przyjazne stosunki na zawsze zerwać musiała, nikt jej westchnienia nie zasłyszał nikt nie odgadł tęsknoty. Zajęta jedynie wychowaniem małoletnich córek, oddana obowiązkom dobrej żony i matki, wnet ją wszyscy poznali, ocenili i pokochali.

Pan jenerał Tyszkiewicz, chcąc prawa swoje na Świsłoczy umocnić i ułatwić sobie ciężące wypłaty, tembardziej, iż od komisji zarządzającej ordynacją radziwiłłowską nie można było spodziewać się rychłego odebrania należności, ułożył się z panią referendarzową Tyszkiewiczową i przyjął od niej plenipotencję, na mocy której już nie jako dziedzic, ale w jej imieniu zajął Świsłocz, a zwolna i częściami spłacając legata i dopełniając warunki zastrzeżone w testamencie, interesa swoje na najlepszej stopie postawił.

W administracji majątku i w sposobie życia zachował tryb dawniejszy, a jeżeli zaszyły niektóre zmiany, to tylko w zmniejszeniu wydatków. Odprawiono marszałka dworu, skasowano kapelę, zmniejszono liczbę sług. W pałacowych wozowniach karety angielskie ze złoconemi resorami, lub danglowskie, zastąpiły nowoczesne pojazdy; w stajniach, gdzie stały poszóstne cugi tyszkiewiczowskie, sapieżyńskiego lub pociejewskiego stada, czwórka anglezowanych gniadoszów do parady i dwie piątki mierzynów do podróży.

Zarządem domowym trudniła się matka moja; miała tuż za kuchniami w nowowystawionej oborze 25 prześlicznych krów żóławskich, pod szczególnym swoim dozorem, a ponieważ bardzo lubiła kwiaty, po za pałacem od strony pola założyła mały kwiatowy ogródek, w którym najrzadsze pielęgnowała rośliny. Rzadko wyjeżdżała z domu, do niej zaś zjeżdżało się sąsiedztwo co niedziela na obiad. W liczbie osób, z którymi w większej zostawała zażyłości, była pani Feliksowa Potocka, oraz pani łowczyzna Kosakowska, Potocka z domu, a szczególnież kś. Pawłowa Sapieżyna z którą łączyła ją przyjaźń od lat dziecięcych zawarta.

Bawialne pokoje w pałacu świsłockim pod względem umeblowania żadnej nie uległy zmianie, co się zaś tyczy prze-



Generał Tadeusz Tyszkiewicz.



Świsłocz; Stare dworki w rynku.

kształcenia, połączono dwa gabinety w jeden, a za nimi urządzono sypialny pokój. Podział dnia był tenże sam jak za pana referendarza, obiad o drugiej, wieczerza o dziewiątej. Chociaż Perdrillo, kuchmistrz nieboszczyka, musiał ustąpić pierwszeństwa panu Truchnowskiemu, kuchmistrzowi sprowadzonemu z Warszawy, pobierającemu sześć dukatów miesięcznie, kuchnia jednak nie była lepsza; prócz pana i pani domu siadali zwykle do stołu pani z Tyszkiewiczów Kościalkowska, synowica pana jenerała, pan Józef Radowicki, zarządzający departamentem stajennym i pan Janowski Wincenty, jeneralny plenipotent. W poobiedniej porze zjawiała się codziennie pani Krusińska, małżonka dyrektora gimnazjum, za nią pan szambelan Komajewski, dawny rezydent referendarski i zasiadali zaraz z matką moją do ulubionego przez nią bostona; grali na regestr i przy końcu dopiero roku kto wygrał — odebrał.

Pani Krusińska, rodem z Warszawy, słynna niegdyś pięknosc, wesołego charakteru, dowcipna, przesiąkła tą dworszczyzną, która się podobać umie, w wielkich była łaskach u mojej matki. Mąż jej, Jacek Krusiński, człowiek pod każdym względem godzien szacunku i uszanowania, uczony, członek Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, przez ćwierć wieku dyrektor świsłockiego gimnazjum, usunąwszy się ze służby publicznej i utrzymując z pensji emerytalnej, zamieszkał we Świsłoczy, gdzie umarł temu lat kilka, ona żyje dotąd, doczekawszy się późnej starości.

Przytoczyć tutaj muszę zadziwiający wypadek, za rzetelność którego zaręczyć mogę. Przy końcu 1827 roku, matka moja, wyjechała do męża, bawiącego podówczas w Warszawie. Odprowadziłem ją do Brześcia Litewskiego. Przed wyjazdem uprosiła panią Krusińską, aby w czasie jej niebytności, przeniosła się do dworu, dla lepszego dozoru nad dziećmi. Pani Krusińska zajęła pokój sypialny matki mojej i pierwszej zaraz nocy, położywszy się na jej łóżku, usłyszała stłumionym głosem wymówione słowa: „Ona tu umrze!” Poczem, gdy na nowo usnęła, po trzy razy temże samem stukaniem obudzoną została i też same usłyszała słowa. Nazajutrz powtórzyła obecnym owe osobliwsze ostrzeżenie. Matka moja wróciła z Warszawy w najlepszym zdrowiu, ale nie minęło trzy miesiące, w tymże samym pokoju, na tem samem łóżku umarła.

Są w naturze niczem niewytłumaczone objawy, o które się niedowiarstwo roztrąca, pochodzące najczęściej z rozdrażnionej wyobraźni, czasami z chorobliwego stanu zdrowia, a kiedy niekiedy, uchylając zasłonę tego co ma nastąpić, wzrokiem duszy czytając w przyszłości, przeczuwają to co będzie....

Pan szambelan Komajewski, dobre, łagodne, potulne i już nieco zdzieciniałe stworzenie, mało mówiące, niedaleko widzące; pan referendarz utrzymywał, że należy do nijakiego rodzaju, lubił go jednak bardzo i starem swoim dzieckiem nazywał. Razu pewnego, na jego urodziny, kazał przed nim postawić ogromny tort; 58 cienkich świeczek woskowych, tyle właśnie ile sobie szambelan lat liczył, wetknęto do tego olbrzymiego tortu, a skoro je zapalono, gospodarz domu z całą kompanją wypił zdrowie „starego dziecka”. Wiele razy opowiadał Komajewski ten epizod swego życia, a za każdym zalewał się łzami wdzięczności.

Za nieboszczyka nie spełniał żadnego obowiązku, nie trudnił się niczem, podobny był do domowego sprzętu bez użytku, do którego się przyzwyczaiły oczy, lecz bez którego zdawałoby się, że czegoś brakuje. Za mojej matki stał się koniecznym do kompletu bostona. Gdy się go pytano, czy nie miał nigdy zamiaru ożenienia się? — odowiadał, że w młodości swojej, zaręczony z panną sędzianką R., już jechał na ślub z indultem w kieszeni; po drodze wstąpił do karczmy na nocleg, izba była pełna chłopstwa, położył się więc w stajni, a indult schował do siana. Rano, budzi się, szuka napróżno, — konie z sianem zjadły indult! Wziął to za ostrzeżenie, nie pojechał dalej, wrócił do domu i postanowił kawalerem pozostać.

Pan Komajewski umarł na rok jeden przed moją matką. Na kilka tygodni przed śmiercią, ponieważ miał w domu przygotowaną dla siebie trumnę, na wszelki wypadek, wysłał ją białą pościelą, włożył poduszkę i sam się do niej położył, wystrojony w nowy kontusz, z nowym pasem słuckim, poczem, zawoławszy swojego sługusa: „Pamiętaj Szymonie, — rzekł do niego, — abyś mnie tak ubrał i do tej trumny wsadził jak umrę. A nie zapomnij — dodał — świeżą chustkę do nosa włożyć do kieszeni, i wsypać tabaki do tabakierki”!

Przez lato matka moja przenosiła swoją rezydencję do Synfan i mieszkała w pałacyku pani referendarzowej. W roku 1817, przepędziłem wakacje w Świsłoczy, przy końcu zaś 1818, dokończywszy nauk uniwersyteckich w Warszawie, już się wybierałem na kilkoletnią podróż po Europie, kiedy w losie moim najważniejsza zaszła zmiana. Projektowana podróż spelzła na niczem, zamknęła się dla mnie szkoła wielkiego świata, domowe wiejskie pożycie otworzyło mi swe wrota, ożeniłem się, czyli raczej zapisałem do bractwa żałujących... Matka przyczyniła się najwięcej do tego. Ojciec się długo sprzeciwiał, ona chcąc mnie zatrzymać blisko siebie, radziła się serca, on, słuchając jedynie doświadczenia, odzywał się głosem rozsądku, w końcu rozsądek sercu ustąpił.

W rok później, będąc w Warszawie, odwiedziłem pana wojewodę Stanisława Potockiego. na zapytanie gdzie mieszkam? — na wsi — odpowiedziałem: — Że o dwie mile od matki, a o milę od matki mojej żony. Pan wojewoda, choć Polak całą duszą, ale przesiąkły dowcipem francuzkim, rzekł na to: „Vous vivez donc dans un pays de commerce entre deux meres.”

Pomimo tego, że jak to mówią, poszedłem na swoje, większą prawie połowę roku przepędziłem u matki. Zwykle jeździłem do niej w sobotę, bawiłem przez niedzielę, bywałem we Świsłoczy na święta Bożego Narodzenia, na Wielkanoc, na Ś-ty Józef, oraz podczas całego jarmarku.

Jarmark był epoką ważną, oczekiwaną z największą niecierpliwością przez handlujących, przez młodych i starych. Pierwsi spodziewali się dużo na nim utargować, drudzy wytańcować się do woli, trzeci nagawędzić z sobą.

Nic tak nie przypominało wód zagranicznych jak jarmark świsłocki. Ten liczny zbiór obywateli mieszkających w osobnych dworach, odwiedzających się nawzajem, odbywających spacery konno, piechotą, pojazdami, zgromadzających się codziennie na obiady do dworu, na bale, na publiczne reduty, na teatr; dodajcie do tego najpiękniejszą porę roku, a mieć będziecie istny Karlsbad, tylko bez skał, bez wieży, bez gorących źródeł, bez tej zagranicznej woni, która nam bije do głowy, odurza, nawet przytomność odbiera, a powrót do zmysłów dopiero wtedy przywraca, gdy pustki w kieszeni poczujem.

W roku 1818-tym, zjawily się podczas świsłockiego jarmarku trzy piękności, które pomiędzy młodzieżą największy rejwach, zamieszanie, wybuch, rewolucję sprawiły.

Ten chwyt powietrze, bo mu dech odebrało, lecz się trzyma za piersi, aby mu serce nie wyskoczyło, ten oczy wyciera, bo nadto wielkim blaskiem uderzony, oślepl, ci szukają serca i głowy, bo je potracili. Tymczasem trzy dziewice, jedna od drugiej piękniejsza, z pełnym skromności układem, z łagodnym uśmiechem na ustach, i ze spuszczonei oczyma wchodzą do przepełnionych pokojów ciekawym tłumem, nie widzą wrażenia, jakie sprawiły, nie słyszą pochwał!

Nie gniewajcie się, panie, gdy dodam, że każda kobieta, chociażby najmłodsza, jeżeli nie widzi, to się domyśla, jeżeli nie słyszy, to czuje. Skoro się ukazały panny: Melanja Andrzejkiewiczówna, Natalja Bispinżanka i Siehieniówna Karolina, cała młodzież podzieliła się na trzy obozy, do których niejednen przyłączył się weteran, i wyglądał, jak ten dawny sztandar, opalony w ogniu, niejedną kulą przeszyty, bo już nie w jednej bitwie przewodniczył mężnym do sławy.

Gdzie jest bodziec lub zachęta, tam najpowszechniejszy staje się żywym, młody szaleje, stary warjuje. Powiadają, iż każdy człowiek na starość dowodzi, że dawniej było lepiej, swobodniej się bawiono, serdeczniej kochano. Nie zaprzeczam, dobrodusznie jednak wyznaję, że od owego jarmarku, chociaż lat czterdzieści minęło, większa część obecnych na nim osób wymarła, a kto pozostał, ten starcem lub babą; chociaż do tego czasu nie jednym pędem wiatru miotany, nie jednym prądem wody uniesiony, dużo widziałem blasku, wspaniałości, przepychu i świetności, tak szczerzej, tak prawdziwiej, tak pocziwiej wesołości nigdzie nie napotykałem, nigdzie się lepiej nie bawiłem.

Razu pewnego, w czasie wieczery, jedna z naszych piękności, gdy się z tem odezwała: — iż dobrze byłoby by któregoś dnia pojechać do Synfan na spacer — słowa jej stały się dla nas wszystkich rozkazem; pobiegłem do matki, wniosek podałem, zakomunikowałem go towarzystwu całemu i jednomyślnie przyjęty został.

Nazajutrz, po rannem śniadaniu, na drodze do Synfan kilkadziesiąt pojazdów się toczy, cała młodzież harcuje konno, a najpiękniejsza sprzyja pogoda. Już się rozpierzchli po ogrodzie i kiedy starzy zasiadłszy do zielonych stolików, czekają na obiad, młodzi, to się uganiają po trawie, szukają po labiryncie, to na huśtawkach wyrzucają się w górę, to batami pływają po stawie. — „Jakże tu wesoło — rzekła panna Melanja do panny Natalji, — brak tylko muzyki!”

Posłyszano te słowa i zaledwieśmy się w przeciwną stronę udali, odezwały się dęte instrumenta, zagrały mazurka i rozpoczęły się tany i płasy, przerwane obiadem. Skoro wstano od stołu, odnowiły się z zapalem i trwały bez przerwy aż do zachodu słońca. Powrotowi naszemu przyświecał blask księżyca, czekała na nas jeszcze reduta. Już biały był dzień, kiedym z niej wychodził i na spoczynek się udał, aby sił nowych nabrać do następujących po sobie dzień po dniu zabaw. Jarmark się zakończył, a każdy z żalem żegnając Świsłocz, powtarzał sam do siebie: do zobaczenia na rok przyszedł! — i pewnie, jeżeli tylko mógł, — dotrzymał.

Następny jarmark poprzedzającemu w niczem nie ustąpił, chociaż piękności, które przed rokiem otrzymały palmę należną wdziękowi i powabowi, nie zjawily się na nim; może i z bojaźni, aby to, co wczoraj zachwycalo, dziś nie spowszechniało z kretem.

Księżna Ludwika Radziwiłłowa przybyła z całą rodziną do Świsłoczy, a córka jej, Helena i bawiąca przy niej panna de Neve, wszystkich oczy zwracały na siebie. Kiedy razu pewnego,

trzech młodych ludzi dobijało się o szczęście tańcowania pierwszego mazurka z piękną Heleną, przybliżył się ktoś do nich i temi słowy odzywał: — „Hélène, tu perdis Troie (trois) Messieurs je viens à Votre secours, mettons nous en quatre pour lui plaire.”

Księżniczka, łącząc w sobie wyraz dobroci, ze spojrzeniem anielskim, wspaniałej i majestatycznej postawy, wywoływała hołdy, rozbudzała uwielbienia. Panna de Neve, podobna do wymarzonej fantazji snu rozkochanego, unosiła nas do siódmego nieba! Jeżeli tamta, jak druga Barbara, godna była podobać się drugiemu Augustowi, ta się powszechnie podobała wszystkim. Tamta, zaledwie zaślubioną została ks. Wilhelcowi Radziwiłłowi, stryjecznemu swojemu bratu, w samym kwiecie wiosny umarła, ta pamięta może jeszcze, jakieśmy się o jedno jej spojrzenie dobijali.

Co tylko wymysł, szukający zabawy, wynaleźć jest zdolny, uprzyjemniało cały ciąg jarmarku: bal po balu, reduta po reducie, spacer, teatru, następowały po sobie bez przerwy, skracali godziny, a dnie ubiegały tak prędko, jak ubiega życie — zaledwo człowiek w nie wstępuje, już przebiegł, już z niego wychodzi czasami z żalem za minionem, częściej wszakże z tem wewnętrznym przekonaniem, że tam będzie lepiej, jeżeli zasłużymy na to.

Podówczas młodzież nasza, nieodrodna od ojców, nie była jeszcze utraciła zamiłowania w konnej jeździe; każdy z nas lubił dosiadać dziarskiego rumaka, zwłaszcza, gdy łaskawy rzut czarnego lub niebieskiego oka był nagrodą śmiałego skoku lub zgrabnego skrętu.

Zmieniły się czasy i dzisiejsze pokolenie tak rozprawia o naszych przeszłych harcach, jak my niegdyś rozprawiali o rycerskich gonitwach, z podziwem, ale bez chęci naśladowania: „A cóż znaczą terazniejsze wyścigi? — zapytają polscy anglomani, — wszakże je odbywacie na koniach.”

Prawda, ale nasze wyścigi, to nie swojskie, lecz z obczyzny wzięte, a pradziadowie wasi, gdyby was ujrzeć mogli w masztalerskiej barwie, toby się was z pewnością zaparli.

I we Świsłoczy, w roku 1816, były wyścigi ale bez komedjanckiego przebrania, na naszych krajowych koniach. Zaraz za miastem wybrano wieś szeroką na plac popisu; cała pleć piękna wystąpiła w najmodniejszych strojach, widzów było mnóstwo. Herman Potocki, na dzielnej siwej klaczy z boćkowskiego stada, zwyciężył spółzawodników swoich i podczas obiadu u mojej matki uwieńczony został koroną ze świeżych kwiatów uwitą. Niejedna piękna rączka przyczyniła się do tego, a najpiękniejsza pomiędzy pięknymi włożyła mu ją na głowę.

Nazajutrz wielki był obiad w Synfanach dla księżnej Radziwiłłowej, ze sto osób zaproszono na niego.

Skoro wstano od stołu, całe towarzystwo wsiadło na baty i przy odgłosie muzyki zaczęto pływać po stawie. Gdy się zbliżono do jednej z wysp, ujrano na niej, pod rozpiętym bogatym namiotem, spoczywającego na łożu Konstantego z Ostroga. Okryty był burką, dokoła rozwieszony cały wojenny rynsztunek: zbroja, tarcza, szyszak, miecz, kopja, buława, hetmańskie i zdobyte na nieprzyjaciółach chorągwie. Obok siedziała córka, a u nóg młody giermek przygrywając na lirze, śpiewał znaną Niemcewicza dumę o zwycięstwie odniesionem pod Orszą.

Na drugiej wyspie, spotkanie Racheli z Jakóbem u studni, na trzeciej odegrano kilka scen z Donquiszota Cerwantesa: walkę z wiatrakami i pożegnanie błędnego rycerza z Dulcyneą. Również z powrotem do pałacu rozpoczęły się tańce, które się do białego dnia przeciągnęły.

Jarmark się zakończył, nie zakończyły się jednak z nim razem tegoroczne fety, a jeżeli się goście porożjeżdżali do domów, wnet powrócili do Świsłoczy, na zaproszenie mojej matki, która w dniu 25 sierpnia obchodzić miała dzień imienin hr. Ludwika z Potockich, Kossakowskiej.

Po samym obiedzie udali się wszyscy do ogrodu, a przeszedłszy przez lipową ulicę i zapuszczając się coraz dalej, w wązkim przejściu pomiędzy dwoma ścianami strzyżonych szpalerów, zastali rzędami poustawiane krzesła. W samej głębi zapuszczona zasłona domyslać się kazała niespodzianki, ale jaką będzie, odgadnąć było trudno. Skoro każdy zajął miejsce, za danym znakiem podniosła się kurtyna i ujrano pomiędzy drzewami siedzącego na kopcu z darniny starca; białe włosy spływają mu na ramiona, biała broda spada na piersi, niebieska na nim szata, złotym sznurem przepasana. Jest to Ossian, król skandynawskiej ziemi, trzymając lutnię w ręku, a przygrywając na niej, opiewa czyny rycerskie, sławę i nieszczęścia własnej ojczyzny.

„Pieśni moje! powtórzcie co się dawniej stało.

I ty w nich odżyj zeszłych bohaterów chwało!”

Lutnia umilkła, z rąk wypada, starzec zasypia, ale to dopiero prześpiewał, powtarza się w snach znikomych, stęsknionej za przeszłością duszy.

Głęb sceny się odkrywa. Uzbrojone statki z rozpiętymi żaglami, z rozwiniętymi różnobarwnymi flagami, przy odgłosie wojennej muzyki wypływają z przystani. Na jednym z nich stoi rycerz w złocistej zbroi i szyszaku, patrzy w tę stronę, kędy zostawił ojca, żonę, rodzinną ziemię i kiedy Oskar, syn Ossyana, zda się ostatecznie pożegnanie zaszywać pięknej Malwinie, kiedy ta

ściga go wejrzeniem, ręce za nim wyciąga, statki pędem wody uniesione, szybko oddalają się, nikną w przestrzeni, muzyka ustaje, kurtyna zapada.

We śnie drugim, na ołtarzu Odina pali się ogień święty, Malwina otoczona gronem dziewic, składa ofiary z ziół i kwiatów, zanosi modły za powodzeniem skandynawskiego oręża.

We śnie trzecim wracają rycerze z wyprawy: matki, żony, córki, kochanki, wybiegły na spotkanie swoich. Zbliżają się statki i kiedy z nad brzegów słychać radosne okrzyki, rycerstwo milczeniem odpowiada na nie. Świetne odniosło zwycięstwo, ale niestety ten, który im do niego utorował drogę, zginął śmiercią walecznych. Wynoszą martwe ciało Oskara, składają go na rodzinnej ziemi. Płacz, Ossjanie, utraciłeś jedynego syna, płacz, Malwino, utraciłeś ukochanego męża, płacz, Skandynawjo, najdzielniejszy twój obrońca nie żyje. Budzi się Ossjan, bolesne sny odżywiły w nim wspomnienia, zakrwawiły na nowo niezagojone rany; porywa lutnię, przebiega palcami po srebrnych strunach, te żalosne wydają jęki; spogląda w niebo i zda mu się spostrzegać skandynawskich rycerzy, walczących jeszcze pomiędzy chmurami.

Przebudzenie sny uniosło, pierwszy powiew wiatru rozpędził chmury, lecz pozostała pieśń Ossjana, którą pokolenie pokoleniu podaje.

Powrócono do pałacu, a za nadejściem wieczoru, otworzyły się podwoje do jadalnej sali, przeistoczonej w kwiatowy ogród, oświetlony różnokolorowymi lampami. W samej głębi, pod kosztownym namiotem, siedzą odaliski z haremu wielkiego sułtana.

Bogaty strój wschodni z najcieńszego muślinu, zawoje, naszyjniki z pereł, z drogich kamieni zausznicze i spięcia, nieprzychylnia wdzięków, ale własny blask tracą przy powabach tych ziemskich huryszek. Wnętrze namiotu zdobią tureckie szale, podłoga dywanami perskimi zasłana, niskie siedzenia pokryte złotogłowiem. Na poźłocistych trójnogach wonne kadzidła się palą; przy wejściu dwaj murzyni we właściwym ubraniu, skuleni siedzą na piętach. Za zbliżeniem się gości, najstarsza sułtanka daje znak murzynom, a ci na srebrnych tacach roznoszą sorbety.

Po drugiej stronie sali, w miejscu prawie ukrytem, po zagęstieni krzewami, w prostym szałasie, cała szatka cygańska zasiadła dokoła wielkiego kotła, w którym się dzienna strawa na węglach warzyła. Skoro cyganie ujrżeli obcych, młoda cyganka, czerwonym płaszczem owinięta, w czerwonym turbanie, z pod którego wymykają się gęste sploty czarnych włosów; twarz ma nieco śniadą, czarne oczy żarzą się, jak dwa rozpalone węgielki, ale w nich zamiast cygańskiej chytrości, przebija dowcip, zamiast przebiegłości—naturalna wesołość, a przy niej nieco chęci podo-

bania się, tak właściwej ładnej kobiecie. Zgrabnie się ukloniła, a na prośbę aby każdej lub każdemu wywróżyła przyszłość, wzięwszy solenizantkę za rękę i wpatrując się w jej dłoń, w której jakby w księdze przeznaczeń czytać może kto umie: „Pani,— rzekła,—jesteś kochaną i szanowaną od wszystkich, bo na to zasługujesz, a jeżeli kiedy niekiedy lekki cień podejrzliwości zakłóca twoją spokojność, pochodzi to z nadmiaru skromności: kto nie dosyć ufa sobie, nie zawsze drugim dowierza. Długie pasmo dni szczęśliwych otwarte przed tobą, a idąc po tej drodze, która z doczesnego do wiecznego życia prowadzi, przejdiesz wśród błogosławieństw tych, których nakarmiłaś, napiłaś, pocieszyłaś, bo ty nie dla siebie, lecz dla drugich, żyjesz“.

Poczem, odwróciwszy się do mojej matki, temi się słowy odezwała do niej:—„Ciebie chwalić w twoim własnym domu, byłoby nadużyciem gościnności, ale gdybyś mogła przeczytać w sercach naszych, znalazłabyś w nich wróżbę najszcześniejszą, wypływającą ze szczerych i nieobłudnych życzeń“. Następnie, wszystkim się po kolei dostało, bo miła, a nieco złośliwa cyganka, nie zapomniała o nikim. Jednej oznajmiła, że na przyszły jarmark przyjedzie już z mężem, drugiej radziła, aby nie przebierała, bo kto przebiera, najczęściej nie dostaje; pani starościnie przepowiedziała, że na weselu prawnuczki lub prawnuka tańcować będzie poloneza w pierwszą parę, a pannę Pulcherję, nieco zabobonnym sposobem egzaltowaną, chociaż oddawna trzydziestówkę zostawiła za sobą, ostrzegła, że chce pójść za mąż, powinna wziąć trzy liście paproci, tyleż ruty, całą garść macierzanki, słonecznika jednego i parę lutów lukrecji, wszystko wygotować w kwarcie wody, poczem wypiwszy tego dekoktu szklanekę o samej północy, udać się na cmentarz, a tam się dowie, kto dla niej przeznaczony na towarzysza całego życia.

Skapcowi powiedziała, że radzi mu dukaty i ruble przewieźć, aby je mółe nie zjadły; rozrzutnemu, aby zaszył kieszenie, bo wszystko z nich wyleci; ubiegającemu się za posagiem, że największym skarbem—dobra i pocziwa żona; samolubowi przytoczyła wiersz Felińskiego:

„Na pół żyje, kto żyje sam tylko dla siebie“.

Staremu zaś Adonisowi doniosła, że bożek Kupidynek przysłała mu dymisję z pozwoleniem wszakże noszenia munduru. Nakoniec ukloniwszy się całemu towarzystwu, nasza wróżka temi go słowy pożegnała:

„Dla czego każdy dłoń swoją podaje,

Chce się dowiedzieć, co go jutro czeka?

Bo nikt na swoim nigdy nie przestaje—

Taka natura człowieka!“

W drugich dwóch pokojach, na małych okrągłych stolikach przygotowano wieczerzę; zasiadła do niej pleć piękna. Matka moja, po za długim bufetem, na którym porozstawiano srebra, porcelanę, szkło, rozmaitego gatunku wina, konfitury, owoce i ciastka, rozkazy na wszystkie strony wydaje. Młodzież nieprzebrana w liberję, ale każdy należący do niej, ze złożoną serwetą w rękę, usługuje damom; uwija się zgrabnie, półmiski roznosi, talerze odmienia, wino nalewa. Ci jedzą, tamci piją, wszyscy rozmawiają razem, stuk, gwar, wrzawa, wraz się powiększają, korki wyskakują z butelek:—„wiwat solenizantka!“—jednogłośnie wołają.

W tem muzyka zagrała mazurka, zerwano się od stołu, rozpoczęto tańce i dotrwano bez przerwy do chwili, w której pierwsze promienie wschodzącego słońca jednych budzą do pracy, drugim zapowiadają, że czas wypoczynku nadszedł.

Tymto sposobem, daleko od zgiełku stolicy i wielkiego świata, upływały lata pierwszej mojej młodości, w spokojnym domowym pożyciu. Jeżeli monotoność dnia do dnia podobnego, przerywały w niektórych epokach huczniejsze zabawy, wracałem do niej z upragnieniem, a rok szedł prędko za rokiem.

Matka moja odznaczała się słodyczą raczej niż żywością charakteru, a dobroć bez granic zastępowała u niej nadmiar wesołości. Humoru jednostajnego, umiającego się zastosować do okoliczności i ludzi, w wypogodzonym jej czołe malował się wewnętrzny spokój duszy. Lubiała świat, a jednak go porzuciła bez żalu, licznem a dobranem towarzystwem chętnie się otaczała, a jednak i bez niego obchodzić się mogła. Skoro pojechała w sąsiedztwo lub się do niej zjechało, jeżeli nie dawała pierwszego popędu do hucznych zabaw, współudział w nich chętnie brała. Czasami, w przeistoczonym na prędkę pokoju w teatralną salę, grywano komedję; czasami, pod koniec zapust, zaimprovizowany kulig lub maskarada zawitały do świsłockiego dworu, wołając: „bawmy się wesoło, dopóki nam nie nasypią na głowę popiołu!“—i doputy się tam wesoło bawiono, dopóki z towarzystwa ówczesnego większa część nie wymarła, a reszta rozpierzchła się po szerokim świecie.

Pomnę, jak razu pewnego pojechałem z matką moją do Rosi, do pani Feliksowej Potockiej. O pół mili ztamtąd, w Teolinie, mieszkała pani krajczyna Grabowska, rodzona siostra mojego dziadka. Nie znałem jej wcale i jużem się z odwiedzinami wybierał, kiedy zajeżdża przed ganek kareta, wysiada z niej pani krajczyna i posyłają czempredzej po mnie przedstawiają babuni. Siadam przy niej, w rączki całuję, nadskakuję, ciągle ze starszą rozmawiam i odjeżdżającą aż do pojazdu odprowadzam. Tegoż samego dnia jedziemy do Teolina, wchodzę do pokoju, ale jakież

było zadziwienie moje, gdy w pani krajczynej nie poznałem tej, którą zrana widziałem i w ręce całowałem. Wszyscy w śmiech i ja z nimi, ma się rozumieć i cóż się pokazało? Oto, że fałszywą babunią była stara panna służąca, przebrana, a prawdziwa nie rozgniewała się na nas, gdyż sama z drugimi była przeciwko mnie w zмовie.

Przypomniawszy sobie arję, będącą podówczas w modzie, a poczynając się od słów: „Słodka zemsta dla serca“, zapragnąłem jej szczerze i nie minęło dni kilkanaście, dziwnem zrzędzeniem trafia zemszczony zostałem.

Pewnego wieczoru: „układajmy z żywych osób obrazy“, rzekła do nas pani Potocka, chętnie przystaliśmy na to i zaraz wzięliśmy się do dzieła. Pomiedzy innemi, przedstawić miano Don Pedrę, królewicza portugalskiego, kiedy wracając z wyprawy wojennej, postrzega w lesie złożone na katafalku martwe zwłoki zamordowanej małżonki. Jużemy między sobą ułożyli, kto miał być ową nieszczęśliwą Ines-de-Castro, kiedy pani Potocka zmieniła nasze układy, oświadczając, że sama nią będzie. Zgoda, — odpowiedziałem, ale dodałem sam do siebie: — „godzina zemsty wybiła!“ Pośród kwiatowych klombów, na dwóch stolikach od gry, przysuniętych do siebie, z podporą pod spodem dla bezpieczeństwa, wznosi się bogaty katafalk, spoczywa na nim Ines-de-Castro, w książęcej koronie na głowie, książęcym płaszczem okryta. Wysoka, dobrej tuszy, czemuż się uróżowała i oczy otwiera? Może się lęka, aby ją za umarłą nie wzięto? Niedaleko od katafalku stoi don Pedro, ręce załamuje, rozpacz mu zmysły odbiera. Zasłona się podnosi, obraz odkrywa, ale w tej chwili podpora się usuwa, stoliki uginają, przewracają, Ines-de-Castro pomiędzy niemi znika widzom z oczów. Kiedy po tej katastrofie małżonka Don Pedra, przywrócona do życia weszła do salonu, przybliżyła się do mnie, a pogroziwszy palcem; „Czy to czasem nie zemsta za Krajczynę?“ — zapytała: „Pani, — odpowiedziałem, — nie poczuwam się do winy, przypadek zrządził wypadek, ale przyznam ci się szczerze, iż wołałem cię widzieć żyjącą, chociażby na ziemi, jak umarłą na katafalku!“ Uśmiechnęła się na to, podała rękę na zgodę.

Ponieważ pan jenerał Tyszkiewicz był raczej amatorem myślistwa niż myśliwym, za nadejściem jesieni, przybywał do Świśloczy pan Stefan Radowiecki, były kapitan wojsk litewskich, blizki sąsiad, z dwudziestu sforami ogarów, z dziesięciu potrójnemi smyczami chartów, na czele trzydziestu strzelców, w zielonych czamarach, w kaszkietach w kształcie hełmów, z wilczych ogonów uszytych, a każdy z nich z torbą borsuczą na plecach, z fuzją w ręku, a zameldowawszy się panu jenerałowi obejmował

główną komendę. Dwie smycze jeneralskich chartów i dwie moje łączyły się z główną armją i wydawaliśmy wojnę lasom, czyli raczej ich mieszkańcom. Łowy trwały kilka tygodni, przenosiliśmy plac naszych popisów z kniei do kniei, a koczowisko z folwarku do folwarku. Przyjeżdżał tam nieraz ze mną, mój sąsiad i przyjaciel, Jakób Adamowicz, rodem Tatar, wiarą mahometanin. Patrząc na niego, kiedy w baraním kożuchu, w baraniej czapce z uszami, z manierką u boku, z bizunem w ręku, na niewielkim szłapaku wiódł trójkę dzielnych chartów, po tym ubiorze i po rysach twarzy, zarośniętej zawieszystemi wąsami, brałeś go za potomka Krim-Gerejów, i to nie napróżno, gdyż czysta krew wschodnich Murzów w żyłach jego płynęła, a w piersiach biło serce poczciwe, przywiązane do tej ziemi, która go za swoje dziecko przybrała i ród jego od czterech wieków swym chlebem karmiła. Ojciec Adamowicza był półkownikiem w lekkiej straży litewskiej i w roku 1794-tym pod Olitą zginął. On zaś rozpoczął swój zawód żołnierski we Włoszech, pod feldmarszałkiem Suworowem, odbył kampanję austryjacką 1804 r., pruską 1807 r., a w 1811 ze służby wojskowej do cywilnej wstąpił. Lat trzydzieści w tym zawodzie poświęciwszy usługom obywatelskim, przeszedł przez wszystkie szczeble hierarchji urzędniczej, był prezydentem izby cywilnej, a nakoniec sędzią sumiennym.

Człowiek prawy, nieskażitelny urzędnik, sąsiad najlepszy, przyjaciel wierny, zyskał sobie ogólny szacunek i poważanie. Tatar stepowy całe życie harcował na koniu, koczował pod gołym niebem; tatar litewski, albo z fuzją plądruje po lasach, albo z chartami konno ugania się za zającem. U niego szczerłość w sercu, prawda w ustach, co przyrzeka to dotrzyma, co pokocha, to do grobowej deski. Kiedy co z dawnych opowiada dziejów, to z tą drobiazgowością wschodnią nieopuszczając najmniejszego szczegółu, rozwijając przed oczyma słuchaczy obrazy ubarwione fantazją poezji, z tą polską dobroduszością, która się do złego przyznaje, a z dobrego nie wynosi. Takim znałem Adamowicza przed laty, takim jest dotąd, — szczęść mu Boże!

Ostatnich dni września 1824 roku, pan kapitan Radowiecki, ja, Jakób Adamowicz i kilku jeszcze sąsiadów, zjechaliśmy się razem do jenerała Tyszkiewicza, a zabrawszy go z sobą, ruszyliśmy do Hrynek na noc, zkąd nazajutrz łowy nasze mieliśmy rozpocząć.

Do naszej kompanji przyłączył się pan dyrektor Krusiński, amator więcej pono towarzystwa myśliwych, niż samego myślistwa. Kiedy go postawiono w kniei na stanowisku, siadał na pniu, czytał książkę, podczas gdy fuzja oparta o drzewo, spoczywała częstokroć nie nabita. Razu pewnego, przeszedł łos o dzie-

się kroków od niego; nie strzelił — a gdy go zapytano dla czego? — „Czy ja głupi iść na Sybir“, — odpowiedział, wziął bowiem losia za żubra! Pan Krusiński naśmiewał się z pana Jankowskiego, że po łacinie konno jeździł, ten zaś odpowiadał na to: Ja może po łacinie jeżdżę konno, ale wac-pan dyrektorze, po grecku polujesz!

Zaledwie dzień poczynano, gdy mnie odgłos trąby myśliwskiej przebudził; był to mój stary dojeżdżacz Wesołowski, ciągnął nie-litościwie pojezdne, a cała zgromadzona na dziedzińcu psiarnia, skomlała, ochoczo mu wtórowała. Równemi nogami zerwałem się z łóżka i nie minęło dziesięć minut, już byłem ubrany, już wchodziłem do jadalnego pokoju, gdzie całe towarzystwo zajadało śniadanie; brakło tylko jenerała, ale gdy się i ten niebawem zjawił: — Panie jenerale — rzekł do niego kapitan, z pełną gębą chleba z masłem, — słońce wschodzi, wszyscyśmy na nogach, a jasnie wielmożny pan jeszcze śpisz, to nie po myśliwsku!

— Mój Stefanie — odrzekł jenerał — jeszcze nie późno, czas piękny, rosa obfita, dobre będziemy mieli pole, tylko nie zrzedź, bo powiemy, żeś stary mantyka!

— Chociaż stary, ale jary; — zawołał pan Stefan, oparty o stół łokciami, w bajowej zielonej czamarze, podbitej wilkami, z kordelasem u boku i harapnikiem z buławką przewieszonym przez plecy.

— Gdzież będziemy polować? — Zapytał jenerał kapitana.

— Zaczniemy od Dobrowoli, pociągniemy potem przez Hajnowszczyznę, a jeżeli czas i pogoda pozwolą, to pod sam wieczór podłożemy Śpiżarnię. — Posiliwszy się nieco, wyszliśmy na ganek i zastali już na dziedzińcu w szyku bojowym ustawionych strzelców, szczwaczów, ze trzystu ludzi obławy, i całą psiarnię pod dowództwem dwóch lepszych dojeżdżaczy: — kapitańskiego Staśka i mojego Wesołowskiego, obydwóch w półkożuszkach, z ogromną drewnianą trąbą, z pistoletem za pasem, długim harapnikiem w ręku i z czapką w torbie.

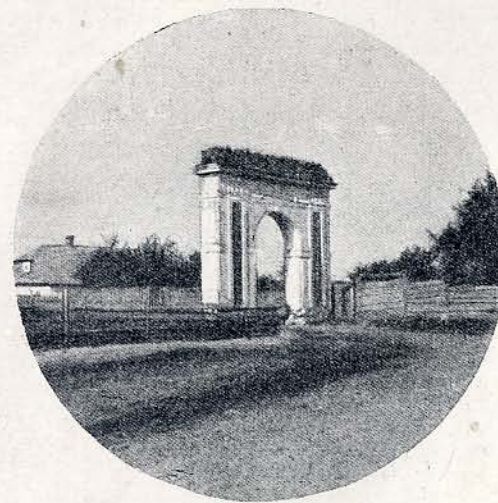
— Panowie! już wielki czas, — odezwał się chrapliwym głosem Wesołowski. — Rosa opada, a do kniei daleko.

— Na koń! — zawołał jenerał.

Jedni konno, drudzy bryczkami, większa część czterokonnym sztulwagiem, w którym się kilkanaście osób mieściło, jak kto chciał, czyli raczej jak kto mógł, wszyscy ruszyliśmy razem.

Zbliżaliśmy się do kniei, kiedy się niebo zachmurzyło i nagle wiatr zerwał.

Pan Stefan zaczął szczwaczów rozprowadzać, Antosiek, jeneralski gajowy, porozstawiał strzelców, i obławę od strony kniei zaprowadził, poczem zatrąbił na znak, że wszyscy gotowi. Do-



Brama miejska w Swisłoczy.



Obelisk na rynku w Swisłoczy.



Ulica Rudawska w Swisłoczy.

jeżdżące psy puścili, huknęli w trąby i z pistoletów wystrzelili. Przez kilka minut głucho panowało milczenie, wiatr szumił pomiędzy drzewami, ptaszki nawet zaprzestały świergotać, kiedy niekiedy tylko wrony kracząc przelatywały po nad knieją. Wtem Grzmiłlas grubym odezwał się głosem, Śpiewka zaczęła się doławiać, Dunaj poprawił, psy się skupiły, zagrały razem i cały las zagrzmiął tonem dwudziestu sfór ogarów. Stałem na miejscu jak wryty, przycisnąwszy dubeltówkę do boku, na wszystkie strony przenikającym rzucałem wzrokiem, dech zatrzymałem, serce mi tylko biło w piersiach konwulsyjnie.

Psy wzięły z oka, gwar się coraz powiększał, dojeżdżacz zatrąbił na lisa. Wtem strzał się rozległ, po huku „pudło” pomyślałem. Psy się za lisem w bok rzuciły, gon wraz oddalać zaczął.

Pomiarkowawszy, iż zwierz wyszedł w pole, dosiadłem konia, a gdym z lasu wyjeżdżał; „hejże go ha!” usłyszałem pomiędzy górą. Wczwał puściłem konia. Dojeżdżając na górę, ujrzałem wracające charty z niczem, lis umknął, a ogary za nim poszły. Wnet podjechał pan Stefan, cały trząsł się ze złości, a gdy mnie spostrzegł, już zdążył wołać począł: „To ten kanajka Joachimek wszystkiego narobił, lis szedł parowem, on go przeslepił i wtedy tylko psy puścił, skoro się wynosił w góry, szkoda lisa, ciemny, jak sobol, skórka pewnie ze trzy ruble warta”. Ale co gorzej, — dodałem, — psy poszły za nim, Bóg wie kiedy je nawołać zdołamy, a tak dzień cały stracony! Zsiadłem z konia, zatrąbiłem pojeźdnego, a gdy się strzelcy zebrali, dwóch z nich posłaliśmy w pomoc dojeżdżaczowi z rozkazem, aby się starali psy nawołać i posforować.

— No, teraz napijmyż się pogrzebowego — rzekł jeden z myśliwych, zdejmując z pleców manierkę.

— Piękne mi pogrzebowe, — odezwał się na to jenerał — na którym trupa nie masz!

— Cierpliwosci, — odparł pan Stefan, wyciągając rękę po manierkę z wódką, — poczekajcie tylko do wieczora, wszystko się naprawi, będą lisy, zające.

— I „dudki na kościele!”, staruszkule kochany, — dokończył jenerał.

— Staruszkule! — powtórzył zaperzony kapitan, — staruszkule, pokażę wam, że nie taki staruszek, jak się panom wydaje! Poczem spał konia obcasem, w samych hopkach zjechał z góry, a tam, skręciwszy na miejscu, przypuścił nazad i o krok od nas stanął, jak wryty, a zdejmując czapkę:

— Moi jolite garçon! — wymówił.

Mój Stefanie, — zagadnął jenerał, — czemuż z tą francuz-

czyzną ciągle występujesz? kapitan gwardji litewskiej króla Stanisława powinien po polsku mówić, zwłaszcza, kiedy po francuzku nie umie!

— Jak to nie umie? Pani Granvenais, guwernantka moich córek, utrzymuje, że doskonale po francuzku umiem.

— Mniejsza o to, ale dowiedziona jest rzeczą, wspartą dziśjszym przykładem, że masz liche charty, bo wszakże lisa każdy kundel weźmie!

— Co, moje charty liche?.. — wrzasnął pan Stefan — zapominasz chyba, że moja Chwatka pochodzi po owym Dekrecie, który wilki i dziki brał pojedynczo; Wichrę w przeszłym roku mój ekonom ukradł Mierzejewskiemu w Neplach, a ja za niego dałem beczkę żyta i pół beczki pszenicy. Czy wiecie, że Mierzejewski deklarował sto dukatów temu, co mu Wichrę odprowadzi?

— I pan go nieodprowadził? — zapytał kapitan.

— Nie odprowadził, — dodał jenerał, — bo tu w jego opowiadaniu zachodzi pomyłka, nie sto dukatów, ale czegoś innego ofiarował Mierzejewski złodziejowi.

— Szkoda, — odezwał się ktoś inny, — że twój ekonom nie popadł w ręce Mierzejewskiemu, byłoby go to oduczycie kraść psy cudze. Ale, ale, czy wiesz Stefanie, że jest prawo, które zarówno karze tego, co kradnie, jak tego, co kradzione rzeczy przechowuje lub nabywa?

— Głupie prawo, — mruknął Stefan, — liche moje charty, a zapominacie, że Lotkę przywiozła w przeszłym roku Ks. Pawłowa z zagranicy i to w karecie na kolanach i darowała memu synowi z ukontentowaniem, że tak tego tańcował mazura na ostatnim jarmarku.

— Kiedy więc twoja Chwatka, ród wiedzie od Dekreta, Lotkę księżna wypiastrowała na swoich kolanach, a Wicher kradzionym sposobem ci się dostał, oddajmy im sprawiedliwość, dodając, wszakże, że lis dziśjszy lepiej od nich biega.

— Co wam się roi, — odparł Stefan, coraz to w gorszym humorze — dziesięć lisów byłoby wzięte bez obrotu, gdyby nie ten Joachimek! No, dostanie on za to!

Ponieważ nie było co w polu robić bez psów, zwłaszcza, iż mały deszczyk zaczął kropić, pojechaliśmy do Dobrej-Woli, gdzie na nas czekało śniadanie. Roztasowaliśmy się w obszernej izbie, w pośród której ogień na kominie buzował. W dobranem gronie przyjaciół, przy bigosie i zrazach, dobry humor i wesołość muszą konieczne zastąpić nieukontentowanie i frasunek, zwłaszcza, gdy te pochodzą z tego, że zając lub lis uciekł z kniei i że zamiast moknąć na dworze, w ciepłej izbie smaczno zjadamy.

Wrócił nakoniec Wesołowski z psami, cały zmoczony, zzię-

bnęty i, gdy nam opowiadał, jak lis więcej mili psy poprowadził w góry i tam wpadł do gniazdowej jamy, każdy z nas to kieliszkiem wódki, to kawałkiem szynki lub ozora, starał się starożurzyć.

Pan Stefan, przybliżywszy się do Wesołowskiego:

— Mości dojeżdżacz, — rzecze — przyznaj, żeś lisa z jamy wykurzył i skórka już w torbie, bo widzisz, trzy rubelki piechotę nie chodzą!

— Przepraszam pana kapitanie! — odpowiedział do żywego obrażony starzec, — Wesołowski osiwił, wiernie służąc swoim panom i na trzy grosze nigdy im szkody nie zrobił!

— Ależ to figiel myśliwski!..

— Może u państwa, ale nie u nas, chudopachołków. Panom sprzedać ślepego charta, lub głuchego ogara, nie grzechem, lecz figlem, a niechby się który z nas na to odważył, toby skórą swoją odpowiedział.

— Prawdę mówi, — odezwał się — wszakże pamiętasz, panie kapitanie, jakieś z panem Henrykiem pohandlował dwa ogary na frak nowiuteńki, a skoro go nowy posiadacz włożył po raz pierwszy na siebie podczas jarmarku, chodziliśmy za nim trop w trop, powtarzając: „uf, ufl na tu tu, na tu tu!“.

Chociaż była nieco spóźniona pora, gdy wiatr ucichł, a deszcz ustał, jenerał Tyszkiewicz dał znak do wyjazdu i powracając na nocleg do Hrynek, kazał psy puścić do ulubionej swej kniei, przezwanej Śpiżarnią, gdzie się nam nieźle udało, kilku zajęcy zginęło na strzelbę, drugie tyle uszczuto chartami, i na tem się zakończyło polowanie nasze.

Po wieczornym obiedzie rozpoczęła się myśliwska gawęda; każdy opowiadał dziśjsze i dawniejsze przygody, a jeżeli, jak się zwykle dzieje, w opowiadaniach dużo było poezji, czyli po prostu powiedziawszy kłamstwa, znalazło się też niejedno wydarzenie prawdziwe.

— „Wiecie, państwo, — rzekł jeden z obecnych, — iż dawne prawa litewskie naznaczyły karę śmierci za zabicie żubra, dziś zamieniono ją w zesłanie na Syberję. Chociaż nie było przykładu, aby takowe prawo na kimkolwiek wykonaniem zostało, pewna jednak obawa kary wstrzymując zapęd myśliwych powodowała, że się dotąd w Białowieskiej puszczy utrzymuje ten rodzaj zwierząt, nieznan w reszcie Europy. Przed paru laty za upoważnieniem panującego, miano zabić żubra do zoologicznego gabinetu londyńskiego. Po wydaniu stosownych rozkazów, zjechali do puszczy gubernator grodzieński, urzędnicy, dwóch profesorów, przysłanych z Anglii i wiele myśliwych, korzystając z tak rzadkiej sposobności. Polowanie krótko trwało, zabito ogromnego samca;

leżącego na ziemi, otoczono do koła, i kiedy mu się zbliża przypatrują, jeden z myśliwych, mianowicie pan Stanisław Radowski siada nań, wtem zwierz się porusza, zrywa i ostatkiem sił żywotnych pobudzony, nieroztropnego śmiałka na swoim grzbiecie w głąb lasu unosi! Ten głowy nie traci, chwyta za pierwszą gałąź, żuber się z pod niego wymyka, on spada na ziemię. Żubra o kilkaset kroków dalej znaleziono nieżywego. Pana R. uratowała rzadka przytomność umysłu.

— Że zadziwiająca przytomność umysłu, — odezwałem się z kolei, — uratowała Pana Radowskiego, od grożącego utratą może życia niebezpieczeństwa, niezaprzeczoną jest prawdą, ja zaś opowiedzieć wam muszę, jakim fortem odparłem fortel przeciwko mnie wymierzony. Jeden z moich sąsiadów prosił, abym mu darował szczenięta po mojej ulubionej charteczce. Odmówić musiałem, gdyż miała tylko pięcioro szceniąt, z których troje komu innemu obiecałem, a dwoje chciałem zachować dla siebie. Nie poprzestając na tem, czego nie zdołał dobrowolnie dostać, przedsięwziął fortem otrzymać. Przyjechał do mnie na obiad, a zabawiwszy długo, dopiero po wieczery odjechał. Noc była ciemna, jadąc koło psiarni, a widział dobrze w którym miejscu leży chartcica ze szczeniętami, zatrzymuje się, wysiada z bryczki i zabiera psy do przygotowanego worka. Wszystko udało się, jak z płatka! Powraca do siebie, wyjmując zdobycz z tryumfem, aż tu zamiast chartów — kundelki! Dojeżdżacz przeczuł co się święci, chartcicę skrył z dziećmi, a na jej miejscu całą rodzinę kundliczą ze wsi położył. — Odtąd, kto tylko spotkał mojego sąsiada, pytał: „jak się mają kundelki?”

Pan generał spojrział na zegarek i: „panowie, — zawołał, — jedenasta, czas spać!”

Poczem, pożegnał towarzystwo myśliwskie, a przechodząc obok Stefana — „Dobrej nocy! — rzecze, z uśmiechem dodając: — Jak się mają kundelki?” —

Ile razy przyjeżdżałem w lecie do Świsłoczy, odwiedzałem zawsze w poobiedniej porze pana dyrektora Krusińskiego, a siedząc z nim przed domem, pod cieniem rozłożystych kasztanów, w uczonej i pożytecznej rozmowie, ileż to przyjemnych i zajmujących godzin przepędziłem! Pan Krusiński, człowiek pełen nauki, dużo widział i doświadczył, był obecny ostatnim wypadkom panowania Stanisława Augusta. Każde jego opowiadanie i zdrowy sąd o rzeczach zapisywałem w mojej pamięci i nie żałuję tego, gdyż on nie żyje oddawna, z rówieśników jego mało który pozostał przy życiu, a przechowane słowa już należą do dziejowych materiałów przeszłości.

Skoro się poobiednie lekcje szkolne skończyły, lub też w dniu

rekreacyjne, cały plac pomiędzy gmachami gimnazjalnymi, a mieszkaniem pana Krusińskiego, napelniał się zwykle studentami; rozpoczynały się wesołe gry, gonitwy, tak właściwe młodemu wiekowi, w którym żadna jeszcze troska nie marszczy czoła, żadna boleść nie ściska serca. Pomiędzy tym rojem młodzieży uwijał się mały, zgrabny chłopczyna z jasnymi włosami, z ładną choć bladą twarzą; zapytaj go o co, odpowie rozsądnie, zajrzyj mu w oczy, a znajdziesz w nich wyraz bystrego pojęcia. Zajmował mnie wielce, gdyż był synem dawnego mego znajomego. Kiedym się o jego postępy w naukach dowiadywał, odpowiadali profesorowie, że Józef Kraszewski uważany był za najlepiej uczącego się w całym gimnazjum. Takie zdanie wiele rokowało dla niego na przyszłość, nikt jednak powiedzieć nie mógł, że tenże sam blady i szczupły blondynek zajmie w literaturze naszej tak wysokie stanowisko.

Było to w późnej jesieni, na dworze wiatr huczy, deszcz leje, w pokoju bawialnym kilkanaście osób obsiadło do koła okrągłego stołu, ale niepogoda powietrza działać musi na humor zebranego towarzystwa, bo rozmowa się wlecze, a stłumione ziewanie kolejkę swoją zaczyna. Pana generała Tyszkiewicza niema w domu, matka moja nie może złożyć swego bostona, bo szambelan Komajewski chory.

— Cóż więc robić będziemy? — ktoś się na pół senny odzywa.

— Opowiadajmy jakieś wydarzenia prawdziwe lub dawne legendy, — rzekł na to ktoś inny.

Na hasło do boju przebudzili się wszyscy i jednogłośnie zawołali: — Zgoda! zgoda!

Gdy jedna z obecnych osób już chciała poczynąć historię o strachach: — Nic przeciwko temu nie mam, — rzekła matka moja, — gdyż podobne opowiadania są bardzo zabawne, chociaż, czasami wyobraźnią niepotrzebnie rozdrażniają, byle się nie straszyć wzajemnie. O, tego uchowaj Boże! Chcąc was raz na zawsze od tak niebezpiecznej zabawy oduczyć, proszę tylko o posłuchanie okropnego wypadku, jaki się w rodzinie męża mojego wydarzył.

Hrabia Jerzy Tyszkiewicz mieszkał z rodziną w majątności swojej Kolbuszową zwanej, w t. z. Starej Galicji, żona jego Ks. Lucja Lubomirska, jeszcze młoda, nadzwyczaj wesoła, lubiła się przebierać, każdemu figle płać, a szczególnie wszystkich straszyć, nie przepuszczając nikomu. Syn jej Wincenty, co tylko był wrócił z uniwersytetu do domu na wakacje i mieszkał opodal od dworu w ogrodzie, okna zaś jego sypialnego pokoju wychodziły na gościniec. Od kilku dni pani Tyszkiewiczowa wspominała ciągle o zbójcach, napadających okoliczne dwory, opisywała okrucieństwa, wyrządzone przez nich, a to wszystko dla

wzbudzenia przestachu w młodym umyśle dziewiętnastoletniego syna, którego straszyć miała. Razu pewnego, po wieczerzy, wszyscy się na spoczynek rozeszli, Wincenty Tyszkiewicz już się był położył, dubeltówka koło łóżka stała, służący świecę zagasił i stosownie do danego rozkazu przez panią, wyszedł z domu, drzwi od wyjścia na klucz zamknął.

Mogła być godzina pierwsza po północy, młodzieniec spał w najlepsze, wtem, nagle stukaniem przebudzony, siada na łóżku i słyszy, jak mu od okna okiennicę odrywają. Zrywa się, biegnie do drzwi—zamknięte; powraca więc nazad, a uchwyciwszy dubeltówkę: — „Kto tam — woła — bo strzele!”

Zamiast odpowiedzi okiennica odpada, a Wincenty, widząc białą figurę, stojącą w oknie, strzela.

Krzyk przeraźliwy dał się słyszeć i te tylko słowa doleciały do niego: „Zabiłeś matkę!”...

Najdziwniejszą w tem wszystkim rzeczą, że pani Tyszkiewiczowa, będąc jeszcze panną, przez matkę w chwili uniesienia przekłętą została; ta, chcąc później klątwę rzuconą od córki odwrócić, darowała jej złoty krzyżyk z łańcuszkiem, z zastrzeżeniem, aby go zawsze nosiła. Właśnie w dzień swojej śmierci, oddawszy łańcuszek popsuty do reperacji, nie miała krzyżyka na sobie.

Przekleństwo ojca lub matki — odezwała się pani P.—jest najokropniejszą ostatecznością, tembardziej, iż niepoprzeszta częstokroć na winowajcy, ale najodleglejszego nawet pokolenia sięga; na dowód tego nowy wam przykład przytoczę:

W wieku XVII, młody baron Hann, ostatni potomek tego starożytnego imienia, rozpustne prowadził życie. Gdy cały majątek strwonił, a ojciec już mu nic więcej dać nie mógł, podczas wojny przeszedł na stronę nieprzyjacielską i walczył przeciwko własnej Ojczyźnie. Po bitwie, w której wielką klęskę Kurlandczykom zadał, ojciec, dowiedziawszy się o tem, własnego syna przeklął.

Wojna się ukończyła, ojciec przebaczył synowi, a we dwa lata później, na śmiertelnem łożu będąc, chcąc odwrócić skutki przekleństwa swojego, błogosławiąc, zarzucił mu złoty łańcuch na szyję, jako zakład przebaczenia. Odtąd ten łańcuch, ile razy się przerwał, tyle razy jeden z Hannów umierał. Przez czas długi, złowroźny klejnot w skarbcu familijnym złożony spoczywał. W przeszłym wieku, pewien baron Hann, ożeniwszy się z młodą osobą, pochodzącą z jednej z pierwszych rodzin Kurlandzkich, skoro się żona naparła łańcuch obaczyć, wydobyła go ze skarbcza i ciągle na sobie nosiła. Razu pewnego, jadąc kareta z mężem i czteroletnim synem, gdy ten siedząc na kolanach matki się ba-

wił, porwał za łańcuch, przerwał jedno ogniwo. Wtem drzwiczki się ctwierają, dziecko wypada pod koła pojazdu i śmierć w mgnieniu oka ponosi.

Powiadają, że ten łańcuch dotąd się przechowuje w skarbcu familijnym Hannów, ale go żaden członek tej rodziny, ani oglądać, ani wydobyć nie chce.

Następowała kolej na pana Jankowskiego. Zebrał myśli swoje i tak mówić począł:

Przejeżdżając w roku przeszłym przez Polskie Inflanty, zatrzymałem się na nocleg w dobrze zabudowanej wsi kościelnej. Była to niedziela, pełno ludzi w karczmie, nie sposób w niej przenocować.

Stojąc przede drzwiami, rozmyślałem, jak mam sobie począć? Wtem wyszedł z izby szynkowej już niemłody mężczyzna w porządnej kapocie, w czapce na głowie, wyglądał trochę z wasze-cia. Spojrzał mi w oczy, uklonił się i kiedym go zapytał, czy nie wie, gdziebym mógł spokojnie noc przepędzić?

— Chyba u naszego proboszcza, — odpowiedział — tam pana chętnie i gościnnie przyjmą.

Podziękowałem za radę, siadłem na bryczkę i do probostwa ruszyłem. Dobrodziej siwinteńki, jak gołąb, przyjął mnie najgościnniej, wprowadził do środka i na noc zaprosił.

Zaczęła się gawędka.

Z okien probostwa widać było zwałiska starego zamku po drugiej stronie drogi, a gdym się zapytał: do kogo należał? — „Do Hilzenów” — odpowiedział Ks. proboszcz.

Słońce nie było zaszło, piękna pogoda, wieczerza nie gotowa, korzystając z tego, poszliśmy zwiedzić miejsca, kędy każda oderwana cegła mogłaby się przeszłości językiem odezwać i miałyby co mówić. Z onego niegdyś obrońnego grodu, z owego gniazda Hilzenów, pozostały tylko gruzy. Niegdyś, napełnione wodą fosy otaczające zamek, rumowiskiem zaszły, z dawnych zwodzonych mostów ani śladu nie było; przechowywały się jeszcze dwie wchodowe bramy i północna wieża. Rodzina Hilzenów, jedna z najmożniejszych w Inflantach polskich, słynęła niegdyś ze znaczenia swego, z dóbr i z przywiązania do kraju. Podczas wojen szwedzkich Hilzenowie najwięcej się przyczynili do odparcia licznych zastępów Karola Gustawa. Od owych czasów, zamek, szturmem zdobyty i spalony, więcej nie podniósł głowy, a chyląc się coraz bardziej ku upadkowi, przyjdzie czas, w którym zrówna się z ziemią, pokryje murawą, zamieni w kurhan grobowy.

Oglądając z ciekawością te miejsca, niedawnymi jeszcze czasy pełne ruchu i życia, a dziś bezludne i puste, kołysany smutnemi

myślami, długom się przechadzał po trawą zarośniętych dziedzińcach.

Słońce było zaszło, księżyc z poza chmury wyglądał, głuche panowało milczenie, przerywane tylko kiedy niekiedy przelotem nietoperza lub przeraźliwym jękiem puszczyka.

Powróciwszy do probostwa, po smacznej choć nie wykwintnej wieczerzy, ze szczerem ofiarowanej sercem, gdy szczegóły, dotyczące się Hilzenów i ich zamku były ciągłym przedmiotem naszej rozmowy, ksiądz proboszcz opowiedział mi następującą miejscową legendę:

— Było to za panowania Jana Kazimierza, wojna domowa trapiła Polskę, Szwed wzdłuż i wszerz plądrował po kraju. Podczas, gdy Aleksander Hilzen na czele swojej chorągwi walczył pod dowództwem Chodkiewicza, kasztelana wileńskiego, żona jego odbywała połów w tym zamku. Pani Hilzenowa od trzech dni zaledwo zległa, odpoczywała na paradnym łożu, w obszernej komnacie, obok niej stała kolebka z nowonarodzoną córką, przy której mamka leżąc na ziemi zasnęła.

Północ zaledwie bić zaczęła na wieżowym zegarze, usłyszano na dziedzińcu zamkowym turkot zajeżdżających powozów, trwał długo, zdawało się bowiem, że co jeden odjechał, zajeżdżał drugi. Nakoniec, po dobrym kwadransie, otworzyły się podwoje od sypialnej komnaty, a chora, usiadłszy na łożku, ujrzała wielką ilość ości, cisnących się do pokoju. Szli parami. Z dam, niektóre w polskim, większa część we francuskim stroju, mężczyźni w kontuszach lub frakach szli, mówię, w milczeniu, a przechodząc koło łożka pani Hilzenowej, oddawszy głęboki ukłon, drugimi drzwiami wychodzili z pokoju. Ostatnia para, zatrzymawszy się przed kolebką nowo-narodzonej, złożyła na poduszcze dziecka przepyszny sznur pereł. Potem wyszli wszyscy, drzwi się zamknęły i usłyszano na nowo turkot odjeżdżających pojazdów.

Sznur owych pereł wielkiej ceny, dar czarodziejskiej potęgi, przechowywał się odtąd w rodzinie Hilzenów. Powiadają, że ostatni wojewoda miński tego nazwiska, idąc na wyprawę wojenną, zawiesił go na ołtarzu N. Panny Ostrobramskiej.

Rodzina Hilzenów wygasła, a wdowa ostatniego ich potomka, Brzostowska z domu, wyszła powtórnie za mąż, na początku bieżącego stulecia, za hrabiego Ludwika Platara.

Skoro pan Jankowski mówić przestał, pan B. zabrał głos i temi odezwał się słowy:

— Słyszałem dotąd powtórzenie tego, co się komu innemu stało, stare podania, legendę; ja wam zaś przeczytam pamięcią jedną z kartek mojego życia. Dawne to dzieje, ale, jak mnie do

końca z cierpliwością wysłuchacie, przyznacie, że są wrażenia, których ślad chyba się z życiem zaciera.

Na początku 1804 r., rozkochany, tak jak się kocha dwudziesto czteroletni młodzieniec, kiedy przedmiot jego miłości łączy w sobie wszystkie powaby ciała z przymiotami duszy, ma lat ośmnaście i miłość miłością odpłaca; oświadczyłem się, przyjęty zostałem i wyjechałem z Warszawy do Dubna, na kontrakty, dla ułożenia interesów moich.

W Warszawie, w ogromnych redutowych salach, rzesisto oświeconych, tysiące masek się tłoczy, popycha, przeciska. Turczynki, Indjanki, Cyganki, Żydówki, Murzynki, Niemki, Szwedki, Neapolitanka, Hiszpanki, Krakowianki, próbki wszystkich narodów, obok fantastycznych wymysłów mitologicznych bogiń, różnobarwnych dominów. Pomiedzy niemi arlekin z kolombiną, czarownik z wieszczką, pielgrzym z pielgrzymką, pasterki, wajdelotki litewskie, rusalki, wszystkie pod maską, a każda ciebie zaczepia, hieroglify lub cyfry pisze na rękę. Ta się pyta czy ją poznajesz? ta oświadcza, że ciebie kocha, ta do siebie na jutro zaprasza, daje numer domu najczęściej zmyślony. Jedna prosi, abys ją lodami, cukierkami, wieczerzą, a czasem nawet ponczykiem poczęstował... Wyszturchany, podeptany, znudzony, zmęczony, szukałem sposobu wydobyć się z tego chaosu, kiedy północ wybiła, i tłum cały hurmem się do drzwi teatralnych rzucił, dążąc na przedstawienie „Kasperka w szczęściu“ i „Wesela w Ojcowie“. Spostrzegłszy wolne miejsce na ławce, przeciskałem się do niego czempredzej, bo czułem, że się nogi podemną uginają. W głowie mi się kręciło, myśli plątały, szumiał w uszach pisk, krzyk, gwar połączony z grzmiącym odgłosem mazurka. Przymknąłem oczy. Skorom je po chwili otworzył, stała przedemną wysoka postać, czerwonym płaszczem owinięta: rude włosy łączą się z rudą brodą, czarna maska na twarzy, na głowie czarny kapelusz z szerokimi brzegami, z zatkniętem czerwonym piórem z boku, przez otwory od maski, spostrzegam iskrzące oczy, wlepione we mnie. Zimny mnie dreszcz przez żyły przebiegł, chciałem wstać i odejść, — nie mogłem, czując się przykutym do miejsca.

Rudowłosy milczał, i ja milczałem, po niejakiem jednak czasie:

— Czego chcesz?—zapytałem.

— Wpatruję się w ciebie, — odpowiedział — i lituję nad tobą... Biedny, tak młody, a już tak nieszczęśliwy!

— Mylisz się, — przerwałem, śmiejąc się nienaturalnym śmiechem—nigdy szczęśliwszym nie byłem!

— Śmiech się prędko w płacz zamienić może, — odrzekł ze smutkiem, — a to co szczęściem zowiesz, jakże podobnem do

naczynia szklanego, wypuść go z ręki, upadnie i na tysiące się kawałków rozleci.

— Trzymam go silnie — zawołałem, — nie tak łatwo wypuszczę!

— Nie dotrzymasz, bo ci go silniejsza potęga od twojej wytrąci.

— Precz odemnie! — krzyknęłem, uniesiony gniewem.

— Nie odejdę, — odpowiedział łagodnie, — gdyż powtarzam, że się nad tobą lituję, ale jeżeli masz dosyć odwagi pójść za mną, wnet się o twoim losie dowiesz?

Przez chwilę, ciekawość z niedowierzaniem, bojaźń ze wstydem walczyły we mnie, na koniec wstałem z miejsca i stłumionym głosem — „idę“, — wymówiłem.

Przeciskamy się przez tłumy, przechodzimy przez sal kilka, ze wschodów zstępujemy. Na placu, przed teatrem, wsiadając do sanek: — Jedź na Powązki! — rudowłosy na woźnicę zawołał. Struchlałem na te słowa. Pierwsza myśl moja obudziła we mnie obawę zasadzki; żadnej nie miałem broni przy sobie, ale cofnąć się było za późno. Przeżegnawszy się wyrzekłem: Niech się dzieje wola Boża!

Przejeżdżając przez ulice obszernego miasta, wszędzie było głucho, ciemno i pusto, cichość przerywała tylko nocna grzechotka, dopalająca się gdzieś latarnia zaledwo słaby blask wydawała, napotkałeś chyba opóźnionego śpieszno powracającego do domu.

Przez rogatki przesunęliśmy się, nawet niespostrzeżeni od warty i zatrzymali przed cmentarzem.

Rudowłosy pierwszy wysiadł z sanek, skinął na mnie ręką, a kiedy przez otwartą bramę wszedł na cmentarz i zapuszczał się pomiędzy mogiłami, otoczonymi drzewem obnażonym z liści, postępowałem trop w trop za nim, jak poddany za panem, gdyż w tej chwili wszelką wolę oporu utraciłem. Brnąć nie raz po kolana w gęstych zaspach śniegu, zatrzymaliśmy się na koniec przed świeżo usypanym kopcem. Tu się mój przewodnik zatrzymał, odwrócił do mnie, kapelusz i maskę od siebie odrzucił, i zamiast twarzy, odkrył trupią głowę.

Okropność mnie przejęła, zasłoniłem oczy i doleciały do mnie słowa grobowym wymówione głosem:

„Kłęcz i módl się za umarłych!“ Ukląknę i modlić się zacząłem, a skoro po jakimś czasie powstałem i szukałem wzrokiem rudowłosego, już go nie było, a na świeżo usypanym kopcu wznosił się krzyż z napisem:

„Ludwika zmarła 24 Lutego 1804 roku“.

Nagły hałas zbudził mnie ze snu... — Kto tam? — zapyta-

łem, zostając jeszcze przez chwilę pod przykrym wpływem nocnego widzenia i wtedy dopiero wolniej odetchnąłem, kiedy w około siebie rzuciwszy okiem ujrzałem się na łóżku w dubieńskiej karczmie. Kto tam? — powtórzyłam.

— To ja, — odpowiedział mój stary sługa, Franciszek, oddając mi list z poczty, ale zaledwom go otworzył, wyczytałem na pierwszej stronie te słowa: „Ludwika, umarła w Warszawie dnia 24 lutego, 1804 r. pochowana na cmentarzu Powązkowskim“.

Niestety! sen rzeczywistość uprzedził, a szczęście całego życia, jak szkło, upadające na ziemię rozłukło się na zawsze. Straciłem istotę, którą jedynie kochałem, postanowiłem nowych już niezwierać związków i jak widzicie, dotrzymałem słowa.

Każde opowiadanie nadprzyrodzonego zjawiska lub smutnego wypadku wywołuje zawsze pewien rodzaj zadumy w słuchaczach, spowodowanej doznaniem wrażenia. W podobnym umysłowym usposobieniu zostawaliśmy od chwil kilku, do którego przyczyniała się jeszcze nadeszła szara godzina. Wtem głos nieco trzęsący, ale przenikliwy, jakby już do innego należącego świata, głos ośmdziesięcio letniego starca, przerwał nasze milczenie.

— Nie wiem czy wiecie, — odezwał się pan Okraszewski, iż od najmłodszych lat swoich poświęcałem się jedynie tym naukom, za pomocą których najzawilsze rozwiązujemy zadania, najskrytszych tajemnic przyrodzenia dociekamy. Zwiedziłem Europę całą, zapoznałem się w Amsterdamie z najslawniejszymi kabalistami owego czasu i w ścisłych zostawałem stosunkach z Marmerem. Za powrotem do kraju, król Stanisław Poniatowski umieścił mnie na swoim dworze i pod mój zarząd oddał mineralogiczny gabinet.

Sprowadziłem z Holandji znanego mi alchemika, jednocześnie zjechał do Warszawy Cagliostro słynny na całą Europę; jedni go mieli za zgrabnego kunsztmistrza czyli raczej kuglarza, drudzy za iluminata, a byli tacy, którzy go Żydem wiecznym tułaczem zwali.

Razu pewnego Stanisław Poniatowski zamknął się z nami w moim laboratorium, złożywszy w progu swój majestat królewski, a klęcząc przed kominkiem, na którego rozpalonym tyglu kipiał rozpuszczony metal, przypatrywał się każdej zachodzącej zmianie, oczekując z niecierpliwością, aż obce płyny odosobnią się od czystego złota. Wtem zapukano do drzwi. — „Kto tam?“ — pytam — nikt nie odpowiada, ale król się zrywa, idzie do drzwi, otwiera, spostrzega kamerdynera swego Ryxa, chwilę z nim pocichu rozmawia, poczem, odwróciwszy się do nas, przeprasza, iż dłużej pozostać nie może i z ulubieńcem swoim czempredzej

wychodzi. Zły duch zabrał go z sobą. W czasie, gdy anioł-stróż odstawia tygiel od ognia, Holender nie rozumie nawet co się stało, Cagliostro się uśmiecha, Ryx do Piaseczna pana swego wiezie, gdzie oczekuje na niego nowa jakaś piękność... Nazajutrz, na pokojach monarcha zbliżywszy się do mnie:

— Przepraszam, — rzekł, — że nie dotrzymałem placu, bo tandemtedy z mego Ryxa lepszy botanik, niż z waszmości alchemik. Tyś złota nie otrzymał, a on mi ze swego ogrodu różę polną ofiarował.

— Najjaśniejszy Panie, — odpowiedziałem, — różę nawet polne mają kolce...

Horyzont polityczny, coraz się bardziej nad nami zachmurzał, a Król coraz się częściej dopominał o owoc tyloletnich prac moich. On potrzebował złota, ja zaś wiedziałem, że złoto otrzymać muszę; pomyślny jednak skutek wymagał jeszcze dużo nakładów. Prosiłem o nie, ale kasa była pusta, rzadko co z niej wydobyć mogłem. Skoro poczułem, że król dla mnie ostygł, dla nauki zubożniał, a zatrzymać go było prawie niepodobieństwem: — czas nadszedł o sobie pomyśleć! — rzekłem sam do siebie.

Chcąc pana mojego rozerwać, dnia 14 Lutego, i 10 Marca, 1784 r., puszczałem wobec całego dworu, z tarasu zamkowego niewidziane dotąd balony, a pragnąc ożywić w nim na nowo zamilowanie prawdziwej mądrości, przedstawiłem mu Micutę filozofa i Francuza Duponta dwóch najuczeńszych ludzi owego czasu. Wkrótce związałem między nimi, a Marmerem ciekawą korespondencję. W sam dzień ostatni zapust, zaprosiłem Króla do siebie, na próbę nowych alchemicznych doświadczeń. Najjaśniejszy pan, za powrotem do zamku, z wieczoru od pani Krakowskiej, siostry swojej, przybył do mnie o 10-tej godzinie.

Rozpoczęliśmy doświadczenia, mające go przekonać o możliwości przemiany metalów. Napelniwszy tygiel opilkami żelaza, miedzi, ołowiu i dolawszy do tego pół kieliszka mnie jednemu wiadomej cieczy, po godzinnem gotowaniu: — Najjaśniejszy panie, — rzekłem, — niech wasza królewska mość sam zdejmie tygiel z ognia, płyn do drugiego przeleje naczynia, poczeka, aż ostygnie, a wtedy odrzuciwszy całą wierzchnią skorupę, obaczy co się pod nią znajduje. — Król akuratnie wszystko spełnił, a gdy zajrzał do dna, dostrzegł kółkę najczystszej złota, ważącą może ćwierć luta. Wtedy, korzystając z chwilowego wrażenia, jakie dostrzec można było na rozplamionej twarzy królewskiej, oświadczyłem ostatecznie Stanisławowi Poniatowskiemu, iż potęgą mojej wiedzy mogę mu zapewnić przy najdłuższem życiu, młodość najdłuższą nieskalaną zmarszczką, najczerstwiejsze zdrowie... Ale w tej chwili

północ bić zaczęła, wszystkie dzwony stolicy zapowiedziały, że się dni bachusowe zakończyły — a nastał czas pokuty.

Król się zawahał i gdy się do niego chciał przybliżyć, powstała kobiety, całej w bieli, przesunęła się z wolna pomiędzy nami. Król zemdlał. Wybiegłem z pokoju, zwołałem służbę i przenieśliśmy go do sypialnej komnaty. Nazajutrz, odebrałem uwolnienie od służby, opuściłem zaraz Warszawę i nie powróciłem już do niej aż w późniejszych czasach.

Może mnie zapytacie, kim była owa biała kobieta? Odpowiedzieć na to nie mogę. Nie był to rozdrażnionej wyobraźni Stanisława Augusta utwór, bośmy ją zarówno obydwaj widzieli, ale na dworze królewskim, pomimo zakazu wspominania o tem całym wydarzeniu, jeden drugiemu szeptał do ucha, że to była Majna, ów duch opiekuńczy rodziny Poniatowskich. Majna — jak niesie podanie — pokazać się miała po raz pierwszy ojcu królewskiemu w Paryżu i przepowiedzieć mu, że syn jego zasiądzie na polskim tronie; pokazała się królowi w dzień koronacji i nawiedzała go w ważniejszych epokach życia.

Porzuciwszy służbę publiczną, bez majątku, przedsięwziąłem zająć się edukacją prywatną, baczny, azali nie znajdę pomiędzy powierzona mi młodzieżą choć jednego, któremubym mógł przekazać cały zasób wiadomości moich, wprowadzić go do ogniska światłości, do świątyni nauk. I tu mnie napotkały same zawody! Znalazłem wprawdzie pocziwe, ale poziome istoty, ani jednego wybranego, któryby wzniosłszy się nad chmury, śmiało zajrzał w oczy słońca i wyrzekł: ty ognistym blaskiem świecisz, ja jaśnieję wszechwiedzą. Tak jest, wszechwiedza jest moim udziałem, zdobyłem ją ośmdziesięcioletnią pracą, duch mój panuje od osi do osi świata, a ciało... zaledwo ma się czem przykryć, nie ma gdzie położyć głowy. Do was temi słowy przemawiam, do was, którzy posiadając młodość, piękność, bogactwo, to, co ludzie zwą szczęściem, chcielibyście zatrzymać, a nie umiecie i nie potraficie. W mej tylko mocy przedłużyć wam jedno, zapewnić drugie“.

Tu, starzec przerwał na chwilę opowiadanie swoje; poczem, odwróciwszy się do swej sąsiadki: „Pani, — rzecze — spojrzij tylko w lustro, a ujrzysz, że opuszczająca cię młodość, codzień po jednym wdzięku zabiera. Rzeknij słowo, a tak, jak Jozue słońce zatrzymał, zatrzymam dla ciebie rękę czasu. Poczem, wyjąwszy z kieszeni małą flaszeczkę: — oto, — dodał, — napój odmładzający, eliksir długiego życia, ale każda jego kropla płaci się funtem złota. Pan nie doznałeś wzajemności w kochaniu, odezwał się do drugiego sąsiada, chcesz, aby cię kochano, zaufaj mi, osiągniesz cel pożądaný. Pani ubolewasz nad tem, że nie masz potomstwa, podaj mi rękę, wprowadzę cię do świątyni Izdy, tam

złożysz ofiarę na ołtarzu bogini i nie minie rok, doczekasz się syna. Ciebie, — rzekł do poczynającego urzędniczą karierę, — chęć wywyższenia się już naprzód popycha, pamiętaj, iż kto chce po drabinie ze szczytów dojść do samej góry, drabina powinna być ulana ze złota. A ty zaś, — przemówił nakoniec do mnie, — którego tak starannie wychowałem, któremu skarbnicę mądrości otworzywszy, już miałem wyrzec: bierz! to twoje; — odepchnąłeś mnie, pogardziłeś nauką, przeniosłeś nad nią rozkosze zmysłowe, ponęty światowe; ale jeżeli jeszcze głos prawdy doleci może do ciebie, pamiętaj...

Chciał dalej mówić, gdy przyniesione światło do pokoju, rozpędziło pomrokę wieczorną. Zamilkł starzec i, zda mi się, że go jeszcze widzę, w tym surducie granatowym, w tej krymce czerwonej, z pod której siwych włosów wyrykają się kosmyki, z tą bladą twarzą, gęstemi pooraną zmarszczkami, widzę, gdy powiodłszy w około siebie wzrokiem, jakby mgłą powleczonym, skoro ujrzał, że się każdy z nas przeżegnał, uśmiech szyderczy przebiegł przez jego usta, wstał z miejsca i z wolna wyszedł z pokoju. Jeszcze nie był drzwi za sobą zamknął, kiedy: „Vade retrol!” — zawołała w zapędzie niepohamowanego gniewu panna Pelagja.

— To zły duch! — odezwał się jeden.

— Warjat! — wymówił drugi.

— Już ździeciniał, — wniósł trzeci.

— Czy tylko nie kryje rożków pod tą czerwoną mycką, której nigdy nie zdejmuję z głowy? zapytał kontuszowy Polonus.

W czasie tych wybuchów, matka moja milczała, ale po ustach poruszeniu można się było domysleć, że się modli. Zbliżywszy się potem do mnie, pocałowała mię w czoło i błogosławiła. —

— Wiercie mi, państwo, — odezwał się po dosyć długim milczeniu, pan dyrektor Krusiński, — iż nic nie masz przykrzejszego, jak patrzeć na moralną zgrzybiałość człowieka. Jeżeli upadek sił fizycznych smutne rodzi wrażenie, smutniej jednak być świadkiem osłabienia władz umysłowych, które człowieka silnej woli, potężnego nauką, zamieniają stopniowo w dzieciniałe stworzenie. Mielśmy tego świeży przed oczami przykład. Znałem pana Okraszewskiego, kiedy obszarem swych wiadomości zdumiewał, nadzwyczajną pamięcią zadziwiał, zachwycającą wymową porywał, a chociaż nie podzielałem jego sposobu myślenia, oddawać sprawiedliwość musiałem. I w cóż się dzisiaj obrócił? Jedni go złym duchem być mienia, pobbłażający zwa warjatem, litujący się nad nim powtarzają: — ździeciniał, — ja zaś dodam, już się przeżył.

Kiedy człowiekowi dobrze, swobodnie i błogo, czemuż wtedy, tak jak wahadło w zegarze, czasu zatrzymać nie może? Zegar wskazuje godziny, godziny czas dzieła, zegar choć stanie, — go-



Nadgrobek Generała Tadeusza Tyszkiewicza w Paryżu.

dziny lecą, mijają; co być miało — już jest, co jest już — upłynęło, co upłynęło — już jest bez powrotu, coraz się od nas bardziej a bardziej oddala!

Piękna była pogoda, niebo czyste, słońce świeciło, lekki wiatr drzewa kołysał, woń kwiatów napełniała powietrze, wtem na zachodzie czarna znalazła się plamka, wnet się zamieniła w obłok, obłok w chmurę, chmura coraz bardziej rozszerzać zaczęła, zasłoniła słońce i niebo, wiatr zawył, rozpoczęła się rozpasanych żywiołów walka, i tak jak w jednej chwili połamano drzewa, powrywała kwiaty, wyróciła cały porządek w naturze, tak samo znów w jednej chwili inna burza zagasła domowe moje ognisko, zakłuciła spokój, zniweczyła szczęście.....

Na początku 1828 r., matka moja umarła; we dwa lata później straciłem Ojca i dwoje dzieci, a sam wzięwszy kij pielgrzymi do ręki, poszedłem w kraj świata, kędy oczy zaniosły. Odtąd zaczęło się dla mnie życie tułaczę, nieraz ze swoim pełnym poezji urokiem, częściej z tą próżnią, którą ani ułuda wdzięków, ani potęga rozumu, ani blask dowcipu, ani cały odmet światowych rozkoszy zapełnić nie zdoła, wtedy, kiedy serce zobojętnieje na wszystko, zamknie się na zawsze.

Powracać z kąd wyszedłem — nie chciałem, bom wiedział, że na moje spotkanie nikt nie wybieży, nikt ręki przyjacielskiej nie poda, nikt z życzliwości uśmiechem na ustach nie przyjmie...

Poszedłem więc coraz dalej, powtarzając z pokorą: Boże! o Boże, bądź wola Twoja!..

W roku 1853, będąc w grodzieńskim, pojechałem do Świśloczy. Lat dwadzieścia pięć, jakem ostatnie odebrał błogosławieństwo umierającej matki, jakem jej ciało na miejsce wiecznego spoczynku odprowadził, a od tego czasu ileż o ileż zmian tutaj zaszło!

Dawno nie odwiedzałem domu mojej matki,
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki! —
Kędy spojrzysz — rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów — koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu ziola,
Jak na cmentarzu w północ, milczenie dokoła!
O! dawniej inny bywał przyjazd mój w te bramy
Po krótkim oddaleniu, gdym wracał do mamy!..

Przeszedłem przez miasto. Napróżno szukałem dawnego porządku i ochędóstwa, znalazłem walące się tylko domy, puste karczmy, z murowanych sklepów odrapane ściany. Dawne gimna-

zjum zniesione, zastąpiła powiatowa szkoła, opustoszone po studentach dworki zajęło brudne żydowstwo...

Zaszedłem do mieszkania Jacka Krusińskiego; od lat kilku nie żył; wdowy jego w domu nie zastałem; siadłem na tejże samej ławce, pod tym samym kasztanem, pod którym przed laty tyle miłych chwil spędziłem, a przedumawszy nad tem, co było, a nie wraca, poszedłem dalej.

Zwierzyniec wycięty, staw zerwany, kanały pozarastały, ogród zdziczał, opanowały go chwasty, sztachety powywracane, a w pałacu, podpartym i pokrytym słomą, obcy mieszkają ludzie. Serce mi nie pozwalało wejść do środka, spojrzałem tylko dokoła i westchnąłem głęboko. Wszystkie sprzęty, pozostałe po mojej matce, sprzedano, z dawnych jej sług pozostał tylko Jakób kredencierz ośmdziesięcio-letni starzec. Wstąpiłem do niego, siedział na łóżku, nie wiem, czy mnie poznał. Gdym go o dawnych panach zapytał, kilka niezrozumiałych słów wymówił, — już pono wszystkie czucie wraz z pamięcią utracił. Wracając, udałem się na cmentarz.

Po za miastem stoi murowana kaplica, ocieniona drzewami, dokoła krzyże, mogiły, grobowe pomniki — tam ziemia wiecznego spoczynku! W kaplicy tej spoczywają popioły mej matki. Tam, padłszy na kolana długo, długo się modliłem, a kiedy powstałem, uczułem się silniejszy, może tą myślą, że się z nią wnet na zawsze połączę.

Opuszczając Świsłocz, zapewne na zawsze, gdyż wątpię, abym tu kiedykolwiek wrócił, raz jeszcze rzuciłem okiem na te miejsca, gdzie tak wesoło przeminęła młodość moja, gdzie, jeżeli doznał szczęścia, znikomość jego poznałem, a uderzając czołem o krawędź grobu mej matki, powtórzyłem z poetą:

„Żegnam Cię.....

Kraju pamiątek,

Gdzie tyle łez zabiera każdy znany kątek,

Gdzie reszrę uczuć i łzy wylałem ostatnie“!!!

(d. c. n.)

KWARTALNIK LITEWSKI

potrafił skupić koło swego sztandaru najwybitniejszych uczonych, literatów i artystów, w tej liczbie obiecał

stałe współpracownictwo:

P.p. Abramowicz L., Botsunowski, Bouffal Bron., Brensztejn M., Bułhak Jan, Cercha St., Ciechowski W., dr. Czarkowski L., Czarnochi Sz. ks. Prałat Czeczott W., dr. Dąbkowski Przem., Dmochowski Tad., X. Dunin-Kozicki, Dynowska Hel., Ettinger, Federowski Michał, mecenas Fedorowicz W., Flery, Gizbert-Studnicki Wacław, Giżycki J. M. (Marek Gozdawa), ks. prof. dr. Godlewski Mich., Gomulicki Wiktor, dr. Goyski, Hłasko St., Iwanowski Ant., Jankowski Czesław, Jarocki St., Jeleńska-Dmochowska E., Jelski Al., dr. Kętrzyński W., dr. Kopera F., prof. Korzon Tad., dr. Kościakowski St., Kosiakiewicz W., mec. Kraushar Al., ks. prałat Kurczewski, mec. Kutylowski Bohdan, Łeński Z., Łuckiewicz J., bar Manteuffel G., mec. Méyet Leopold, Mienicki Winc., dr. Mienicki Ryszard, ks. Miłkowski St., Mościcki H., mec. Olszamowski, dr. Papée, Półjanowski Bohd., dr. Prohaski Ant., prof. Ptaszycki St., Rawita-Gawronski Fr., dr. Römer Mich., Rouba Nap., hr. Roztorowski T., Ruszczyce, Rymkiewicz Mich., prof. Smolka St., Szklennik Al., Szukiewicz Wanda-lin, książę Tokarzewski-Karaszewicz Jan, Uziębło L., dr. Zahorski W., Zasztowt L., Zdziechowski Kaz. i wielu innych.

Kwartalnik Litewski

wychodzi cztery razy na rok w **marcu**, w **czerwcu** we **wrześniu** i w **grudniu** w objętości za każdym razem od 10 do 12 arkuszy z ilustracjami.

PRZEDPŁATA WYNOŚI:

Rocznie 5 rb. Półrocznie 2 rb. 50 kop. (włącznie z przesyłką).

Cena pojedynczego tomu (bez przesyłki) 1 rb. 50 kop.

Cena ogłoszeń: za całą str. 20 rb., za $\frac{1}{2}$ str. 10 rb., za $\frac{1}{4}$ str. 6 rb.

Przedpłatę przyjmuje:

Wydawca J. Obst, Petersburg, Jekateryński kan. 52 m. 110,
oraz **składy główne** „Kwartalnika Litewskiego”:

w **Wilnie**: Księgarnia Zawadzkiego;

w **Warszawie**: Gebethner i Wolff;

w **Krakowie**: „Księgarnia Kat.” dr. W. Miłkowskiego (plac
Maryacki 9).

w **Petersburgu**: „Księgarnia Polska” (Włodzimierski pr. 13).